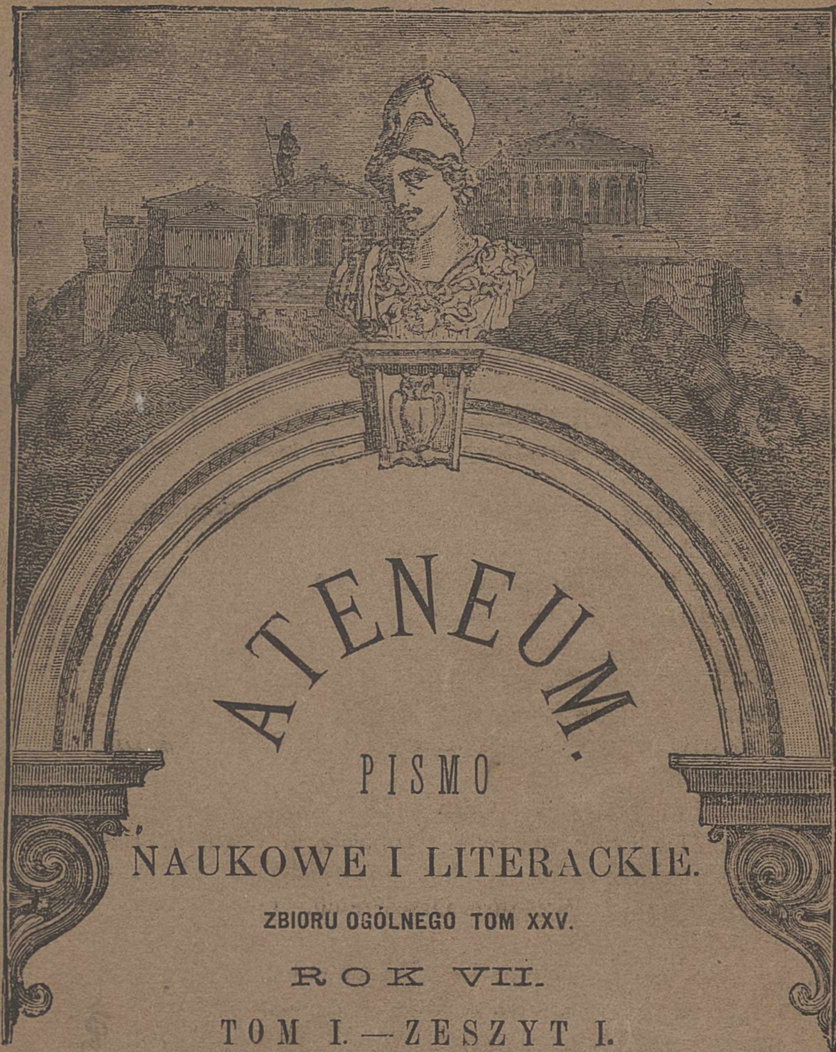


ATENEUM.

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXV.

ROK VII.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1882.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Stycznia 1882 r.

KRÓL BOLESŁAW ŚMIAŁY.

DRAMAT W V-ciu AKTACH.

OSOBY

Król BOLESŁAW ŚMIAŁY.
WISŁAWA, jego żona.
WŁADYSŁAW HERMAN, brat królewski.
STANISŁAW, biskup krakowski.
Kardynał-Legat (osoba niema).
ŻELIMIR, wojewoda.
BOGNA, jego córka.
KRYSPIN, kasztelan.
MŚCISŁAW z Bużenina.
KRYSTYNA, jego żona.
ZBYLUT, MIROSZ, LASSOTA — z drużyny królewskiéj.
DOMARAD, NIEMIRA — dworzanie królewscy.
CZARNY KSIĄDZ.
O. AMBROŻY, Benedyktyn.
Pasterz.
Panowie. Szlachta. Księża. Drużyna królewska. Żołnierze. Lud. Służba. Wieśniacy karyntyjscy.

Rzecz dzieje się w pierwszych czterech aktach w Krakowie, w piątym w Ossyaku w Karyntyi.

AKT I.

Komnata na Zamku Królewskim. Drzwi w głębi od zewnątrz i drugie z boku prowadzące do innych pokojów królewskich.

Scena 1.

MŚCISŁAW (wchodzi, zamierzając się iść do mieszkania królewskiego) NIEMIRA i DOMARAD (idący za nim powstrzymują go).

MŚCISŁAW. Ja tam iść muszę!...
DOMARAD. Na rany Chrystusa!
Co chcesz uczynić...
NIEMIRA. Zastanów się Mścisław!
MŚCISŁAW. Ja tam iść muszę!... Cóż? czy mię puścicie?...

DOMARAD. Nie—nie możemy.
MŚCISŁAW. To przemocą wejdę!..
NIEMIRA. Po naszych trupach chyba. Nam nie wolno
Puszczać do króla bez jego rozkazu.
DOMARAD. I jeszcze po co!... Zbierz myśli Mścisławie,
Przyjdź do rozumu, czy to rzecz rozsądna
Stawać przed królem z podobném żądaniem.
Gniew tylko jego albo srogą zemstę
Mógłbyś na siebie ściągnąć, nieszczęśliwy!
MŚCISŁAW. Bo wy nie wiecie, co się ze mną dzieje!...
DOMARAD. Dlatego radzę jak dobry przyjaciel,
Wstrzymaj się, ochłoń, rozważ co masz czynić.

(Mścisław zwiesiwszy głowę siada bezwładnie przy stole, więcéj zajęty własnemi myślami niż słuchając tego co mówią).

DOMARAD. Czy to ty jeden i sam tylko cierpisz?
Jest więcéj takich—darmo, znieść potrzeba.
Odkąd król wrócił z téj nieszczęsnéj wojny
Ruskiéj, zrobił się jak lew rozjuszony,
Jak zwierz krwiożerczy i odtąd już w kraju
Źle wszystko idzie, i nie ma człowieka,
Co by nad swojém nieszczęściem nie płakał.
Wiész może?... syna ja także straciłem;
Był między tymi, co pierwsi uciekli
Z Kijowa—król mu ściąć głowę rozkazał...
Bóg temu świadkiem, jaką tu mam boleść...
NIEMIRA. Wstydź się Mścisławie, lekkie skalecznie
Ledwoś otrzymał, a wijesz się z bólu,
Jakby śmiertelną zadano ci ranę.
Żona jest żoną—to prawda. Lecz jednę
Kiedy utracisz, łatwo dostać drugiéj.
Jam więcéj stracił. Cały mój majątek
Król zabrał, dom mój zburzył i zaorał,
Że ani śladu z rodzinnego gniazda,
Teraz mu jeszcze służyć za to muszę,
Aby nie umrzéć z głodu gdzie pod płotem...
Lecz cóż mam robić? Król jest naszym panem,
On miecz ma w ręku i władzę nad nami,
Gdy karze, musi mieć do tego prawo.
DOMARAD. A jednak szkoda króla! Był on zawsze
Gwałtowny, ale zawsze sprawiedliwy
I ludzki. Rządził surowo, lecz dobrze,
Pokazał Czechom, Węgrom i Rusinom

Co umié; państwa granice rozszerzył,
I dzielnym mieczem przywrócił ojczyźnie
Czasy Chrobrego—dobre nasze czasy!
Gdyby nie Kijów, zostałby zapewne
Na zawsze takim. Ha! prawda, my sami
Winni nie mało. Źle zrobiła szlachta,
Mógł słusznym gniewem przeciw niéj zapłonąć.

MŚCISŁAW (*powstaje nagle*).
Jestem spokojny już, dajcie iść teraz.

DOMARAD. Przez Boga, jeszcze!... (*wstrzymuje go*).

MŚCISŁAW. Puśćcie!

DOMARAD. Stój szalony!
Trzymaj Niemira!

NIEMIRA (*chwytając go z drugiéj strony*).
Ani kroku daléj!

MŚCISŁAW. Zmogę was, choćby dziesięciu tu było. (*mocują się*).

Scena 2.

Ciż. Wchodzą Zbylut, Lassota i Mirosz, zatrzymują się nagle w głębi, patrząc z zadziwieniem na mocujących się.

ZBYLUT. Co się to znaczy!... Pod królewskim bokiem
Takie hałasy!... Czartów sto tysięcy!
A gdzie jest karność i uszanowanie
Dla majestatu? (*zbliżają się*) Co się tutaj stało?
Mówcie. Domarad, czego chce ten człowiek?

(Domarad spuszcza głowę robiąc ruch jakby mu trudno było to powiedzieć).

NIEMIRA (*ciszéj do Zbyluta*)
To mąż Krystyny...

ZBYLUT (*ze znakiem zrozumienia*) A! (*do Mścisława*) Mości rycerzu,
Proszę stąd odejść.

MŚCISŁAW. Ja chcę mówić z królem...

ZBYLUT. To być nie może.

MŚCISŁAW. Czemu być nie może!
Czyli przychodzę z prośbą czy z żądaniem,
To król...

ZBYLUT. Ni słowa! Powiedziałem jasno:
Odejdź! Oporu żadnego nie znosim,
A kto go stawi, może pożałować;
My tu jesteśmy od tego, by czuwać
Nad spokojnością króla...

MŚCISŁAW. By bezkarnie,
Nie widząc bólu, który innym sprawia,

Ani ich głosu nie słysząc rozpaczy,
Mógł do sytości używać roskoszy.
Nic z tego! Mieczem sobie utoruję
Do niego drogę, podli najemnicy! (*dobywa miecz).*

DOMARAD. Nieszczęsny, cóżeś uczynił! o Boże!

LASSOTA. Co? miecza dobył!...

MIROSZ. Zuchwalec, niech ginie!

(Wszyscy trzéj dobywają miecze, stając Mścisławowi na drodze).

ZBYLUT. Precz stąd! jeżeli głowa ci jest miła,
Pragnę królowi oszczędzić przykrości,
By mu do ucha nie doszło twe imię,
Inaczéj w loch bym wtrącić cię rozkazał.

MŚCISŁAW (*uderza na nich).*
Łotry, spróbujcie, jak rozpacz jest silna!

Scena 3.

Ciż i KRÓL (który wpada ze drzwi bocznych za nim) GIERMEK.

KRÓL. Co to jest?... Stójcie!... kto się tu odważył!...
Miecze dobyte... Siarczyste pioruny!
Czy mię nie znacie?... czy wam w każdéj chwili
Srogi mój obraz ma stać przed oczami,
Aby z pamięci waszéj nie schodziło,
Że uchybienie karzę bez litości.

(Po pierwszych słowach króla bijący się spuścili miecze ku ziemi).

ZBYLUT. Łaskawy królu, ten śmiałek... (*wskazuje na Mścisława*).

MŚCISŁAW (*występując*). Tak, królu—
To ja!

KRÓL (*n. s.*). Ha, Mścisław! (*obraca się do Giermka*).
Idź do pani, powiedz,
Niechaj spokojną będzie. Tu nic złego,
Nic się nie stało. Ja powracam zaraz.
Czekaj. Niech ona tutaj nie przychodzi—
Powiedz, że taka ma wola—mój rozkaz.
(*Giermek odchodzi do drzwi bocznych).*

KRÓL (*do Mścisława*)
Coś złego zrobił, przebaczam tym razem—
Odejdź!

MŚCISŁAW. Chcesz prędko, jak widzę, się pozbyć
Nieproszonego gościa. Mości królu,
Sam jeden z zamku twego nie odejdę—
Przyszedłem tutaj zabrać moję żonę.

KRÓL. Zuchwalcze!...
MŚCISŁAW. Tak jest, najjaśniejszy panie,
Gdym na czas krótki z domu się oddalił,
Wróciwszy, pustą zastałem zagrodę—
Kradzież i rozbój został w niéj spełniony
Najokropniejszy—porwano mi żonę...
A ludzie rzekli, że to ty zrobiłeś...
KRÓL. Milcz!... zapominasz się...
MŚCISŁAW. Wiem, że to prawda.
Niedawno przedtém bawiłeś w gościnie
Pod moim dachem. W kniejach były łowy,
Królewskie łowy na grubą zwierzynę,
A w moim domu ty zacząłeś inne.
O, poznawałem już wtenczas z twych oczów,
Co nową żądzę w tobie obudziło,
I gdyś za jednym siedział ze mną stołem,
Knułeś już czarną przeciwko mnie zdradę.
Teraz mą żonę trzymasz na swym zamku—
Wróć mi ją, królu!
KRÓL. Ja Krystynę kocham!
MŚCISŁAW. A ja nie kocham?!... O, czemuż zapomnieć
Ni jéj obrazu ni uczuć nie mogę—
Serce by moje było spokojniejsze,
I cześć by moja została w całości:
Tę niewdzięcznicę rzuciłbym w niepamięć,
Tobie za krzywdę odpowiedział wzgardą!—
Posłuchaj królu,—zapomnę o wszystkiém
Coś mi wyrządził—wezmę ją od ciebie
Z hańbą na czole, w twych grzesznych uściskach
W obliczu świata zbeszczeszczoną—wezmę
Taką jak dziś jest, odartą z uroku
Małżeńskiéj wiary, kobiecéj czystości,
Tylko mi oddaj ją!... Tyś już nasycił
Swoję namiętność, ona dziś zapewne
Nie warta więcéj dla ciebie...
KRÓL. Nędzniku!
Ją znieważając, mnie obrażasz srodze.
Strzeż się mnie drażnić, i uprzedź tę chwilę,
W któréj by gniew mój spadł na twoję głowę.
Odejdź!
MŚCISŁAW. Tyranie, w mocy swojéj dufny,
Gdzież jest granica twego okrucieństwa,

Do jakich jeszcze posuniesz się zbrodni?
Mało ci było w naszéj krwi się poić,
Którą całemi lałeś strumieniami;
Do cierpień ciała chcesz dodać straszniejsze
Cierpienia duszy, i obrzucasz hańbą
Nasze imiona, nasze czyste czoła—
Toż ty nie królem jesteś—ale katem!

KRÓL (*wybuchając*).
Zbylut, straż wołaj—do wieży z nędznikiem!
(*Zbylut wybiega*).

MŚCISŁAW. Pojmaj mię, głowę każ mi na pniu uciąć—
Po tém, coś zrobił, ja już nic nie stracę.
(*Zbylut wchodzi z żołnierzami*).

KRÓL. Bierzcie go!

Scena 4.

Ciż i KRYSTYNA.

KRYSTYNA (wbiega prędko ze drzwi bocznych; za nią widać Giermka, który ją napróżno powstrzymać usiłuje).

KRYSTYNA. Nie, nie, wstrzymajcie się, stójcie!
MŚCISŁAW. Krystyna!... Boże mój!...
KRÓL. Powróć do siebie!
Po coś tu przyszła?... wszakże zakazałem.
KRYSTYNA. Na Boga błagam, nie czyń mu nic złego.
Dość już méj winy, abym jeszcze mogła
Brać nowy ciężar przestępstwa na siebie.
KRÓL. Nie wiesz, co żądasz...
KRYSTYNA. Wiem wszystko. Słuchałam
Pod temi drzwiami. On ciebie obraził,
On się zapomniał... Bądź wspaniałomyślny
I wróć mu wolność przez litość nade mną!
KRÓL. Pocoś tu przyszła... to nie kobiét sprawy.
KRYSTYNA. Uczyń to, uczyń, miłościwy królu!
KRÓL (*po chwili, do straży*)
Puśćcie go, niechaj swobodnie odchodzi.
MŚCISŁAW. Nie wielką dla mnie uczyniłaś łaskę.
Życie me, w hańbie i osamotnieniu,
Za każdą chwilą upłynioną będzie
Nową męczarnią, nową dla mnie śmiercią.—

Mój rozum pojąć tego nie jest zdolny,
Jak się to mogło stać—jakim sposobem
Przyszło do takich okropnych wydarzeń.
Przecież ja ciebie wziąłem z ręku matki
Taką niewinną, tak czystą jak niebo,
A twą dziewiczość ze czcią hodowałem
Na mojéj piersi, by jéj śnieżnéj szaty
Najmniejszy pyłek zepsucia nie skaził!...
O, czém ty byłaś dla mnie, wiesz najlepiéj!
We mnie nie było ani jednéj myśli,
Ni jednéj kropli krwi, w którejbym nie czuł
Twojéj istności... I to wszystko na nic,
To wszystko na nic!.... O, można oszaléć,
Można z rozpaczy o mur rozbić głowę!...

KRYSTYNA (*przechodzi na bok i opiera się o stół*).
O jakież męki!... jakże to okropne!

MŚCISŁAW. A modrzewiowy nasz dwór—jaki pusty,
Jak straszny teraz, gdy ciebie ubyło!
Czy tobie nie żal jest jego ścian cichych,
W których się odgłos twych kroków odbijał,
Gdyś po kobiercu lekko się sunęła,
I biegła ku mnie paść w moje objęcia?...

KRÓL. Dość tego!—wychodź! (*do Dworzan*) Stoicie jak martwi.

MŚCISŁAW. Pójdę. Dlaczegóż miałbym w próżnych skargach
Niedolę swoję na pośmiech wystawiać?
Ale wiedz królu, że z nami rachunek
Nie ukończony. Na ziemi czy w niebie,
Czy dziś czy jutro znajdę sprawiedliwość
I pomstę!

KRÓL. Precz z nim, precz!—za bramę zamku
Niechaj wychodzi jak najprędzéj—daléj!

(*wychodzą: Mścisław, za nim Dworzanie i Straż*).

Scena 5.

KRÓL. KRYSTYNA.

(Krystyna usiadła przy stole i wybucha głośnym płaczem).

KRÓL (*patrzy na nią jakiś czas z rodzajem wyrzutu, potém zbliża się do niéj i bierze za rękę*).
Dlaczego płaczesz?...

KRYSTYNA. O ja nieszczęśliwa!
Jak me sumienie jest czarne i mętne!

KRÓL. Daj pokój! łzy twe poją mię goryczą.
Nie lubię, kiedy smucisz się i płaczesz...
On tu już więcéj nie postoi nogą—
Wszystko skończone...

KRYSTYNA. Gdybym mogła łzami
Zmyć moje grzechy!... Biedny, biedny człowiek,
Cóż on zawinił, że tak cierpieć musi?...
To, że mnie kochał więcéj niźlim warta.

KRÓL. Po jego stronie żal twój i współczucie,
Za mną głos żaden w tobie się nie ozwie...
A przecież tyś jest pierwszą, która we mnie
Wzbudziła miłość. Czyliż ja sam tylko,
Któremu zresztą wolno jest tak wiele,
Mam pod tym względem być upośledzony,
I mniejsze prawo posiadać od innych
Do tego szczęścia? O, ty wierzysz temu,
Że ciebie kocham, że uścisk twych ramion
Jest dla mnie szczęściem, rozkoszą najwyższą.

KRYSTYNA. Wierzę w to, królu—ale w to nie wierzę,
Aby ta miłość przyniosła nam szczęście,
Bo grzech ją zrodził a występek karmi.
Ile uderzeń liczę mego serca,
Tyle połykam gorzkich kropel jadu.

KRÓL. Przestań... ty dręczysz mnie—mów o czém inném!

KRYSTYNA. Tak, ja dla wszystkich jestem źródłem nieszczęść—
To moja dola!... O, przeklęta chwila
Grzesznego szału, co mnie zaślepioną
Twoją wielkością i blaskiem popchnęła
W twoje ramiona—tak, i w otchłań złego!...
Jakże to wąska ścieżka rozgranicza
Cnotę od zbrodni!... Nagle, na raz jeden,
Żem bez ratunku zgubiona, ujrzałam—
Bo czyliż mogłam zostać w domu męża,
Spojrzeć mu w oczy, gdy do niego wrócił?...
Poszłam za tobą, a za mną szła klątwa,
Szli mych występków okrutni mściciele:
Wstyd, smutek, hańba, boleść i wyrzuty!

KRÓL. Idź, idź do siebie, idź—nie mogę słuchać
Podobnéj mowy... Twe słowa ołowiem
Na moje piersi i głowę spadają.

(Krystyna wychodzi zwolna ze spuszczoną głową. Król nie patrzy na nią, a po jéj odejściu stoi chwilę pogrążony w przykrych myślach).

Scena 6.

KRÓL. ZBYLUT (wchodzi prędko, za nim) DOMARAD (później) NIEMIRA, LASSOTA i MIROSZ.

ZBYLUT. Łotr, nędznik, podlec! tak ci się odpłacił
Za twą łaskawość... Cały drżę ze złości...
KRÓL. Cóż znów?...
ZBYLUT. Znów Mścisław!... Niech trochę ochłonę...
Takich zuchwalców nie można oszczędzać...
KRÓL. Ale cóż przecie?
ZBYLUT. Nikczemnik skończony,
Nie godzien nawet porządnego stryczka,
A i ten drugi także nie wart więcéj.
Daruj mi królu, że mówię bez ładu,
Otóż tak było. Szliśmy z nim do bramy,
W tem niedaleko zamkowéj kaplicy
Zjawia się biskup. Gdy go Mścisław ujrzał,
Skacze mu do nóg, i z płaczem i krzykiem,
Nie przebierając w słowach, jak zwyczajnie
Zły i zuchwały człowiek, na swą krzywdę,
Na twe tyraństwo podnosi lamenty,
Błaga o radę, pomoc i opiekę.
KRÓL. Szalony! któż mu przeciw mnie pomoże?
— Ale cóż biskup? co na to powiedział?
ZBYLUT. Biskup pocieszał go i uspokajał,
Jak to umieją księża—kazał w Bogu
Mieć mu nadzieję, przekonywał o tem,
Że dobra sprawa zawsze tryumfuje,
Że mu wymierzy Pan Bóg sprawiedliwość,
I swéj obrazy dłużéj nie dopuści.
KRÓL. To wszystko mówił?
ZBYLUT. Tak, taka treść była.
Ci księża zawsze lubią mówić górnie,
A często hardo.
KRÓL. Poznaję biskupa
W jego postępku. On zawsze ode mnie
Zdala się trzyma i stronić się zdaje,
A jeśli kiedy przypadek nas złączy
Na jedném miejscu, wita mnie milczeniem
I chmurnym wzrokiem, jakby to, co tai
W głębi swéj duszy, było wrogiém dla mnie.
— Ale co daléj, mów, co daléj było?

ZBYLUT. Biskup Mścisława potém błogosławił,
Kazał mu wracać do siebie w spokoju,
A gdy ten odszedł, zadumał się mocno,
I stał tak chwilę pogrążony w myślach,
A wreszcie zamiast iść dokąd zamierzał,
Wrócił w otwarte podwoje kaplicy.
Ni żywéj duszy tam więcéj nie było.
Poszedłem za nim w pewném oddaleniu,
Ciekawy, co on tam będzie poczynać.
Biskup uklęknął, wzniósł ręce do góry,
I oczy utkwił w Chrystusa na krzyżu—
Modlił się...

DOMARAD. Święta była to modlitwa!
I ja zdaleka patrzyłem na niego.
I odkąd żyję nie widziałem nigdy
Na ludzkiéj twarzy tak dziwnéj jasności,
Tak nadziemskiego blasku. W jego oczach
Tyle pokory było, a zarazem
Taką usilną było znać w nich wolę,
By o co prosił, Bóg jemu użyczył.

ZBYLUT. Że ksiądz się modlić umié, cóż dziwnego?
Ty umiész służyć, a ja bronią robić.

KRÓL. Zostawiliście go w kaplicy?

ZBYLUT. Tak jest,
Jeszcze się modlił.

KRÓL. Niechaj się więc modli—
To jego rzecz jest, jego powołanie.

ZBYLUT. Niechby się modlił, klęczał, krzyżem leżał,
Ale nie gadał, nie podburzał drugich,
Skarg nie przyjmował przeciw twéj osobie—
To pachnie buntem—a jabym nie wierzył
Wszystkim tym księżom, to niesforne duchy,
Niby pokorni, ale słuchać nie chcą,
I w sobie każą Pana Boga chwalić.

DOMARAD (*ciszéj*)
Poprzestań Zbylut!—nie bluźń biskupowi,
To kapłan zacny i człowiek tak święty
Jak rzadko w świecie.

(Wchodzi Niemira i tuż za nim Lassota i Mirosz. Niemira przybliża się do Domarada i mówi z nim po cichu. Na Domaradzie znać wielkie wrażenie. Lassota i Mirosz przystępują do nich).

LASSOTA. Czy król już wié o tem?

(Domarad i Niemira zaprzeczają ruchem głowy).

MIROSZ. Trzeba powiedzieć...
KRÓL (*obracając się do nich*) Co wy tam szeptacie?
NIEMIRA. Łaskawy królu... niezwykłe zdarzenie...
LASSOTA. Niespodziewany gość w istocie...
NIEMIRA. Kazał
Prosić cię królu...
KRÓL. Jedném słowem, któż to?
NIEMIRA. Biskup krakowski żąda posłuchania.
KRÓL. Nie chcę go widzieć—niech sobie precz idzie!
My nic nie mamy z sobą do czynienia.
DOMARAD. Tak jest, król dzisiaj nadto jest wzruszony,
Mógłby się unieść—pójdę i przeproszę.
ZBYLUT. Czekaj. (*do króla*) Ten Klecha wzbiłby się zbyt [w dumę,
Myślałby może, iż nie masz odwagi
Jego słów słyszéć i, że ci zabraknie
Na jego mowę godnéj odpowiedzi.
KRÓL. Może masz słuszność. (*do Domarada*) Powiedz, niech przychodzi. (*Domarad wychodzi*)
ZBYLUT. Najlepiéj zawsze od razu kark skręcić
Temu, z czegoby późniéj złe urosło.

Scena 7.

KRÓL. ZBYLUT. LASSOTA. MIROSZ. NIEMIRA. (wchodzi Domarad prowadząc za sobą) BISKUPA. (Domarad zostaje w głębi, gdzie także reszta Dworzan się grupuje, tak, że tylko Król i Biskup na przód sceny występują).

BISKUP (*z głębokim ukłonem*)
Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony.
KRÓL. Na wieki wieków. Co was tu sprowadza,
Księże biskupie—mów krótko i zwięźle,
Szanuj mą łaskę i moję cierpliwość.
BISKUP. Sprawiedliwości szukam na twym progu,
Która jest pierwszym królów obowiązkiem.
KRÓL. Słuchaj biskupie. Mam cześć i szacunek
Dla twéj osoby; wiem, żeś miłosierny,
Pobożny, ludzki, że nie idziesz śladem
Twojego stanu wielu towarzyszy,
Którzy znaczenia swego i dochodów
Na to jedynie używają, aby
Przepędzać życie w zbytku i uciechach;
Wiem, że ty ciało martwisz dyscypliną
I ostrym postem, że nie jak infułat,

Lecz jak ubogi mnich żyjesz w skromności,
A to co sobie od ust odejmujesz,
Dajesz nędzarzom wzgardzonym od świata;
Wiem, że nie łakniesz zaszczytów, dostojeństw,
Że do ołtarza wiąże cię jedynie
Szczéra pobożność i dobro twych bliźnich.
Dla tych powodów ja ciebie szanuję,
Boś lepszy, wyższy, cnotliwszy od innych,
Lecz mimo tego, proszę cię biskupie,
Bądź powściągliwy, nie mów nic takiego,
O czem przypuszczasz, żebym nie chciał słyszéć.

BISKUP. Ciężka powinność zabrania mi, królu,
Zadosyć twoim uczynić życzeniom.
Co robię, na co się odważam, o tém
Wiedziałem dobrze, i nie lekkomyślnie
Do obowiązku mego przystąpiłem,
Lecz zanim próg twój królewski przeszedłem,
Szukałem najprzód u Boga pomocy,
I przed ołtarzem kornie go prosiłem,
By we mnie wzbudził odwagę i siłę,
A w tobie serce by zrodził łaskawe.—
Tym obcym ludziom każ ustąpić, królu.

KRÓL. To niepotrzebne. Każdy może słyszéć,
O czém król mówi z jednym z swych poddanych.

BISKUP. Gdy tak chcesz, dobrze. (*klękając*). Więc klękam
Ja co niedawno klęczałem przed Zbawcą, [przed tobą,
I proszę ciebie, błagam i zaklinam
Na imię Boga, na twoje zbawienie:
Wynagrodź, królu, złe któreś uczynił,
I grzech spełniony umniejsz przez poprawę...

KRÓL. Powstań biskupie! Téj natarczywości
Nie lubię. Czego żądasz mów odrazu.

BISKUP. Pozwól mi zostać tak—chciałbym pokorą
Rozbroić ciebie, zniewolić dla prośby...

KRÓL. Cóż chcesz?... co żądasz?...

BISKUP. Oddaj Mścisławowi
Małżonkę jego!

KRÓL. Wstań biskupie, powstań!
Chociażbyś klęczał tak do dnia sądnego,
Prośba by twoja nie odniosła skutku.

BISKUP. O, litościwy królu!...

KRÓL. Powstań, mówię,
Próżne błagania!

BISKUP. O daj się poruszyć,
Nie tamuj drogi swojéj łaskawości
Porywczem słowem...
KRÓL. Nigdy! nigdy! nigdy!
BISKUP (*powstaje*) Królu, źle czynisz będąc tak upornym.
Snać w zaślepieniu głębokiém nie widzisz,
Ile wyrządzasz złego, ilu cierpi
Przez ciebie ludzi albo cierpiéć będzie.
Krzywdęś uczynił słabemu człekowi,
Co jest biedakiem w porównaniu z tobą,
Lichym jak robak do odparcia gwałtu;
Krzywdęś uczynił téj biednéj kobiécie,
Gdyś ją sprowadził z prawéj drogi cnoty
I napiętnował hańbiącém znamieniem;
Krzywdęś uczynił twojéj własnéj żonie,
Do któréj miłość twoja należała,
A która dzisiaj gorzką łzą oblèwa
Twą lekkomyślność, stratę twego serca;
Krzywdęś uczynił całemu królestwu,
Bo je zarażasz trucizną zgorszenia,
I złym dla wszystkich stajesz się przykładem;
Jak kiedy słońce, co powinno w koło
Rozsiewać światło, zaćmi się na niebie,
To po wszéj ziemi wnet ciemno się zrobi.
KRÓL. Nie mogę pojąć, dziwię się, co słyszę..
Co to?... ty króla odważasz się sądzić?...
BISKUP. Nie sądzę króla, lecz grzechy człowieka,
Które tym cięższe, gdy je w królu widzę.
KRÓL. Bronisz zuchwalca, który mnie obraził!
BISKUP. Bronię słabego co został skrzywdzony.
KRÓL. Jakie masz prawo do tego urzędu?
BISKUP. To obowiązek mego powołania.
Jestem kapłanem, księdzem, sługą Boga,
I sługą wszystkich niewinnie cierpiących.
KRÓL. W pokornych słowach wielką kryjesz dumę.
Wobec mnie milknie wszelkie inne prawo,
Ja tu sam jeden dzierżę sprawiedliwość.
BISKUP. Bóg ci ją oddał i powierza dotąd,
Dopóki dobry czynisz z niéj użytek.
KRÓL. Dość, dosyć tego!—twe wykrętne słowa
Nie przekonają mnie ani nawrócą.
Co uczyniłem przytém pozostaję
Złe to czy dobre, bo taka ma wola,

Nad którą innéj nie znam w całym świecie.
BISKUP. Z boleścią w duszy musiałbym więc odejść—
A jednak szedłem do ciebie z nadzieją,
Że z tego grzechu duszę twą oczyszczę,
Że w skrusze, żalu wrócę ją do Boga,
A ta poprawa z jednego przestępstwa
Niebieskiém światłem serce twe rozjaśni
Znowu w niém ogień rozpali miłości
Do cnoty, dobra, i ty, królu panie,
I z innych swoich otrząśniesz się błędów,
Wrócisz ojczyźnie dawne chwile szczęścia.
KRÓL. Co?... jeszcze, jeszcze masz mi co zarzucić?...
BISKUP. Niestety! dawno już nad tém boleję,
I gdybym głosu słuchał był sumienia,
Dawno odezwać byłbym się powinien.
Zgrzeszyłem długą moją niedbałością,
Brakiem odwagi, małodusznym względem,
Żeś ty potężny, a ja proch nikczemny.
Bóg widać zesłał dziś tego człowieka
Na moję drogę, aby mi przypomniéć
Moję powinność i przynaglić do niéj,
By mi otworzyć usta do wzniesienia
Skargi i krzyku: powstrzymaj się, królu!
KRÓL. Hola, biskupie!—ty tracisz rozsądek!
Słucham, a słów twych zrozumiéć nie mogę.
BISKUP. A czy nie słyszysz jęku, którym woła
Całe królestwo? czy nie słyszysz skargi,
Jaka z téj ziemi do nieba się wzbija,
Wzywając boskiéj pomocy—i kary?
Królu, przestałeś dobrym być monarchą,
Z twoich rozkazów płynie krew strumieniem,
Ludzie cześć tracą, mienia swe i głowy,
Tracą ojczyznę, wolność i zaszczyty,
Jako ofiary gwałtu i srogości!
KRÓL. Mylisz się, mylisz biskupie!—to nie jest
Gwałt ani srogość. Bóg, który mi oddał
Ten miecz do ręki, nie dał mi go na to,
Bym z niego zrobił cacko i igraszkę,
Lecz abym władzy zrobił go narzędziem.
To, co nazywasz gwałtem i srogością
Jest tylko karą—sprawiedliwą karą.
Nieposłuszeństwo, bunt i zdradę karcę,

I chciałbym z roli mojego królestwa
Ten chwast wyplenić do źdźbła ostatniego,
Ażeby dobrych nie przygłuszył nasion.

BISKUP. Kara, gdy przejdzie ludzkości granice,
Jest okrucieństwem.

KRÓL. Przemawiasz za sprawą
Niesfornéj szlachty, dumnych możnowładców,
Dla których ciężka królewska prawica,
Którzy powagi nie chcą znosić berła.

BISKUP. Mówię, bo we mnie serce zakrwawione,
Bo nad niedolą boleję spółbraci.
Jakaż ich wina? Że dwuletnia wojna
W dalekiéj Rusi znużyła ich dusze,
Że zatęsknili za ojczystym dachem,
Za rodzinami i wrócić pragnęli?

KRÓL. Wbrew mojéj woli, wbrew moim rozkazom!

BISKUP. Prosili o to—nie chciałeś pozwolić.

KRÓL. Bo nie czas było. Jeszcze do czynienia
Było tam wiele...

BISKUP. Więcéj w własnym kraju.
Przypomnij sobie te okropne dzieje.
Wojna w Kijowie więziła rycerstwo,
A tu tymczasem zbuntowane tłuszcze
W dwory i zamki wdzierały się panów.
Grabiły zbiory, majątki i skarby,
Albo krwawemi na niebie łónami
Swoje zbójeckie znaczyły pochody...
To jeszcze mniejsze w szeregu tych zbrodni!...
Ofiarą zemsty i zwierzęcéj żądzy
Padały żony i córki tych mężów,
Których przy sobie trzymałeś na wojnie,
I gwałt niewieści, najstraszliwszy z gwałtów,
Albo rozpusta i dzika swawola
Zapanowały po całym obszarze
Twego królestwa. Czyż można się dziwić,
Czyliż za winę liczyć to się godzi,
Że serce wstrzęsło się w piersiach rycerzom,
Że zapomnieli o wszystkiém na świecie,
I krzyk słyszeli tylko swoich dzieci,
Krzyk żon: ratunku! zdala wołających!

KRÓL. Nędzni!—a mego nie słyszeli głosu,
Na głos swojego króla byli głusi—

Uszli z Kijowa—odbiegli mnie wszyscy,
W nieprzyjacielskim kraju, pośród wrogów
Samego, na los szczęścia zostawili!
Wszystkie zamiary, wszystkie moje cele
Ważne i wielkie, wypieszczone w duszy
Przez długie lata, dla których spełnienia
Wszystkie żywota poświęcałem chwile,
Na raz upadły, poszły w niwecz—nędzni,
Dla ich płonących dworów, dla swawoli
Ich żon niewiernych!... Mogli przecież ufać,
Że ja podołam wszystkiemu, i z Rusią
Rzecz ukończywszy, w kraju ład przywrócę!
Nędzni, potrzykroć nędzni! jeślim srogi
Zrobił się dla nich, czuję, że mi trudno
Wymyśléć było na tyle srogości,
Aby ich zbrodnię zrównoważyć mogła!

BISKUP. Zaciętość widzę i upór u ciebie,
Jednak nie tracę w twą skruchę nadziei,
I słowa, które wyrzekłem, zostawiam
Jako nasienie w roli twego serca—
Może z nich późniéj dobry kłos wyrośnie!
Na czyny twoje kościół obojętnie
Patrzéć nie może, bo obrażasz niemi
Boskie przepisy, będące podstawą
Tego co dobre i święte na ziemi,
Bo przez postępki srogie i tyrańskie
Nieszczęście zwalasz na twoich poddanych,
Którzy gdy innéj nie mają opieki,
Kościół ich musi zasłonić swą tarczą,
Stać w ich obronie z tą mocą i władzą,
Jaką Zbawiciel nadał mu przed wieki
Nad sumieniami i duszami ludzi.—
Daję ci, królu, trzy dni do namysłu,
Po trzech dniach wrócę i spytam: czy zawsze
Jednako twarde jest u ciebie serce,
Czy na me prośby i me napomnienia,
Jak dziś, odpowiesz pogardą i gniewem?

KRÓL. Daremny trud twój!—odpowiem tak samo.

BISKUP. Nie twierdź tak śmiało! Bóg jest miłosierny
I łaska jego jest niewyczerpana—
Może jéj promień spuścić i na ciebie,
Za trzy dni wrócę słyszéć twą odpowiedź.

Tymczasem Chrystus niechaj będzie z tobą.
(z głębokim ukłonem oddala się)

KRÓL *(patrząc za odchodzącym z gniewem—po chwili)*
Zuchwały księże! zaszedłeś daleko,
Przeciw méj woli postawiłeś własną,
Pod swą powagę ugiąć mię pragnąłeś—
To więcéj niźli zniosę i pozwolę!
(Odchodzi prędko, za nim Dworzanie)

AKT II.

Wspaniała sala na Zamku; trofea, makaty itp. Wszystko przygotowane do uczty. Kilka stołów zastawionych, złote i srebrne naczynia. W głębi, we środku, na małém podwyższeniu, stół mniejszy przeznaczony dla króla. Za podniesieniem zasłony Zbylut, Lassota i kilku innych z drużyny królewskiéj siedzą przy jednym stole. Domarad, Niemira i kilku jeszcze Dworzan stoją w różnych stronach sceny. Wchodzą: Wojewodowie Żelimir i Kryspin, z nimi Mirosz

Scena 1.

Żelimir, Kryspin, Drużyna, Dworzanie (późniéj więcéj jeszcze Panów i Szlachty).

MIROSZ *(do Żelimira, wchodząc)*
Skorom usłyszał o waszém przybyciu,
By was powitać, wyszedłem naprzeciw.
Otóż jesteśmy w godowéj komnacie.

ŻELIMIR. Bóg z tobą chłopcze! Dobrym to jest znakiem,
Jeżeli młodość zna uszanowanie
Dla siwych włosów. Cóż? widzę ci z oczu,
Chciałbyś się o coś zapytać, a nie śmiesz.

MIROSZ. O prawda panie, moję myśl odgadłeś!

ŻELIMIR. Bądź więc spokojny, twoja Bogna zdrowa
Dziękować Bogu, śle ci swe ukłony
I pozdrowienie.

MIROSZ. Wlewasz życie we mnie!
Tak dawno córki waszéj nie widziałem,
Tyle mam w sercu tęsknoty za Bogną,
Że mi potrzeba było takiéj wieści.

ŻELIMIR. Chłopcze, to może lekka jest przymówka?...
Ha! nic dziwnego, wam młodym przed ślubem
Czas się powoli, żółwim krokiem wlecze.
No, do kobierca już nie tak daleko,
Myślę ja o tém, myślę, by ukończyć

Waszą rozłąkę, przyśpieszyć dzień szczęścia—
Ah, najpiękniejszy pewnie w całém życiu!

MIROSZ. Jakże ty, panie, jesteś dla mnie dobry,
Czémże na tyle zasłużyłem względów?

ŻELIMIR. Mam przytém także i swoję rachubę,
Chciałbym cię, chłopcze, wyrwać stąd co prędzéj;
To towarzystwo, ten dwór, w którym jesteś,
To nie dla ciebie—nic tu nie skorzystasz.

MIROSZ. Co mówisz panie?.. nasz król taki dzielny...

ŻELIMIR. Daj temu pokój. Ni miejsce ni pora
Rozprawiać o tém. Wróć pomiędzy młodych,
Tam twa zabawa; my tu z wojewodą
Odświeżyć mamy dawnych lat znajomość.

MIROSZ (*całując go w rękę*)
Kiedy tak żądasz...
(*Odchodzi do stołu, przy którym siedzi Drużyna*)

DOMARAD. (*przystępując do Wojewodów*)
Szlachetni panowie,
Siadajcie proszę, rozkażcie co wola.
Król pan niedługo pośród nas zawita,
Tymczasem, mówił, niechaj każdy będzie
Jakby u siebie. Czem wam służyć mogę,
Może przekąskę, miodu albo wina?

ŻELIMIR. Za dobre chęci dziękujemy bracie,
Nic nam nie trzeba. Siadajmy, Kryspinie.
(*Obaj siadają po drugiéj stronie sceny*)
Cieszę się bardzo, stary przyjacielu,
Żem was zobaczył. Co raz mniej na świecie
Jest zacnych ludzi.

KRYSPIN. Bóg zapłać za słowo.
Miło was widzieć, miło, i to jeszcze
W tak dobrém zdrowiu. Zawsześ taki krzepki,
Nie znać na tobie tych sześciu krzyżyków.

ŻELIMIR. Z okładem, bracie, i z dobrym okładem!
Tak, chwalić Boga, siły jakoś służą,
Nieraz mi zda się, żebym tak jak ongi,
Za jednym susem, od stóp do głów w zbroi,
Wskoczył na konia, lub w tych pięciu palcach
Na pół przełamał żelazną podkowę.

KRYSPIN. Szczerze winszuję

ŻELIMIR. A jednak, mój bracie,
I takie zdrowie, tak jak rdza żelazo
Zjeść mogą troski... Nie myślałem wcale,

Że was tu spotkam na królewskiéj uczcie.
KRYSPIN. I ja was widziéć nie miałem nadziei.
ŻELIMIR. Nie byłbym przyszedł, gdyby nie wyraźny
Rozkaz królewski. Jestto rzecz przeciwna
Mym przekonaniom, choć jeszcze nie taka,
By się sumieniu memu sprzeciwiała.
Bo wtedy, niechby stu królów kazało,
Jabym tu nie był.
KRYSPIN. Na podobny rozkaz
I ja przybyłem. Prawdę mówiąc szczerą,
Ta uczta mnie się wcale nie podoba.
ŻELIMIR. I słusznie. Cel jéj widny jak na dłoni:
Jestto szyderstwo na groźby biskupa.
KRYSPIN. Czy prawda, o czém mówili mi w mieście,
Że ma się na niéj pokazać Krystyna?
ŻELIMIR. Nie wiem... być może... byłaby to dla nas
Ciężka obelga... Tak, tak, przyjacielu,
Podobne rzeczy gryzą to człowieka,
I trują spokój! Szczęśliwy, kto od nich
Jest jak najdaléj. Co się tutaj dzieje,
Smutno pomyśléć, smutniéj patrzéć na to,
I mimowoli trzeba pięść zaciskać.—
Lecz oto nasi nadchodzą. Witajcie!
Jak się masz Dersław? Zdrowia kasztelanie!

(Żelimir i Kryspin witają się z kilku Panami świeżo przybyłymi. Inni nadchodzą jeszcze stopniowo i po rozmaitych miejscach, stojąc lub siedząc, tworzą grupy).

ŻELIMIR. Siadajcie przy nas, miejsca jest zadosyć,
Tak miło w gronie widziéć się przyjaciół.
(*Siadają, zaczyna się rozmowa po cichu*)
ZBYLUT. (*przy drugim stole—powstaje*)
Niech nam król żyje! Ten toast podnoszę
Za zdrowie króla, nie wątpiąc na chwilę,
Że go spełnimy duszkiem i do kropli,
Wszyscy jak tutaj jesteśmy zebrani.
Słyszycie: duszkiem, do kropli!
DRUŻYNA (*wstając*) Do kropli!
ZBYLUT. Héj Domaradzie, Niemiro, tym panom
Nalejcie wina (*do siedzących po drugiéj stronie*)
Panowie starszyzna,
Pijemy zdrowie króla!
(*Wszyscy powstają i podnoszą kielichy*)

ŻELIMIR. (*dobitnym, lecz urywanym głosem*)
Niech król żyje!
(*spełniwszy toast, siadają napowrót*)

ZBYLUT. Król ma w nas dobrych i wiernych poddanych,
Możem to sobie powiedzieć na własną
I jego chlubę. Lecz też ilu królów
Na całym świecie, to nie ma drugiego,
Który tak hojny byłby dla nas ludzi,
Co się rycerskiém poramy rzemiosłem.
Nie darmo miecz nasz jego tron podpiera,
I krew za niego nie darmo lejemy,
Nasze zasługi jego szczodrobliwość
Wszelkim dostatkiem sowicie opłaca.
Żołnierz jest panem przy rycerskim królu,
Pierwsze ma miejsce pośród wszystkich stanów,
Jego się boją i jego szanują;
Dobrze nam, bracia, jest pod takiém berłem,
Każdy nam może pozaździrościć losu,
Ze złota pijem, na srebrze jadamy—
To króla łaska—niechaj król nam żyje! (*usiada*)

MIROSZ (*powstaje*)
Któżby ci z serca całego nie wtórzył?
Kochamy króla, bo nie tylko władcą,
Ale jest także ludu bohaterem.
W nim szukać wzoru rycerskiego męża:
Gdzie działać trzeba, tam on pierwszy stanie,
Pierwszy na czele, gdzie niebezpieczeństwo;
Wsławił ojczyznę na wsze strony świata,
Ni z jednéj wojny nie wyszedł pobity,
A żadnéj nie wiódł z nikczemnych pobudek,
Dobro narodu, uczucie słuszności,
Chęć sławy wszędzie mu przewodniczyły.
Pod takim wodzem służyć jest zaszczytem,
Takiego króla wielbić nam i kochać! (*usiada*)

ŻELIMIR. (*n. s.*) Młody twój zapał godny lepszéj sprawy!

LASSOTA. (*wstaje*) Ja krew i życie oddaję za króla.
Byłem biedakiem, sierotą bez ojca,
Bez matki, on mnie przytulił do siebie,
Żywił, wychował, i czém dzisiaj jestem,
Jestem przez niego. Gdy o króla chodzi,
Niczém przyjaciel, niczém brat rodzony
Jest dla mnie—nie znam nikogo prócz niego,

I gdyby kazał, każdemu bym w gardło
Miecz po rękojeść bez namysłu wepchnął.
Niech żyje król mój! (*usiada*)

ZBYLUT. Dobrze, dobrze, bracia,
Kochajcie króla i służcie mu wiernie—
Nie wszyscy w kraju jak my równie myślą.

MIROSZ. Co znowu?... Któżby na to się ośmielił,
Kto się dopuścił téj niegodziwości.

ZBYLUT. Są jednak tacy. Niedaleko szukać,
Wszak pamiętacie, jak biskup przemawiał.

LASSOTA. Ah, biskup—to ksiądz!

ZBYLUT. Ksiądz, choć bez oręża,
Może być wrogiem. To mi tylko dziwno,
Że tak łaskawie król sobie postąpił,
Że zniósł cierpliwie jego ostre słowa,
I że pysznego klechę nie rozkazał... (*kończy gestem*)
Jabym tak zrobił, jak mi zdrowie miłe!

ŻELIMIR (który się tym mowom przysłuchiwał, powstaje, zbliża się do drugiego stołu, zatrzymując się w połowie sceny)
Król dorze wiedział co czyni, a tobie
Jego postępków ganić nie przystoi.

ZBYLUT. Pan wojewoda, jak z téj mowy widzę,
Nie dzieli zdania, że hardość biskupa
Szła za daleko.

ŻELIMIR. O ile słyszałem,
Biskup zachował powinny szacunek
I cześć dla króla, a prawdę choć gorzką
Godziło mu się wypowiedzieć.

ZBYLUT. Tak więc?
Z jakiéj przyczyny? skąd do tego prawo?

ŻELIMIR. Wszak jest kapłanem, wyobrazicielem
Najwyższéj w świecie zwierzchności, kościoła.

ZBYLUT. Króla ta zwierzchność wcale nie obchodzi.

ŻELIMIR. Czemu? ta zwierzchność wyższa jest nad królów.

ZBYLUT. Co?.. Gdyby taki ksiądz od brewiarza
I od kropidła, zechciał mi przewodzić,
Mnie, który tylko prostym jest rycerzem,
Jak mi Bóg miły, dałbym mu naukę,
Żeby raz drugi tego nie spróbował.
A cóż król? który tysiące rycerzy
Ma na rozkazy, przed którym się korzy
Narodów tyle w wszystkich stronach świata—

Miecz zawsze mieczem, on włada i rządzi,
Kto miecz ma, przy tym moc i panowanie.

ŻELIMIR. Mylisz się w zdaniu. Wszyscy należymy,
Wielcy i mali, chłopi i rycerze,
Ci którzy w płótnie i w purpurze chodzą,
Do jednéj wielkiéj chrześciańskiéj rzeszy,
Wszystkich nas wiara dokoła jednego
Skupia ołtarza, nie tylko w tym kraju,
Lecz wszędzie, dokąd sięgają promienie
Chrystusowego światła i nauki.
A nad tą wielką rzeczą pospolitą
Najwyższą głową jest namiestnik boży,
Z woli Chrystusa nad nią przełożony.
Jemu jesteśmy winni posłuszeństwo,
I wszystkim jego zastępcom biskupom,
Tak w rzeczach wiary, jak i w sprawach świeckich,
Gdy mają związek z wiarą i sumieniem.
To podwalina, na któréj się wspiera
Dobro i szczęście ludów na tym świecie,
A gdzie się ona zachwieje, gdzie tylko
Lekceważenie kościelnéj zwierzchności
Choćby najsłabszym odezwie się głosem,
Tam zaraz gmachu rysują się ściany,
I państwu grożą klęski i ruina.
Wszak żywy przykład mamy przed oczami—
Patrzcie na Niemcy, na wielkie, potężne
Cesarstwo rzymskie, silniejsze od wszystkich
Co są na ziemi—jak ono dziś słabe,
Jak krwią się broczy w bratobójczych wojnach!...
Dlaczego?.. oto że Cesarz w swéj dumie
Wyższym być pragnął od władcy kościoła.

ZBYLUT. U nas inaczéj, panie wojewodo,
Nic podobnego u nas się nie zdarzy!
Nie mamy książąt i nie mamy grafów,
Coby stanęli naprzeciw królowi
W jednym szeregu z zagraniczną mocą;
Pomiędzy nami nie ma buntowników,
Coby miecz wznieśli na własnego pana!

MIROSZ. Wstrzymaj się, Zbylut,—unosisz się nazbyt!

ŻELIMIR (*po chwili*)
Nie potrzebuje kościół świeckiéj broni,
Ma on duchową, groźniejszą o wiele,

Broń, wobec której żelazne oręże
Jak źdźbło są nikłe—broń, której się zdaje,
Że Bóg potęgi swych gromów użyczył—
Klątwę!

KRYSPIN. Straszliwe powiedziałeś słowo!

ŻELIMIR. Kościół oddzieli grzesznika od wiernych,
Z łask i dobrodziejstw swych go wydziedziczy,
Zamknie mu progi świątyni, i czoło
Piętnem odstępstwa i winy naznaczy,
A taki człowiek będzie już zgubiony
Na wieki wieków, w tém i w przyszłém życiu!—
Mylisz się Zbylut—to nie oręż książąt
Zwalił cesarza, lecz papieskie słowo.
Grzegórz rzekł: jesteś przeklęty!—a Henryk
Przestał cesarzem być, i stał się niczém,
Nędzarzem gorszym od najnędzniejszego
Ze swych poddanych, bo wyrzutkiem z grona
Całéj ludzkości, jakby go był dotknął
Trąd zaraźliwy, morowe powietrze.—
W końcu téż cesarz musiał się ukorzyć,
I, by odzyskać straconą koronę,
Łaski papieża musiał się dopraszać,
I w skrusze żebrać jego miłosierdzia.
Tak dowiódł, kto jest na tym świecie wyższy.

ZBYLUT. Cesarz by błagał łaski, miłosierdzia?..
Nie słyszeliśmy, nic nie wiemy o tém,
I trudno temu uwierzyć zaiste.

ŻELIMIR. Więc wam opowiem, jak to i co było.
Mam o tém pewną, dokładną wiadomość,
Przyniósł ją świadek naoczny, pobożny
Stary zakonnik, coby za nic w świecie
Skłamać nie zdołał, a który przypadkiem,
Kiedy powracał z pielgrzymki do Rzymu,
Na tych wydarzeń miejsce się zabłąkał.

KRYSPIN. Mów, opowiadaj, jesteśmy ciekawi.

MIROSZ. Słuchajcie!

ZBYLUT. Dobrze, możemy posłuchać.

(Niektórzy przystępują bliżéj do Żelimira i otaczają go ze stron obu; inni, jak Zbylut, zostają na swych miejscach. Wszyscy zwróceni do Żelimira).

ŻELIMIR (*stojąc w pośrodku sceny*)
Na stoku dzikich Apenińskich wzgórzy
Sterczy ku niebu naga, stroma skała,

Na którą rzekłbyś, że się ludzka noga
Wedrzéć nie zdoła, jednak na jéj wierzchu
Usiadła silna, granitowa twierdza,
Od tamtych ludzi nazwana Canossa.
W murach téj twierdzy od pewnego czasu
Zamieszkał papież, bo tam mu schronienie
Ofiarowała pewna włoska księżna,
By go od złości zabezpieczyć wrogów.
Gdy w tém zawitał gość niespodziewany—
Cesarz!... tak, Henryk w własnéj swéj osobie.
Przybył sam prawie, tylko w towarzystwie
Żony i dziecka, a za cały orszak
Służył mu jeden wierny, stary sługa,
Bo wszyscy inni już go porzucili.
Śród ciężkiéj zimy, przez śniegi, zawieje
Darł się przez Alpy tajnemi ścieżkami,
By nieprzyjaciół uniknąć zasadzek,
Pieszo, i w biednéj szacie podróżnika.
Zapukał w bramę, mosty mu spuszczono,
I wszedł pokutnik w dziedziniec zamkowy,
Wszedł cesarz... Któżby poznał był cesarza
W takiém ubraniu i w takiéj postawie?
Po mroźnym śniegu bosą stąpał nogą,
Z włosami jego igrał wiatr północny,
A skrzepłe ciało chroniła od zimna
Drapiąca członki, twarda włosiennica.

ZBYLUT. Co? jakto?.. boso, z nienakrytą głową,
W pokutnéj sukni?.. tak się cesarz stawił?..

ŻELIMIR. Tak, nie inaczéj. Czemże on był więcéj
Wobec papieża, jak każdy śmiertelnik
Pokutujący za swoje występki?—
Ale mijały po sobie godziny,
Stał drżący cesarz bez jadła, napoju,
I słońce zaszło za śnieżyste góry,
A nikt nie przyszedł w imieniu papieża
Tego wędrowca zaprosić na zamek.
I przeszedł jeszcze potém i dzień drugi,
Po drugim trzeci—cesarz ciągle błagał,
Ciągle modlitwy zsiniałemi usty
Szeptał, napróżno oczekując łaski.

MIROSZ. Nieszczęsny cesarz!

ZBYLUT. Nikczemny monarcha!

Albo to wszystko wierutną jest bajką,
Albo ten Henryk nie godzien był nigdy
Nosić korony!—No, a jakiż koniec,
Dopowiedz resztę tych ciekawych dziejów.

ŻELIMIR. Wreszcie czwartego dnia papież się zmiękczył,
Przed swe oblicze przypuścił Henryka,
I słuchał, jak on na kolanach błagał
O przebaczenie i o zdjęcie klątwy.
Stało się zadość prośbie pokutnika,
Papież przebaczył, mszę nad nim odczytał,
Dał rozgrzeszenie, i tém jedném słowem,
Tak jak go strącił, znowu na tron podniósł.
(*Chwila milczenia. Wrażenie między obecnymi*)

ZBYLUT. To wymysł księży!—nie warto tém głowy
Sobie zaprzątać.

ŻELIMIR. Nie, to prawda szczera!
I warto nad tém pomyśléć.

ZBYLUT. Cóż z tego?
Że cesarz słaby...

ŻELIMIR. Że papież potężny.

Scena 2.

Ciż sami. Wchodzi Władysław Herman, z nim kilku nowych panów.

WŁ. HERMAN. Bóg z wami wszyscy, witaj wojewodo!

ŻELIMIR. Zdrowia wam książę!... Jesteście wzruszeni
I niespokojni...

WŁ. HERMAN. Sił w sobie nie czuję.
Burza nam grozi! Mówiłem z mym bratem,
Niechciał mię słuchać; szedłem do biskupa,
Ten trwa przy swojém. Król daje tu ucztę,
By biskupowi w ten sposób dokuczyć;
Biskup odprawia o tym samym czasie
O nawrócenie króla nabożeństwo.
Co stąd wyniknie? z trwogą patrzę w przyszłość!

ŻELIMIR. Ja myślę jednak, że król...

WŁ. HERMAN. Tak, powinien
Zmięknąć, ustąpić... Nie godzi się walczyć
Z władzą kościoła, niby z samym Bogiem.

ŻELIMIR. Jakaż to szkoda, że tego rozsądku
Nie ma u króla. Wszak biskup miał słuszność...

WŁ. HERMAN. Niestety! temu zaprzeczyć nie można.
Na domiar złego ma w niedługim czasie
Legat papieski zjechać w nasze strony.
ŻELIMIR. Pierwszy raz słyszę.
WŁ. HERMAN. To rzecz niezawodna.
Ten Grzegóż, który w silną ujął rękę
Nad Chrystusową owczarnią zwierzchnictwo,
Dał mu zlecenie przyjrzéć się naocznie,
Jaki kościoła stan, jaka jest karność
Między wiernymi, jakie obyczaje.
Cóż będzie, jeśli w chwili téj rozterki
Zjawi się u nas? Czyż całą swą mocą
Nie poprze żądań i życzeń biskupa?
Czy to, co tutaj dzieje się, nie ściągnie
Nowéj nagany także z jego strony?
A jeśli króla nie znajdzie powolnym...
ŻELIMIR. Na tyle mógłże on by mieć śmiałości?
Mówię otwarcie: aby kraj uchronić
Od skutków tego zuchwałego kroku,
Musielibyśmy, my szlachta, rycerze
Oprzéć się temu... Ze sprawą kościoła,
Łączy nas spólność, jaka zawsze spaja
Przeciw tyranom wszystkich uciśnionych.
Jeżeli król więc...
WŁ. HERMAN. Ah, nie kończ, zamilknij!
Drżę, gdy mi stanie ten obraz na myśli,
Coby się działo z biedném naszém państwem.

(Dwaj Heroldowie wchodzą, stają po obu stronach drzwi i donośnym głosem wołają, król idzie! Wład. Herman i Żelimir schodzą na bok; rozmowy między obecnymi ustają: ci co siedzieli podnoszą się).

Scena 3.

Ciż sami i Król. (Wchodzi powoli, przygląda się bacznie zgromadzonym, którzy go ukłonem witają).

KRÓL (*d. s.*) Są wszyscy—nawet i dumny Żelimir...
Boją się... Dobrze—o więcéj nie chodzi—
Niech tylko widzę, tak jak dziś, te głowy
Zawsze schylone przed mojem obliczem.
(*głoś.*) W swym domu witam was wszystkich, panowie
I dzięki składam, że na głos mój chętnie
Zgromadziliście się pod moim dachem.—

Niemira, idźcie do pani Krystyny,
Powiedźcie, że ją król tutaj zaprasza
(*Niemira wychodzi*)

ŻELIMIR (*n. s. do Kryspina*)
Czy słyszysz, bracie?.. Krew się we mnie burzy!

KRÓL. Dzisiaj dzień cały będziemy ucztować,
Chcę go w radości spędzić i weselu,
I mam nadzieję, zacni moi goście,
Że mi z ochotą w tém dopomożecie.

Scena 4.

Ciż sami i Krystyna (wchodzi nieśmiało, ze spuszczonemi oczami, mocno wzruszona, za nią) Niemira. (Król podchodzi do niéj, bierze ją za rękę i prowadzi przez scenę ku stołowi we środku).

KRÓL (*do Krystyny, prowadząc ją*)
Jesteś tak blada—krok twój taki chwiejny...
Co robisz?... śmiałą bądź mi i wesołą...
Proszę Krystyno, proszę i wymagam.
(*głośno, gdy już przyszli do stołu*)
Tu jest dla ciebie miejsce, moja pani,
Tu przy mym boku, po méj prawéj stronie.
(*do Wład. Hermana*)
A ty mój bracie, usiądź po lewicy.
(*usiadają; za nimi wszyscy inni przy różnych stołach*)
Domarad! tobie daję polecenie:
Zejdź do przedsionka; gdy biskup przybędzie,
A ma dziś przybyć, jeśli dobrze pomnę,
Wpuścić go do mnie bez opowiadania,
Téj saméj chwili. (*Domarad wychodzi*)

ŻELIMIR (*n. s.*) Bolesne szyderstwo!

KRÓL. Służba! każdemu, co tylko zażąda,
Wina i potraw. (*Służba podaje potrawy, rozlewa wino*)
Nie widzę w mych gościach
Téj wesołości, jakiéj bym tu pragnął.
Hola! muzyka niechaj się odezwie,
Ona ochoty naszym sercom doda!
(*Jeden z Dworzan odchodzi z poleceniem*)

KRÓL (*n. s.*) Jedz, pij, Krystyno! Ludzie na cię patrzą,
Niechaj twarz widzą dumną i pogodną.

KRYSTYNA (*przytyka puhar do ust i zaraz go stawia d. s.*)
Tchu mi brakuje, na piersi tak ciężko!
(*Słychać muzykę za oknem*)

KRÓL. Te dźwięki, z wina zmieszane kroplami,
Dusze nam słodką napoją radością.

(Odzywa się za sceną śpiew księży: „Salvum fac populum tuum Domine!“—przez chwilę muzyka i ten śpiew się mięszają; nagle muzyka cichnie i słychać coraz wyraźniej-szy śpiew)

KRÓL. Co to jest?!.. czemu zamilkła muzyka?..
(*Domarad wraca*)
Skąd się pod oknem wzięło to śpiewanie?

DOMARAD. To biskup wyszedł z procesyą z kaplicy,
A gdy grajkowie ten pochód ujrzeli,
Schyliwszy głowy, padli na kolana
I grać przestali.

KRÓL. Czy biskup tu idzie?

DOMARAD. Tak jest, uprzedzić go tylko przybyłem.
Co każesz, królu?

KRÓL. Nic. Wpuścić biskupa.

DOMARAD. Tutaj?...

KRÓL. Tu, tutaj! Czemuż by gdzie indziéj?

ŻELIMIR. Taka zniewaga!...

KRÓL. Co?!..

WŁ. HERMAN. Rozważ, mój bracie,
Obelga taka będzie zbyt dotkliwa

ŻELIMIR. Idę biskupa ostrzedz... Ha, zapóźno!

(Śpiew milknie. Domarad otwiéra drzwi, wchodzi Biskup w stroju pontyfikalnym; za nim dwóch Dyakonów, również w strojach kościelnych.—Krystyna, Żelimir, Kryspin, Domarad, Niemira i wielu innych przyklękają; inni jak: Król, jego Drużyna itd. podnoszą się ze swoich miejsc i stoją. Chwila milczenia)

Scena 5.

Ciż sami. Biskup i Dwóch Dyakonów.

BISKUP (*wszedłszy na środek sali*)
Gdzie król?.. do króla przychodzę.

KRÓL (*przy stole*) Tu jestem.

BISKUP. W biesiadném gronie, przy stole roskoszy
Oczekiwałeś mego przyjścia, królu,
Zamiast posypać głowę swą popiołem,
I w łzach pokuty zmywać ciężkie grzechy.

KRÓL. Na dumne słowa ja mam dumne czyny.
Masz ją, gdy chciałeś mojéj odpowiedzi.
BISKUP. Do tegoż przyszło! Bóg i kościół jego
Nowéj zniewagi doznali od ciebie!
A więc ty ustąp, święta łagodności,
Słodka dobroci zamknij swoje usta,
A niech tu stanie w groźnym majestacie
Władza kościoła, papieża potęga,
I na proch zetrze hardość winowajcy.
Przedtém błagałem—dziś cię upominam,
I najsurowiéj tobie nakazuję,
W imieniu ojca świętego papieża,
Ugnij swe czoło przed wolą kościoła,
Panuj téj ziemi jak król chrześcijański,
Napraw zgorszenie, powstrzymaj swą srogość,
Z poddanych swoich zdejm tłoczące jarzmo,
Inaczéj wyrok najwyższego sędzi...
KRÓL. (*zrywa się od stołu i wybiega na środek sali do Biskupa*)
Co mnie twój kościół, twój papież!... Milcz księże!
Dosyć téj mowy zuchwałéj!... Ja z Rzymu
Odbierać nie chcę i słuchać rozkazów!
Ja mam innego ponad sobą pana,
Który na rzymskiéj nie siedzi stolicy,
I przed nim tylko za czyny człowieka
I czyny króla będę odpowiadał!
Dopóki miecz mam, póki berło w dłoni,
Nad sobą obcéj nie uznam zwierzchności,
I nie pozwolę, by kto jako sędzia
Między mną stawał i między mym ludem!
BISKUP. Tyś w błędzie, królu!...
KRÓL. Ciebie czart opętał!
BISKUP. Burzysz porządek, jaki ustanowił
Najwyższy rządca, w niebie i na ziemi.
Władza kościoła i papieża władza
Jest starsza, wyższa od świeckiéj zwierzchności;
Sam Chrystus dał ją niegdyś swym następcom,
A dał tak silną, że do końca świata
Bramy piekielne—nic jéj nie przemoże.
Wy, co władacie mieczem nad ludami,
Wy, cesarzowie, królowie, książęta,
O tyle tylko macie w sobie mocy,

O ile kościół ze swéj wam udzieli,
I nie skądinąd téż wasze korony
Tylko z kapłańskiéj przyjmujecie ręki.
I ta moc dana wam pod tym warunkiem,
Byście rządzili zgodnie z prawem bożem,
Według przepisów ludzkości i cnoty,
Których jest kościół tłómaczem i stróżem.
Więc jeśli z waszéj krewkości, z popędu
Jaki wrodzony do złego w człowieku,
Nadużyjecie swéj władzy, jeżeli
Własne swe grzechy osłonić nią chcecie,
To wtedy kościół, jako matka ludów,
Jako urzędnik z ramienia bożego,
Jako rozjemca nad wami stojący,
Głos swój podnosi, karci was i gromi.
Tak, królu panie, dwie w świecie są władze,
Jako dwa światła na niebieskim stropie:
Władza królewska jestto niby księżyc,
Co pożyczanym tylko świeci blaskiem,
Władza papieska zaś—to gwiazda dzienna,
To słońce, własném promieniące światłem!

KRÓL. Szydzę z téj waszéj urojonéj mocy!
Moje żelazo przetnie kij drewniany,
Który symbolem jest waszéj potęgi;
Wy mnie próżnemi nie zwalczycie słowy,
A cóż nad słowo macie więcéj w rękach?

BISKUP. Pomnij, że słowo może stać się ciałem!
Jeśli od ciebie, królu, nie uzyskam,
Czego mi żądać Bóg i kościół każą,
Na grzechy twoje muszę spuścić karę,
I w zagrożonych praw boskich obronie,
W obronie słabych, których uciemiężasz,
Dla powstrzymania twéj złości zapędu,
Muszę wystąpić zbrojny w miecz kościoła,
I rzucić klątwę!

KRYSTYNA (*n. s.*) Miłosierny Boże!

KRÓL. Ty śmiałbyś, księże?...

BISKUP. Dlaczegoż nie? królu.

KRÓL. Strzeż się, strzeż tego!

BISKUP. Na wszystkom gotowy,
Mych obowiązków przyjmę wszystkie skutki.—
Sam jesteś królem, byłeś nieraz wodzem,

Wiesz z doświadczenia, że gdy żołnierzowi
Wydałeś rozkaz: idź tam i to uczyń—
On szedł, na rany i na śmierć nie pytał.
Jam także żołnierz w zaciągu kościoła,
A moim ziemskim naczelnikiem papież.

KRÓL. Odwołaj zaraz to hańbiące słowo!

BISKUP. Nie odwołuję, lecz owszem powtarzam:
Czeka cię klątwa!

KRÓL. Ty nie zrobisz tego!

BISKUP. Gdy mię przymusisz, zrobię nieochybnie

KRÓL. Bój się méj zemsty!

BISKUP. Niechaj na mnie spada—
Nie mam wyboru. Lub ty się poprawisz,
Lub ja wypełnić muszę mą powinność,
I głosem, w którym Bóg się odezwie
Nad twoją głową zagrzmieć: bądź przeklęty,
Przeklęty tutaj i na drugim świecie,
Przeklęty dzisiaj i na wieki wieków!

(wychodzi, za nim Dyakonowie. Na obecnych znać wielkie wrażenie)

Scena 6.

Ciż sami prócz Biskupa i Dyakonów.

KRYSTYNA (*po chwili, silnym, spazmatycznym głosem, wśród ogólnéj ciszy*) Boże mój, Boże!

KRÓL (*opamiętawszy się prędko, przybiega do niéj*)
Co ci jest, Krystyno?

KRYSTYNA. Słabo mi, królu...

KRÓL. Cóż cię tak obeszło?...
Że ten fanatyk wpadł w dziką zaciekłość
I ty dla tego... wstydź się, to dzieciństwo!

KRYSTYNA. Pozwól mi odejść...

KRÓL. Nie, nie, tu zostaniesz.
(*siada przy niéj za stołem*)
Daléj, panowie, czemu to milczenie?
Co zaszło, myśli nam zmącić nie zdoła.
Weźcie za czary, niechaj puhar krąży!

ZBYLUT. A pierwszy toast: niech ginie ten biskup!

LASSOTA. Precz, precz z biskupem, precz z tym buntownikiem!

WŁ. HERMAN. Cicho, rycerze!

ŻELIMIR. Nierozsądni ludzie,
Dokąd zmierzacie tym bezbożnym wrzaskiem!

DOMARAD (*który od niejakiego czasu zbliżył się do Krystyny i na nią uważał*)
Patrz, królu! ona blada, jak bez życia—
Pani Krystyna zemdlała!

KRÓL (*wstając nagle*) Przekleństwo!
Nieść ją do siebie!.. Uprzątnąć te stoły!..
Lekarza prędzéj!.. Żegnam was panowie.

(Król i kilku bliżéj będących zajmują się Krystyną; wszyscy inni powstają aby pożegnać króla—zasłona spada).

(*dok. nast.*) *Adam Belcikowski.*

Sesya sejmu galicyjskiego z r. 1881.

Ubiegła sesya sejmu galicyjskiego pod wielu względami ważną być musiała. Dwudziesta rocznica życia konstytucyjnego w Austryi mimowoli skłaniała do krytycznych uwag i porównań; nowy, znany z energii marszałek kraju upoważniał do wielu nadziei; konieczna reforma ekonomiczna była zapowiedzią pożądanych zmian na polu, na którém Galicya najbardziéj potrzebuje polepszenia; wreszcie nowy gmach krajowy, w którym sejm po raz pierwszy miał obradować, otaczał zebranie na zewnątrz pewną aureolą. Ba! nawet rząd podnosił wagę przyszłych obrad, biorąc inicyatywę reformy administracyjnéj, któréj bardzo a bardzo Galicya potrzebuje.

Zacznijmy od rzeczy zewnętrznych, od gmachu sejmowego, boć nie ulega wątpliwości, że i zewnętrzne wpływy niemałéj są wagi, a osobliwie dla ciała parlamentarnego, gdzie siedzenie na jednéj ławie, koleżeństwo bardzo ważne za sobą pociąga skutki. W sali redutowéj skarbkowskiego gmachu sejm obradował na komorném: komiczne maski, tańczące muzy przedrzeźniały się z sufitu najpoważniejszym rozprawom; dwa tylko rzędy ławek zbyt niedogodném były miejscem dla stosownego ugrupowania się posłów jednéj opinii, a wreszcie tymczasowość pomieszczenia, owo złowrogie austryackie prowizoryum zawsze usposabiało niedowiarków na niekorzyść trwałości konstytucyjnych stosunków. Obecnie kraj ma już własny gmach dla reprezentacyi, gmach, który wprawdzie dużo kosztował, ale mieszcząc w sobie biura wydziału krajowego, zaoszczędza wszystkie te czynsze, które się rok-rocznie płaciło właścicielom domów prywatnych, za użycie potrzebnych dla administracyi lokalów. Gmach nie odpowiedział wprawdzie, co do zewnętrznych kształtów, i wewnętrznego urządzenia temu, czego się powszechnie spodziewano, ale przynajmniéj sala sejmowa nawet surowych krytyków zadowol-

nić może. Jest tam jakieś ale, brak akustyczności, jak na salę przeznaczoną do obrad parlamentarnych, dosyć wielkie *ale*—temu brakowi jednak starano się zapobiedz, a miejmy nadzieją, że mu jeszcze lepiéj zaradzą.

Częścią potrzeba wybrania sobie stosownych miejsc w nowéj sali, częścią inne od lat kilku wytwarzające się względy—skłoniły posłów do bardziéj stanowczego aniżeli dotąd skupienia się w grupy, utworzenia klubów, które w radzie państwa od dawna istnieją. Organizacya klubowa ma swe dobre strony, kluby bowiem wyrabiają pewne opinie, wyjaśniają zdania, oszczędzają niepotrzebnych w sejmie rozpraw. Ten i ów poseł, który przyjechał ze wsi z całym zapasem swych myśli i projektów i radby cały kraj zreorganizować, ma dostateczne pole poddać w szczuplejszém towarzystwie swe projekty pod rozwagę, wypróbować je, czy mają poparcie, czy nie, i albo ich zaniechać nie zajmując niemi niepotrzebnie izby, albo téż wystąpić z niemi, wspierając się na przychylném zdaniu swoich klubowych kolegów. Sejm galicyjski nie miał z razu klubów, zawiązało się tylko wielkie *koło polskie*, sejm w sejmie, wobec wrogich żywiołów narzuconych reprezentacyi kraju przez nieprzychylne jéj rządy centralistyczne. Gdy jednak ważniejsze sprawy wyłaniać się zaczęły, a z powodu korzystniejszego składu sejmu nie było już obawy, aby różnorodność zdań mogła przynieść szkodę narodowi—wtedy „koło“ okazało się za małém, aby w sobie pomieścić odmienne kierunki, w jakich szły poszczególne grupy posłów. Po raz pierwszy zarysował się taki odłam koła sejmowego w r. 1866 podczas rozprawy o ustawie gminnéj. Wówczas większa część posłów z powiatów zachodnich żądała wcielenia obszarów dworskich do gmin włościańskich i dla przeprowadzenia téj myśli zaczęła się łączyć w osobne koło. Myśl nie zyskała w sejmie większości, ale posłowie z powiatów zachodnich jéj nie porzucili, lecz jako jeden z głównych celów działania postawili sobie przekształcenie uchwalonéj przez większość sejmu organizacyi gmin i reprezentacyj powiatowych. Późniéj weszła także do programu reforma władz rządowych w połączeniu z przeistoczeniem władz autonomicznych, a dzisiejszy minister, wówczas poseł Dunajewski wypracował w r. 1871 projekt nowéj organizacyi władz rządowych i autonomicznych w Galicyi. Luźna z razu poselska grupa przybrała następnie ściślejszą organizacyą klubu, który się nazwał *klubem reformy* i objął prawie wszystkich posłów z zachodnich powiatów Galicyi i z Krakowa. Drugi z kolei utworzył się *klub postępowy*, składający się głównie z posłów wybranych z miast, którzy mieli pierwotnie za zadanie starać się o przeparcie zmiany ordynacyi wyborczéj do sejmu, w tym duchu, aby do reprezentacyi kraju weszła większa liczba,

niż dotąd, posłów z miast. Później wystąpiły inne, na razie pilniejsze kwestye, a klub nie tyle już się upominał o zrealizowanie pierwotnéj swéj myśli, ile starał się zajmować zawsze w sprawach bieżących stanowisko najdaléj posunięte, często teoretyczne, bez względu, czy to stanowisko w praktyce dało się utrzymać, czy nie. Klub ten nazwalibyśmy raczéj klubem teoretyków. Ze starszych posłów należy doń profesor Czerkawski, p. Otton Hausner, z młodszych pp. Tadeusz Romanowicz i Teofil Merunowicz. Po ostatnich wyborach weszło do sejmu dużo nowych sił, ludzi młodych, wychowanych wśród świeżych prądów, wykształconych, chcących z całém poświęceniem i energią służyć krajowi. Byli to posłowie ze wschodnich powiatów Galicyi, w znacznéj części szkolni lub uniwersyteccy koledzy, którzy się mało różnili w swych zapatrywaniach na sprawy publiczne. Najwybitniejszymi z nich byli Wojciech hr. Dzieduszycki i Alfons Czajkowski, tak pożytecznie i zaszczytnie działający w wiedeńskiéj radzie państwa. Wyobrażenia polityczne zbliżyły ich do ks. Jerzego Czartoryskiego, tak że w księciu pozyskali pożądanego towarzysza, i oddali mu przewodnictwo klubu, który się ukonstytuował na przedostatniéj sesyi sejmowéj. Klub ten nazwano *klubem Ateńczyków*, ponieważ wówczas kiedy się zaczął tworzyć, wydał hr. Dzieduszycki swą książkę, pod tytułem *Ateny*. Czwartym klubem, który faktycznie najdawniéj istniał, a najpóźniéj, bo dopiéro podczas ubiegłéj sesyi, został zorganizowany—jest *klub Podolaków*. Poseł Grocholski jest jego widomą głową i politycznym kierownikiem, i utrzymuje w nim umiarkowane dążenia obywatelstwa podolskiego, będące dalszym ciągiem politycznych tradycyj hr. Gołuchowskiego. Zapatrywania tego klubu różnią się w kwestyi reformy gminnéj od zapatrywań stronnictwa krakowskiego, ale się wogóle z niém zgadzają w konserwatywnych zasadach. Mała liczba posłów ruskich tworzyła jeszcze jedno piąte koło, ale to ruskie koło nie wywierało w ubiegłéj sesyi sejmowéj ważniejszego wpływu. Po za organizacyą klubową stało z początkiem sejmu zaledwie kilku posłów, liczba ta jednak znacznie przy końcu obrad przez to się powiększyła, że kilkunastu posłów wystąpiło z koła krakowskiego.

W cztery więc ugrupowany korpusy zabierał się sejm do przeprowadzenia niemałych zadań, które nań oczekiwały. Oprócz pomniejszych, stały na porządku dziennym aż trzy główniejsze sprawy, a mianowicie reformy: administracyjna, ekonomiczna i szkolna. Do administracyjnéj zachęcił rząd, jakeśmy to powiedzieli, przedkładając kwestyonarz zapytujący sejm: w jaki sposób istniejące w administracyi braki usunąćby się dały. Klub krakowski reformy od dawna zajmował się temi brakami, a zdaje nam się, iż nie dalekimi będzie-

my od prawdy, jeżeli część inicyatywy w poruszeniu téj sprawy przypiszemy właśnie temu z członków klubu, który z czasem wpływowe w rządzie zajął stanowisko.

Dwoistość administracyi jest kalectwem, na które od początku ery konstytucyjnéj cierpią kraje wchodzące w skład monarchii austryackiéj. Zaprowadzili ją centraliści, chcąc z jednéj strony zadość uczynić chwalebnéj zasadzie teoretycznéj, że reprezentacya kraju powinna brać udział w administracyi, z drugiéj zaś postawili tylko cień téj zasady, aby takowa nie posłużyla do wzmocnienia żywiołów narodowych nie-niemieckich, w monarchii. Cień jednak mimo woli i chęci centralistów przybrał jakie takie, chociaż nikłe ciało, w którém wpływ kraju na pewne przynajmniéj działy administracyi znalazł stałe oparcie. Galicya mogła sobie powiedzieć: bądź co bądź, będziemy mieli w ręku (gdyby niemieckie rządy wróciły) zarząd krajowych funduszów, stypendyów, dróg i szpitali; będziemy mieli wpływ na gminę i na kasy pożyczkowe gminne. Ten zarząd jednak i wpływ w ten sposób zabezpieczony dużo kosztuje, jest złem koniecznóm, które trzeba usunąć, jeżeli się tylko będzie miało pewność, że się autonomii inne mniéj kosztowne, da gwarancye. Otóż, cała trudność w wyszukaniu tych gwarancyj. Rezolucya galicyjska chciała je na swój sposób uzyskać, ale poszła za daleko, i stawiała żądania w niewłaściwéj chwili. Po upadku rezolucyi nie było sposobności do poruszenia tak ważnéj sprawy; gdyż rządy centralistyczne ani miały dostatecznego zaufania w kraju, ani téż ochoty do przedsięwzięcia tak ważnéj reformy. Obecny dopiéro rząd, opiérając się na autonomicznéj większości, był pewny, że będzie mógł wziąć się do dzieła. Sądził on, że kraje którym chodzi o autonomią narodową nie będą podejrzewały jego dobréj wiary, tém bardziéj, że w nim zasiada autor projektu reformy administracyjnéj wypracowanego przez stronnictwo autonomiczne Galicyi. Ministeryum postanowiło zatém poruszyć sprawę reformy administracyjnéj, a nie chcąc zapewne stawiać kategorycznego projektu administracyi, gdyż ten nie mógłby dla wszystkich krajów być jednakowy—wolało się zapytać sejmów: czy chcą reformy i w jakim kierunku? Zdecydowawszy się na takie zapytanie, musiał znów rząd rozważyć, czy ma postawić ogólnikowe tylko zapytanie, czy dać sejmom jaką taką do odpowiedzi wskazówkę. Pierwsza alternatywa musiała być ministeryum nie na rękę, bo na ogólnikowe pytania, mógł każdy z kilkunastu sejmów dać inną odpowiedź, mogła większość wypowiedzieć zasady federacyi, a w takim razie co począć? Węgrzy i Niemcy do federacyi nie dopuszczą, zresztą samo ministeryum tak daleko iśćby nie chciało. Powiedzianoby słusznie: stawialiście pytania, a nie rozważyliście, jakie odpowiedzi

może pociągnąć za sobą konsekwencya. Ministeryum postanowiło zatém sformułować zapytania w ten sposób, iżby z nich było widoczném, w jakim duchu ono pojmuje reformę administracyi, i jak daleko sięgnąć mają koncesye, któreby zrobiło na rzecz autonomii. Dotąd wszystko dobrze, reprezentacya kraju wolała zapewne znaleść się wobec tak postawionych zapytań, mogła bowiem naprzód wiedzieć, czego się od rządu spodziewać wypada, jak należy postępować, chcąc pozytywne osiągnąć korzyści. Sformułowany jednak przez rząd kwestyonarz wywołał do pewnego stopnia rozczarowanie, gdyż miał taki pozór, jakgdyby rząd zamiast rozszerzyć chciał zacieśniać autonomią kraju. Osobliwie drugie pytanie: czy nie należałoby zorganizować istniejących reprezentacyj powiatowych, w ten sposób, by starosta stanął na czele całéj rady powiatowéj, lub wydziału powiatowego i objął spraw kierownictwo? wyglądało jako zamach na autonomią. Wprawdzie zapytywał się rząd, czyby w pewnych sprawach rady powiatowe nie powinny *ostatecznie* zarządzać i orzekać, a daléj jeszcze przypuszczał, że co do pewnych spraw ma rozstrzygać Namiestnictwo z *przybraniem do rady członków wydziału krajowego*, ale częściowe ustępstwo z władzy rządowéj nie pokrywało tego złego wrażenia, które sprawiał ustęp drugi kwestyonarza. Wszystkie pytania postawione były zresztą jakoś nieśmiało, połowicznie, i nie przebijało z nich bynajmniéj, aby reforma w myśl takowych wprowadzona mogła rzeczywiście kraj ratować od niedogodności i kosztów podwójnéj administracyi. Kwestyonarz nie znosił téj ostatniéj, gdyż pozostawiał wydział krajowy, ale tylko w niektórych sprawach zbliżał do siebie władze rządowe i autonomiczne, i to na niekorzyść autonomicznéj idei. Wprawdzie myśl, aby starosta przewodniczył wydziałowi powiatowemu, analogicznie przejęta z administracyi francuzkiéj, była częścią składową projektu reformy wypracowanego przez p. Dunajewskiego, w r. 1871,—ale w owym projekcie stała ona w związku z całą organizacyą rządu krajowego, którego głównych członków miał cesarz mianować, *na przedstawienie sejmu*. Ogniwo wyrwane z tego projektu nie mogło skutecznie działać w duchu autonomii kraju.

Kwestyonarz wywarł wogóle dość dobre w sejmie wrażenie i to nie z powodu dróg, które chciał wskazać do poprawy administracyi kraju, ale z tego względu, że rząd po raz pierwszy szczerze i otwarcie uznał ważność postanowień § 19 statutu krajowego, na mocy którego sejmowi służy prawo stawiania wniosków do zmian w administracyi. Dotąd centralistyczne rządy starały się zawsze tłómaczyć ten paragraf różnorodnemi adwokackiemi kruczkami zniżającemi do zera znaczenie tegoż, i wogóle postanowienia takowe nie były w łaskach u rzą-

dów, gdyż na nich opierała się rezolucya galicyjska. Powołanie się zatem na § 19 statutu zostało przez wszystkie kluby za dobre rządowi poczytane. Zdania jednak co do wartości kwestyonarza i co do możliwéj nań odpowiedzi zaraz się podzieliły. Najważniejsze, a zarazem najbardziéj się z sobą rozchodzące, były opinie klubu krakowskiego i klubu ateńczyków. Klub krakowski sądził, że reforma administracyjna może być tylko traktowaną jako całość, że sejm w téj mierze we własnym zakresie działania niczemu stanowczo zaradzić nie może, i że przeto rzeczą jest sejmu przedstawić tylko rządowi swoje życzenia, domagając się ich przeprowadzenia. Przeciwnie, klub ateńczyków dążył już teraz do dodatnich rezultatów, do rozszerzenia atrybucyi rad powiatowych i przekazania części policyjnego działania zwierzchności gminnych delegatom rad powiatowych. Komisya wybrana z grona sejmu do rozpatrzenia się we wniosku rządowym rozpadła się na większość i bardzo poważną mniejszość. Większość, po za którą stały kompromisem zbliżone do siebie kluby: *krakowski* (reformy) i *postępowy*, poczytała przedewszystkiém rządowi za dobre, że nie wystąpił, jak się to dotąd działo, przed Radą państwa z gotowym projektem do ustawy, krępującéj właściwości poszczególnych krajów, ale zawezwał ich reprezentacye, aby mu przedstawiły swoje na doświadczeniach oparte zapatrywania. Mimo to uznała większość komisyi, że rozbiór pytań przez rząd postawionych nie jest na czasie i tak długo będzie bezowocnym, dopóki sam sejm nie będzie miał prawa stanowienia o zasadach organizacyi władz autonomicznych. Ponieważ jednak większość komisyi ma zaufanie do rządu i sądzi, że tenże uwzględni uprawnione żądania kraju; przeto nie wchodząc wcale w rozbiór rządowego kwestyonarza, nie radzi sejmowi na jałowéj ograniczyć się odpowiedzi, ale uważa za stosowne postawić pewne żądania, których przeprowadzenie na razie byłoby pożyteczném. Żądania te mają zmierzać do wzmocnienia zbyt małych i słabo działających organizmów gminnych, przez połączenie kilku gmin i obszarów dworskich w okręgi administracyjne, na których czele staliby naczelnicy autonomiczni, będący zarazem sędziami pokoju. Nadto, ponieważ obecnie za dużo jest powiatów (74) na rozległość kraju, przeto większość komisyi sądzi, że przez zmniejszenie liczby powiatów dałoby się bez zaszkodzenia sprężystości rządu, zaoszczędzić znaczną kwotę z wydatków na administracyą przeznaczonych. Wreszcie żąda wspomniana większość, aby rząd przyznał organom autonomicznym wpływ na załatwianie niektórych spraw należących obecnie do zakresu działania władz rządowych.

Mniejszość komisyi, któréj jądrem był klub ateńczyków, obawiała się tak radykalnéj przemiany, jakąby było zwinięcie dzisiej-

szych gmin, jako jednostek administracyjnych, a wprowadzenie gminy zbiorowéj; uważała przedewszystkiém, że połączenie obszaru dworskiego z gminą jest jeszcze przedwczesném, we wschodnich mianowicie powiatach, gdzie dwór nie tonąc w gminie wiejskiéj bardzo dobry dotąd wpływ na ludność wywiera. Również uważała mniejszość za szkodliwe zmniejszenie liczby powiatów, wychodząc z przekonania, że do teraźniejszych rad powiatowych już ludność przywykła i że one dobrze na nią działają. Wogóle mniejszość nie widziała wszystkich wad ustroju administracyi galicyjskiéj w jéj dwoistości, ale przypisywała je głównie brakowi postanowień zapewniających wykonanie uchwał reprezentacyj powiatowych i gminnych. Postawiła téż mniejszość cały szereg specyalnych wniosków mających za zadanie lepszą organizacyą władz autonomicznych i nadanie im możności skuteczniejszego swéj władzy sprawowania. Chcąc zaś pozostawić tworzenie się okręgów gminnych z gmin wiejskich i obszarów dworskich naturalnemu rozwojowi—poruszyła potrzebę uchwalenia z czasem ustawy, któraby upoważniała reprezentacye powiatowe do tworzenia takich okręgów.

Gdy wniosek większości komisyi sejmowéj przyszedł pod obrady Izby, wybrano mówcą generalnym za wnioskiem, posła Zatorskiego, profesora prawa cywilnego w uniwersytecie krakowskim. Pan Zatorski zajął stanowisko zbliżone do zapatrywań autora wspomnianego przez nas Projektu organizacyi władz administracyjnych (ministra Dunajewskiego), przedstawił zgubne skutki dualizmu, wytknął, że zarzuty podnoszone przeciw połączeniu władz autonomicznych z rządowemi nie wytrzymują krytyki i wynikają z ducha analitycznego (!?), który gubił zawsze Polaków. Mówca zbijał zdanie, jakobyśmy mieli utonąć w rządzie, jeżeli do niego wejdziemy, sądził owszem przeciwnie, że w takiém zespoleniu uzyskamy wpływ faktyczny, gdy dzisiaj władza autonomiczna zostaje tylko w zakresie teoryi. Galicya dostatecznie dojrzała do tego rodzaju reformy i może wytworzyć z siebie rząd silny, sprężysty i jednolity. Przemówienie posła Zatorskiego wywołalo burzę. Członkowie klubu postępowego przystąpili do wniosku większości tylko ze względu na proponowaną w nim reformę gminną, nie zgadzali się jednak z niewyrażoném w uchwale większości zapatrywaniem się klubu reformy co do zniesienia dualizmu władz administracyjnych. Tymczasem poseł Zatorski przemawiał w ten sposób, jakoby cała większość komisyi stała i co do zapatrywań na tę ostatnią kwestyą po stronie Krakowian. Ztąd niezadowolenie członków klubu postępowego, którzy widzieli w przemówieniu generalnego mówcy złamanie kompromisu, jaki stanął pomiędzy dwoma klubami a nawet niezadowolenie wielu człon-

ków klubu krakowskiego, chcących ściśle dotrzymać warunków kompromisu. Poseł Czerkawski (z klubu postępowego) oświadczył, że wskutek motywów wyłuszczonych przez p. Zatorskiego, nie będzie głosował za drugim wnioskiem większości komisyi i poprzestaje na uchwaleniu uznania Rządowi. Kilkunastu posłów wystąpiło z klubu reformy (krakowskiego), a wniosek większości upadł mając za sobą tylko 31 głosów. Wniosek mniejszości upadł 20 głosami.

Z obydwu wniosków pozostał zatém uchwalony tylko ustęp pierwszy, wyrażający rządowi uznanie, za poruszenie sprawy reformy administracyi; na kwestyonarz jednak nic sejm nie odpowiedział, jak również nie skorzystał z danéj sposobności, aby jakiekolwiek choćby drobne dla autonomii wynieść korzyści. Takie korzyści dałyby się bezsprzecznie osiągnąć przez uchwalenie wniosku mniejszości, jeżeli reformę w myśl wniosku większości uważało się za przedwczesną i za niebezpieczną wobec możliwych innych prądów rządowych. Teoretycznie rzeczy wziąwszy, był wniosek większości odpowiedniejszy, zmierzał bowiem, jeżeli nie na razie, to przynajmniéj z czasem do połączenia władz autonomicznych z rządowemi, a tém samém do zniesienia kosztownego i ciężkiego dualizmu; w praktyce jednak mógł się stać nie bezpiecznym; nie podzielamy bowiem bynajmniéj trochę optymistycznych zapatrywań posła Zatorskiego, że reprezentacye autonomiczne biorąc udział jako ciała doradcze w rządzie nie straciłby na znaczeniu, ale owszem zyskałyby mając bezpośrednio wpływ na władzę wykonawczą. Wiemy jednak, czém są wszelkie ciała doradcze wtedy, kiedy u steru rządu stają ludzie niechętni krajowi. Nic łatwiejszego jak ubezwładnić doradców a mianowicie nie pytać się ich o radę, albo nie słuchać onéj. Stanowisko doradcze bardzo jest korzystne, jeżeli się ma do czynienia z dobrą wiarą i życzliwością, ale w razie przeciwnym schodzi do nic nieznaczących rozmiarów. Otóż wewnętrzne stosunki Austryi bynajmniéj się jeszcze tak nie ustaliły na korzyść narodowości nie-niemieckich, aby można było porzucać te skromne prrzynajmniéj gwarancye, które narodowość otrzymała w władzach autonomicznych. Może za lat kilka i Niemcy austryaccy przyjdą do przekonania, że o hegemonii i centralizacyi marzyć nie mogą, może zresztą w najbliższéj już przyszłości narody słowiańskie o tyle wzmocnią swe stanowisko w państwie, że supremacya niemiecka będzie niemożliwą—do tego stanu wszakże jeszcze nie doszliśmy. Niemcy nie porzucili swych hegemonistycznych idei i bynajmniéj nie jest niemożliwém, że kiedyś uda im się popróbować swych wynaradawiających środków. Na ten wypadek autonomia będzie jedyną tarczą. Nie chcąc więc postępować za śmiało i brać na siebie za wielkiéj na przyszłość odpowiedzialno-

ści, trzeba było starać się o wzmocnienie, o rozszerzenie zakresu działania władz autonomicznych, trzeba było wstąpić na drogę przeciwną, aniżeli ta, którą obrał klub krakowski, a mianowicie: należało z władz autonomicznych zrobić ową gąbkę, któraby powoli wsiąkała rządowe atrybucye a nie dążyć do tego, aby ową gąbką były władze rządowe. Nie przeczymy bynajmniéj, że lepiéj zapuścić korzenie w rządzie, bo tam się ma rzeczywistą, nie fikcyjną władzę—ale istnienie władz autonomicznych bynajmniéj nie przeszkadza, abyśmy uparcie i wytrwale starali się o utrzymanie naszego wpływu w rządowych władzach. Dlatego, nie wchodząc już w szczegóły wniosku mniejszości, żałujemy bardzo, że sejm nie poszedł za myślą, która temuż przewodniczyła i nie korzystał z istnienia przyjaznego krajowi ministeryum, aby jakiekolwiek dla rozszerzenia zakresu działania władz autonomicznych wynieść zdobycze.

Oprócz reformy administracyjnéj stał sejm jeszcze wobec innego równie ważnego zadania, wobec obmyślenia środków, jakiemi dalby się poprawić smutny stan ekonomiczny kraju.

Pomimo, że w ostatnich czasach starano się dużo zrobić dla hipotecznego i osobistego kredytu Galicyi, przecież to, co zrobiono, w bardzo małéj tylko części przyczyniło się do podniesienia rolnictwa a nawet nie mało mu zaszkodziło. I tak: bank hipoteczny założony przez ludzi dobréj woli (hr. Agenora Gołuchowskiego, Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego i t. d.), mający za zadanie przyjść w pomoc większéj własności— bynajmniéj nie wyszedł jéj na dobre, zarząd bowiem téj instytucyi dostał się w ręce, którym nie chodziło o pomyślność kraju, ale tylko o wyciągnięcie jak największego zysku dla akcyonaryuszów. Bank włościański, zmierzający z razu również do wyrwania małéj własności ze szponów żydowskich lichwiarzy, stał się w ciągu swego rozwoju gorszym może aniżeli prywatni lichwiarze, a niesumienną administracyą doprowadził do tego, że zamiast się rozwinąć w potężną instytucyą zniszczył sam siebie, zniszczył bowiem własną klientelę. W ostatnich czasach wystawił ten bank 1.313 gospodarstw włościańskich na licytacyą, a z nich 70% musiał sam nabyć na własność, gdyż kupców na nie nie było. Bywały wypadki i to bynajmniéj nie rzadkie, w których włościanin pożyczywszy 100 złr. od banku, dostawał do ręki tylko 60 złr., a odsetki musiał naturalnie od 100 złr. opłacać. Uregulowanie więc i rzetelne ułatwienie kredytu włościańskiego stało się koniecznem. W tym celu zakładano kasy zaliczkowe gminne, których jest w Galicyi przeszło 1.500, kasy zaliczkowe powiatowe, tudzież spółki oparte na zasadzie wzajemności. Kasy zaliczkowe gminne funkcyonują po większéj części niedołężnie skutkiem niedostateczności obrotowego kapitału i braku lu-

dzi, którzyby w małéj włościańskiéj gminie energicznie, rzetelnie i umiejętnie—kasę prowadzić potrafili. Lepiéj funkcyonują kasy powiatowe i spółki, ale tym także brak najczęściéj obrotowego kapitału, tak, że interesa tylko w bardzo ciasnym mogą prowadzić zakresie. Najlepiéj stosunkowo rozwinęły się kasy oszczędności po miasteczkach, ale te więcéj na dopomaganie miejskiéj ludności obliczone, ubocznie tylko mogą wywierać wpływ na kredyt rolniczy. Z kredytem osobistym większych właścicieli ziemskich dzieje się także nie zupełnie dobrze, a osobliwie przedsiębierczy, przemysłowi rolnicy mają bardzo utrudniony kredyt osobisty. Dużo dobrego robi w téj mierze krakowskie towarzystwo wzajemnego kredytu, ale to szczupłemi stosunkowo rozrządza kapitałami. Wielkim zaś brakiem w Austryi jest wadliwa organizacya banku państwa (tak zwanego banku austro-węgierskiego), w którym każdy kupiec z zaregestrowaną firmą może mieć dostateczny kredyt, na tani procent choćby najmniejszych zresztą nie dawał gwarancyj, zamożny obywatel ziemski jednak z dobrodziejstw taniego kredytu korzystać nie może.

Brak pieniędzy tam, gdzie ich na rzetelnie pożyteczne cele było potrzeba, czuć się ciągle dawał w Galicyi. Wydział krajowy podnosił w ostatnich czasach nie jednę myśl chwalebną, któréj jednak nie mógł dla braku pieniędzy doprowadzić do skutku. Wszystkie też zabiegi wydziału krajowego co do melioracyj gruntowych, podnoszenia pewnych gałęzi przemysłu, rozbudzenia nowych sił produkcyjnych musiały się kończyć na ścisłéj dyagnozie potrzeb, w najlepszym razie na omówieniu planów—nie mogły jednak przejść w czyn, gdyż nie było instytucyi finansowéj, któraby pożyczyła tanio funduszów do przeprowadzenia, choćby najlepszych projektów. W ostatnich latach zwrócono się skutecznie ku podnoszeniu przemysłu domowego włościan i mieszczan po małych miasteczkach, pozakładano szkoły garncarstwa, koszykarstwa, kołodziejstwa, koronkarstwa, wyrobów rzeźbionych z drzewa i t. d. Szkoły te bardzo pomyślnie się rozwijają, ludność nadzwyczaj jest pojętną i chętną do pracy, ale chcąc osiągnąć materyalne z téj nauki rezultaty, trzeba zorganizować handel dla produktów, które ludność wyrobi, i zająć się ich rozprzedażą, bez szukania w niéj zysku. W téj mierze znów wszystko rozbija się o tani kredyt. Czasem kilka tysięcy złr. wystarczyłoby, aby stworzyć źródło zarobku dla całéj okolicy; rzecz jednak zahacza się o niewielką kwotę. Państwo jest za mało zamożne, aby mogło udzielać subwencyj, prywatni nie dowierzają, aby pożyczona kwota była im zwrócona.

Wszystkie te względy skłoniły wydział krajowy do przedłożenia sejmowi projektu założenia banku krajowego, któryby miał na

celu podniesienie dobrobytu, a w szczególności popieranie rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu. Projekt ten pod różnemi formami wchodził już do sejmu na poprzednich sesyach, ale dopiero na ubiegłéj udało się energii i silnéj woli marszałka krajowego p. Zyblikiewicza, ubezwładnić przeciwników téj instytucyi i uzyskać dla niéj uchwałę. Według téj uchwały zakres działania banku obejmować ma dział hipoteczny i bankowy. W pierwszym będzie bank udzielał pożyczki hipoteczne w listach zastawnych, wydawanych pod gwarancyą kraju, do wysokości sumy udzielonych pożyczek. Dział bankowy będzie bardzo rozległy. Przedewszystkiém bank weźmie w rękę uregulowanie wierzytelności zadłużonych włościan. Będzie więc nabywał wierzytelności i ściągał je na własny i obcy rachunek, będzie umawiał się z dłużnikami i wierzycielami o ich spłatę w ratach. Spełni zatém *officium boni viri* wobec małéj własności ziemskiéj. Nadto zajmie się udzielaniem pożyczek gminom, powiatom, kasom oszczędności, kasom pożyczkowym gminnym i powiatowym, stowarzyszeniom zaliczkowym oraz kołom kredytowym na skrypta notaryalne. Co więcéj, będzie udzielał zaliczek na płody rolnicze, górnicze i przemysłowe na podstawie listów składowych (warrants) wystawione przez zarządy zakładów publicznych, oraz pożyczek na zastawy. Jedną z najważniejszych czynności banku stanie się pośredniczenie w zakładaniu i prowadzeniu przedsiębiorstw rolniczych, przemysłowych i handlowych — oraz udzielanie im pożyczek, tudzież udzielanie pożyczek na przedsiębiorstwa melioracyjne, ułatwianie na drodze kredytu tworzenia się spółek melioracyjnych, wykonywanie robót melioracyjnych i t. p. Rozumie się, że do działu bankowego należéć będą inne zwykłe bankowe czynności, jak eskontowanie weksli, wydawanie asygnat kasowych, przyjmowanie gotówki na książeczki oszczędności, przyjmowanie depozytów i t. d. Kraj wyposaży oddział bankowy kapitałem zakładowym w ilości jednego miliona złr., spodziewając się, że lokowane w banku kapitały prywatne dostarczą mu wkrótce znacznego kapitału obrotowego. Ażeby jak najprędzéj stworzyć fundusz rezerwowy, obróci zarząd banku 30% czystego zysku na ten cel, a 70% służyć mają do pomnażania zakładowego majątku banku. Zwierzchniczy nadzór nad bankiem wykonywać będzie reprezentacya kraju t. j. sejm, a w jego zastępstwie wydział krajowy.

Niebawem bank ten wejdzie w życie a przyszłość jego jak każdéj podobnéj instytucyi zależéć będzie przedewszystkiém od ludzi, którzy staną na jéj czele. Bank powstaje w chwili, w któréj o kapitały nie trudno, w samym kraju nawet jest dużo ruchomych zasobów, które się ukrywają po depozytach krajowych lub zagranicznych

zakładów finansowych i zadawalniają się bardzo niskim procentem, nie widząc w kraju dróg, na którychby z zupełném bezpieczeństwem produkcyi oddać się mogły. Od zaufania, jakie zarząd banku do siebie wzbudzić potrafi, będzie zależało, czy te kapitały wyjdą z ukrycia i czy ze swéj bierności przejdą w stan czynny. Miejmy nadzieję, że będzie najlepiéj; sprężystość i dzielność marszałka jest nam najlepszą rękojmią, że nie zawiodą nadzieje, jakie kraj pokłada w nowéj instytucyi.

Ważne zadania ubiegłéj sesyi sejmowéj nie ograniczały się, jakeśmy powiedzieli, na kwestyi administracyjnéj i finansowéj—pozostawała jeszcze reforma szkolna, którą na przedostatniéj sesyi poruszono. Na wniosek posła Szujskiego powziął był sejm w r. 1880 uchwałę, aby wydział krajowy zwołał specyalne narady mające za zadanie zbadać braki tak ludowych jak i średnich szkół w Galicyi i na podstawie rezultatów obrad przedłożył sejmowi odpowiednie wnioski reformy szkół. Wydział krajowy odpowiedział już w części temu zadaniu, zakomunikował swój elaborat odnoszący się do szkół średnich akademii umiejętności, ale nie wszystkie jeszcze potrzebne materyały zostały zebrane i obrobione, aby można było już na sesyi, o któréj mówimy, z gotowemi wystąpić projektami. Mimo to sądził poseł Szujski za potrzebne, ze względu na ważność sprawy, poruszyć ją przy traktowaniu budżetu i w dłuższéj mowie wykazać braki i potrzebę szkół galicyjskich. W sprawie téj przemawiał jeszcze Wojciech hr. Dzieduszycki, a obiedwie bardzo znakomite mowy szanownych posłów nie mało się przyczyniły do wyjaśnienia kierunku, jakim reforma szkolna zdążać powinna, i posłużą za cenny materyał do wypracowania wniosków wydziału krajowego.

Austrya nadała nowe podstawy szkołom ludowym ustawą ogólną z r. 1869 ułożoną na wzorach ustaw szkolnych Niemiec południowych. W ramach téj powszechnéj ustawy mogły sejmy krajowe szczegółowe dla poszczególnych krajów uchwalać prawa, co téż sejm galicyjski uczynił w r. 1873 przyjmując z małemi tylko zmianami owę pierwotną ustawę. Postanowienia jednak szkolne, które może bardzo są dobre w południowych Niemczech, nie odpowiadają naszym stosunkom, a nigdzie może zachowanie narodowéj tradycyi szkolnictwa i zastósowanie się do wymagań kraju nie jest tak potrzebném jak właśnie w szkołach ludowych. Zaprowadzenie *mutatis mutandis* ustawy południowo-niemieckiéj nie doprowadziło szkół ludowych w Galicyi do zadawalniającego stanu, pomimo, że społeczeństwo wiele w tym kierunku przykładało starań. Powstało dużo budynków szkolnych, popodwyższano dotacye nauczycielskie, pozakładano znaczną liczbę nowych szkół ludowych i wydziałowych

(Bürgerschulen), niektóre gminy zrujnowały się majątkowo, aby tylko odpowiedzieć szlachetnemu zadaniu—a mimo to szkolnictwo ludowe Galicyi nie wzbudza dotąd zaufania, nie może się poszczycić odpowiedniemi do nakładów rezultatami. Przedewszystkiém nie widać, aby nauka ludowa działała na podniesienie materyalne kraju, aby zmysł pracy i oszczędności znajdował w szkole dobroczynną podnietę. Ankiety szkolne, wydział krajowy, poszczególni posłowie, dzienniki kwestyą tą się ciągle zajmują, a większość społeczeństwa galicyjskiego przychodzi do przekonania, że owe szkoły ludowe zaprowadzone na wzór niemiecki są dla nas nieodpowiednie, że są za mało praktyczne. Chłopiec wiejski nie znajduje w szkole tych wiadomości, które mu się rzeczywiście przydadzą, uczą go tam dużo różnorodnych rzeczy: i rysunków i geografii i może nawet początków historyi, ale nie w ten sposób, aby nauka wprost zmierzała do celu, do jak najlepszéj uprawy zagonu, na którym będzie pracował, do jak najkorzystniejszego przerobienia i spieniężenia produktów. Książki przeznaczone do nauki—po większéj części tłómaczone z niemieckiego—prawią dziecku o miastach, których ono nigdy nie widziało, o stosunkach, których nie zna i które go nie zajmują, ale nie powiedzą, w jaki sposób szewc lub kołodziej może być dobrym rzemieślnikiem, a powroźnik ulepszone przygotowywać przędziwo. Pomiędzy nauką dzieci wiejskich i miejskich nie ma zasadniczéj różnicy, chociaż jedne mają pozostać na wsi a drugie trudnić się rzemiosłem lub handlem, są wprawdzie szkoły wydziałowe, ale te urządzone jakby jakie ludowe uniwersytety przygotowują młodzież zbyt teoretycznie, do otwierającego się przed nią życia.

W szkołach średnich, w gimnazyach uczą mnóstwa, ale mnóstwa niepotrzebnych rzeczy, chłopcy obarczeni greckiemi i łacińskiemi gramatykami, historyą całego świata itd. nie mają czasu na rozwinięcie młodzieńczych sił fizycznych i umysłowych, wychodzą z zakładu z całym ciężarem nietrzymających się razem wiadomości, ale z przytłumioną, zmęczoną pamięcią, z brakiem samodzielności myślenia. Chłopiec uczył się lat dwanaście, zdał egzamin dojrzałości, a w życiu praktyczném nie jest zdolny do niczego, ani umie dobrze rachować, ani mówi po niemiecku, w najgorszém tego słowa znaczeniu, jest dopiéro przygotowany, aby się czegokolwiek nauczyć. Ponieważ zatém ani szkoły ludowe ani średnie nie usposabiają młodzieży do życia praktycznego, a w najlepszym razie zachęcają do nabywania coraz więcéj wiedzy—przeto zdolniejsza i wytrwalsza młodzież ciśnie się coraz liczniéj do wyższych zakładów, do uniwersytetów i akademij technicznych, a po drodze zostają tylko niedobitki. Wię-

kszość jednak téj garnącéj się do wyższych nauk młodzieży jest tak ubogą, że często nie może dobić do brzegu, albo gdy dobije, jest już tak sterana dawaniem lekcyj, głodzeniem się i Bóg wie jakiemi niedostatkami, że albo w najwyższym stopniu rozgoryczona rozpoczyna jakieś dostatniejsze życie —albo marnieje nie dobiwszy się nawet do odpowiedniego utrzymania. Kraj nie jest bowiem zdolny spotrzebować tylu prawników, doktorów, historyków itd. ile ich corocznie wychodzi z wyższych szkół galicyjskich. Proletaryat inteligencyi powstaje coraz to większy—a z drugiéj strony leży dużo pola odłogiem, na którém potrzeba i wielka potrzeba wykształconych ludzi. Powszechnie skarzą się na brak drobnych dzierżawców, zdolnych rolników, zarządców zakładów przemysłowych, rzemieślników idących z postępem swego zawodu, obrotnych kupców itd. Każdy najuboższy nawet obywatelski syn nie pomyśli o tém, że mógłby być dobrze się mającym dzierżawcą, jeżeliby się do tego zawodu sposobił, ale rad koniecznie zostać profesorem lub adwokatem, chociaż go w tym zawodzie bynajmniéj nie czeka dostatek. Otóż w tém zaniedbaniu przygotowania, do niższych, ale najzdrowszych może i koniecznych w narodzie zawodów, dopatrują powszechnie w Galicyi wady dzisiejszego systemu szkolnego. Zaradzenie temu błędnemu kierunkowi stało się powszechném życzeniem, a wymowne głosy pp. Szujskiego i Dzieduszyckiego w sejmie wskazały, że tutaj jest rdzeń przyszłéj reformy szkolnictwa galicyjskiego. Zapatrywania ludzi dobréj woli rozchodzą się tylko obecnie co do szczegółów reformy, a w pierwszym rzędzie co do ilości lat przymusowéj nauki w szkołach ludowych. Obecnie obowiązani są rodzice posyłać dziecko przez lat 6 do szkoły, p. Szujski uważa ten czas za długi. To samo co obecnie uczą przez 6, da się lepiéj nauczyć przez 4 lata, a zamiast obowiązkowéj dalszéj nauki lepiéj zaprowadzić dobrze zorganizowane „szkoły powtarzania". Lud wiejski jest po większéj części tak u nas ubogi, że dziecko po latach 11-u jest już siłą roboczą; to téż rodzice z niechęcią i wielkim dla siebie uszczerbkiem posyłają je wtedy do szkoły. Zdania co do téj kwestyi są jeszcze bardzo podzielone—i jesteśmy ciekawi, do jakiego pod tym względem rezultatu przyjdzie wydział krajowy w przyszłych swych wnioskach, które sejmowi przedłoży.

Nie sam jednak system, według którego galicyjskie szkoły ludowe są urządzone, wywołuje krytyki i narzekania. Zarzuty zwracają się także ku nauczycielom, z których znaczna część nie odpowiada swemu zadaniu, a osobliwie we wschodnich powiatach Galicyi. Zdarzały się nawet w ostatnich czasach wypadki, że nauczyciele wiejscy, Rusini byli przystępni socyalistycznéj propagandzie, i że Rada szkolna widziała się zmuszoną usunąć z posad kilka indywiduów. Wogó-

le u znaczniejszéj części nauczycieli szkół ludowych daje się czuć brak zasad religijnych, koniecznych do wychowania ludu, nauka bowiem, którą przez kilka lat odbierają w seminaryach nauczycielskich nie może skutecznie sparaliżować różnorodnych szkodliwych wpływów, na które wystawiona jest młodzież uboga, rozjątrzona walką o chléb powszedni, rozumiejąca dużo o swém wykształceniu, a w istocie stojąca na bardzo niskim stopniu nauki. Seminaryów nauczycielskich jest siedm w Galicyi, wszystkie są urządzone według najlepszych wzorów, a rada szkolna wszelkich dokłada starań, aby posady nauczycielskie w tych zakładach obsadzać najlepszemi siłami pedagogicznemi, jakie ma do rozporządzenia. Mimo te starania mały tylko procent wychodzących z seminaryów nauczycieli w zupełności odpowiada swemu zadaniu. Błąd nie zdaje się leżéć w planie, ani w sposobie uczenia przyszłych nauczycieli, ale zdaniem najznakomitszych pedagogów w kraju i ludzi, którzy wogóle ze szkolnictwem w bliższéj stoją styczności—główną wadą organizacyi seminaryów jest to, że takowe nie wychowują kandydatów, ale ich tylko uczą. Do seminaryów przychodzą ludzie z najuboższych warstw społeczeństwa, ludzie którzy jak najgorzéj, albo zupełnie nie są wychowani, pomimo że mają zostać pedagogami. Otóż zdaniem takich powag jak p. Sawczyński dyrektor seminaryum nauczycielskiego we Lwowie, jak profesor Małecki, i wielu innych, zakład musi w części przynajmniéj zastąpić kandydatowi dobre wychowanie rodzinne, musi wszczepić w nim poczciwe zasady i moralnie go przysposobić do przyszłego zawodu. Radą na to jest, aby kandydat mieszkał i stołował się w zakładzie, aby tam był ciągle pod dobrym wpływem—słowem, aby przy seminaryach nauczycielskich męskich zaprowadzić bursy, internaty, które dawniéj znane były w Polsce, a obecnie nadzwyczaj korzystne w Niemczech przynoszą rezultaty. Kandydat stanu nauczycielskiego mieszka obecnie w takim Lwowie lub Krakowie, w najuboższych częściach miasta, wśród największego zepsucia, albowiem na inne nie stać go mieszkanie. Przyszły pedagog jada w najbrudniejszyzh szynkach, sypia w podejrzanych domach, nie ma spokojnéj izby, w którejby się mógł przygotować do egzaminu. Zakład nie ma środków kontroli nad uczniem, a chociażby i miał, toby się musiał przez palce patrzéć na niejedno zgorszenie, z tego prostego powodu, że stypendyum, jakie uczeń dostaje z funduszów publicznych, na czas swéj w seminaryum nauki, jest za małe, aby mu wystarczyło do mieszkania i jadania w miejscach, w którychby się nie spotykał ze zgorszeniem. To były powody, dla których kwestya zaprowadzenia internatów przy seminaryach nauczycielskich jeszcze w sejmie z r. 1880 poruszoną została. Poseł Paweł Popiel postawił wówczas

wniosek, aby na początek założyć internat przy męzkim seminaryum nauczycielskiém we Lwowie—sejm jednak na razie odroczył stanowczo rozstrzygnięcie kwestyi, przekazując wniosek wydziałowi krajowemu, aby w porozumieniu z Radą szkolną krajową zbadał, czyli zaprowadzenie internatów jest potrzebne i odpowiednie. Obydwie te władze stanowczo się oświadczyły za zaprowadzeniem bursy, we Lwowie, a komisya edukacyjna przedłożyła sejmowi odpowiedni projekt. Projekt napotkał na opozycyą tych, którzy wogóle sądzą, że wychowanie w internatach jest szkodliwe, większość jednak sejmu uważała zaprowadzenie bursy jako konieczność, spowodowaną smutnemi materyalnemi i moralnemi stosunkami kraju. Zachodziła tylko kwestya, czy internat ma być przeznaczony ściśle dla młodzieży chrześcijańskiéj, czy też dopuścić do niego należy także młodzież żydowską. Komisya edukacyjna wysadzona z łona sejmu nie miała potrzeby poruszać téj kwestyi w statucie przyszłego zakładu. Z natury rzeczy miałby instytut cechę ściśle chrześcijańską, można było bowiem przewidzieć, że wstąpienie Izraelity do zakładu należeć będzie do rzadkich wyjątków. Wykluczanie zaś w zasadzie kandydatów wyznania mojżeszowego z internatu nauczycielskiego nie było sprawiedliwém, gdyż zakład powstaje z funduszów całego kraju a przeto i z podatków płaconych przez ludność żydowską. Sejm jednak sądził, że ludności izraelskiéj żadna się nie stanie krzywda, gdyż Izraelici niechętnie poświęcają się zawodowi nauczycielskiemu a osobliwie zawodowi nauczycieli ludowych. Opozycya też posłów Izraelitów przeciw téj uchwale sejmu była więcéj formalną, zasadniczą, aniżeli zmierzającą do rzeczywistego przeprowadzenia zmiany przedłożonego statutu. Z początkiem zatém r. b. szkolnego będzie założona we Lwowie bursa dla uczniów seminaryum nauczycielskiego męskiego, w któréj znajdzie pomieszczenie 60 uczniów religii chrześciańskiéj wszystkich obrządków katolickich. Na jéj utrzymanie przeznaczył sejm 19.000 zlr. rocznie, a napierwsze urządzenie 5.200 zlr.

I w innych jeszcze kierunkach pomyślał sejm o wychowaniu pożytecznych obywateli kraju a mianowicie: podwyższając dotacye na szkoły rolnicze w Czernichowie i w Dublanach, uchwalając zaprowadzenie kilku szkół niższych rolniczych dla ludu, tudzież pomnażając fundusze na zakładanie i utrzymywanie fachowych szkół przemysłowych, które, jakeśmy wspomnieli, bardzo korzystnie się rozwijają.

Czynność sejmu nie ograniczyła się zresztą na trzech głównych kwestyach, któreśmy poruszyli w tém sprawozdaniu, obejmowała bowiem jeszcze sprawy mniejszéj doniosłości, jak zniesienie prawa propinacyi w mieście Lwowie, dotacye na uregulowanie rzek,

ustawę kwaterunkową, konwencye pożyczki z roku 1873 i t. d. Sprawy te jednak noszą zanadto lokalny charakter, abyśmy nad niemi tutaj mieli się rozszerzać. Nie możemy się tylko powstrzymać od wyrażenia zdania, że sesya sejmu z r. 1881 była jedną z pożyteczniejszych, na jakie się zebrała reprezentacya Galicyi, i że z zupełném przekonaniem możemy powtórzyć to, co czcigodny marszałek powiedział w swéj pożegnalnéj do posłów mowie, że „sejm należycie spełnił swoje zadanie.“

W. G.

Charakter i Pisma Tomasza Carlyle'a.

I.

Nie ulega kwestyi, że zgasły w r. 1881 Tomasz Carlyle był fenomenalnym człowiekiem i autorem. Nie znamy nikogo na Parnasie literackim, którego-by indywidualność oryginalna tak się przebijała wyraźnie w płodach jego umysłu, jak mędrca z Chelsea. Wolnoby rzec, że z téj indywidualności tryskał dziwny pigment, co zabarwiał każdy obraz wyszły z pod jego dłoni i nie dawał się zamazać, nakształt plam na okopconych murach, których najczęstsze bielenie nie pokryje. Skromność wrodzona lub instynkt artystyczny wzbraniały wielu równym mu lub większym od niego geniuszom spowiadać się bez ogródki ze wszystkich swych urojeń i nienawiści; ale chłop szkocki, co został filozofem, nie znał takiego hamulca. Nawskróś szczery i nieustraszony w słowie wyrzucał z wyobraźni, nad wszelki opis bujnéj w tytaniczne obrazy, — pociski potężne formą i przenikliwe, co wpadały do tkliwéj duszy czytelnika z efektem rakiet eksplodujących i pokonywały ją nawet wtedy, gdy nie były w stanie jéj przekonać. Przed płodami jego twórczości stoimy raczéj wzruszeni, jak przed widokiem strasznego i pysznego dzieła sztuki—Laokoona—niż z chłodną rozwagą, z jaką utwory prozą pisane powinny być sądzone. Bo téż autor ten był więcéj artystą, niż myślicielem—wielkim artystą, władającym takim materyałem, który potrzeba ożywiać i ubarwiać bez zmienienia jego kształtu. Zamiast tworzyć sobie z plastycznéj gliny, z posłusznych kolorów lub śpiewu idealnego świat własny, albo mówić mową duszy, muzyką—zamiast jednéj z tych rzeczy Carlyle składał obrazy ze słów, ograniczał się w świecie faktów i pisał prozą. Nigdy nie było przedtém autora, któryby posiadając równą mu głębokość myśli, żywość wyobraźni, mistrzostwo języka, humor i pate-

tyczność, a mogąc zostać wielkim poetą, chciał poświęcić się wyłącznie historyi, biografii i krytyce. Z tego powodu i z owéj szczerości, posuniętéj czasem do naiwności dziecinnéj, pochodzi fenomenalny charakter jego prozy.

Jego spuścizna literacka nie jest łatwą do czytania i do zrozumienia. Nie znajdziemy w niéj rozrywki, ani nawet tylko nauki. Nakreślone śmiałym ołówkiem portrety Cromwella, Stirlinga i t. d. mogą niejednego z nas razić przeładowanémi ozdobami; ale wszyscy będziemy się zdumiewać nad osobistością twórcy tych portretów. Zbudzi się w nas żądza poznania dziwnego człowieka, co tak zuchwale wyzywał i policzkował wszystkie konwenanse i humbugi popularne. Dogodzić téj żądzy usprawiedliwionéj, o ile szczupłe ramy zarysu pozwalają, jest zadaniem niniejszéj pracy (1).

Poznajmy go najpierw takim, jakim się przedstawiał pielgrzymom.

Rozumie się, że umysł tak oryginalny, twórczy i zuchwały jak Carlyle'a, którego światła i cienie padały na całą współczesną literaturę angielską, musiał także wywierać potężne wrażenie na wchodzących do skromnego domu na przedmieściu londyńskiém, do którego zbliżali się z czcią równą téj, jaką oddawano w starożytności prorokom i wróżkom delfijskim. W domu tym mieszkał *seer*—wieszcz—plemienia anglo-saskiego, liczbą i energią zajmującego pierwsze miejsce na dwóch półkulach między ucywilizowanemi narodami. Był w tym domu przybytek najświętszy—pracownia wielkiego autora, któréj umeblowanie składało się z szaf pełnych książek około wszystkich ścian, z biurka, stoliczka w środku, na którym o ósméj zastawiano skromną herbatę dla wszystkich gości przypadkiem zebranych, kilka rycin na ścianach, między któremi zajmował honorowe miejsce portret Danta (trafnie wybranego patrona takiéj świątyni) i w końcu sofki przy kominku, uświęconéj wspomnieniem pani Carlyle, kobiéty o tyle wielkiego ducha, o ile wątłego ciała. Z tego siedzenia wygodnego dla osoby cierpiącéj miał się rozlegać jéj śmiech, podobny do tonów srebrnego dzwonka i mogący wychodzić tylko z piersi, obdarzonéj wieczną młodością poezyi i niewinności. Śmiechem tym przyklaskiwała namiętnym filipikom męża przeciw humbugom i niesprawiedliwości świata.

---

(1) Ciekawych obszerniejszéj a wiarogodnéj wiadomości o Carlyle'u odsyłamy—zanim najsłynniejszy z jego uczniów i przyjaciół (Froude) skończy obiecany życiorys—do dzieł następujących, napisanych przez poufałych znajomych zgasłego mędrca: *Reminiscences of Carlyle by Moncure D. Conway* i *Thomas Carlyle by W. H. Wylie.* Dziełom tym zawdzięczamy sami niemało informacyi.

Raz tylko wolno nam było zabawić parę godzin w tym przybytku, dzięki protekcyi innego znakomitego gościa, który odszukawszy nas w Londynie, towarzyszył nam w przechadzce wzdłuż alei w Hyde parku. Niedaleko Rotten Row spotkaliśmy grupę z kilku panów. Ludzie stawali i oglądali się. Z powozów wyzierały główki, modnie wystrojone. Ktoś w téj grupie był celem ogólnéj ciekawości, znanym jak Disraeli, Gladstone lub sama królowa. Był to Carlyle, do którego mój towarzysz zaraz się zbliżył, prawem dawnéj i długiéj znajomości, bo i on należał do Arkadyi anglo-saskiéj—był poetą i nazywał się Alfred Austin (1).

Dążyliśmy już wszyscy razem w kierunku przedmieścia Chelsea. Carlyle, postępował z oczyma spuszczonemi, nie uważał na ciekawych przechodniów, mówił bez ustanku i raz tylko przerwał swój temat, żeby się zatrzymać i zachęcić gromadkę dzieci do zabawy. Jego rozpromienione oblicze było w owéj chwili podobne do wyrazu, z jakim według naszego wyobrażenia *Nauczyciel* musiał przemawiać do dziatwy, którą przypuścić kazał do siebie.

W Chelsea, gdzie Carlyle był co dzień widywaną postacią, nie oglądali się już ludzie na naszę gromadkę. Stanęliśmy przed domem nie różniącym się od szeregów tegoż rodzaju kamieniczek na tém, ulubioném zamożnéj średniéj klasie przedmieściu i zostaliśmy wszyscy uprzejmie zaproszeni do opisanéj już sławnéj biblioteczki, gdzie Carlyle przyjmował gości męskich.

Nikt z nas nie przyszedł tu do słowa, ale nikt się téż nie czuł obrażonym gadulstwem monopolizującego konwersacyę gospodarza, bo każden słuchał w zdumieniu, jak ten człowiek nadzwyczajny umie mówić, a raczéj prawić jak z katedry. Towarzysz rzekł mi na stronie, że od roku zaszła wielka zmiana w postaci mistrza. Był widocznie złamanym i łatwo było uwierzyć mu, gdy rzekł raz, iż czuje się człowiekiem nieszczęśliwym, opuszczonym, nakształt okrętu rozbitego na wysokiéj skale i odbieżanego przez ludzi i morze. Widać było, że człowiek ten znudzony lub znękany życiem oczekuje z upragnieniem hasła wyzwolenia.

Takim, jak się przedstawił, spodziewaliśmy się go zobaczyć, ale w jednym punkcie zawiódł nasze trwożliwe oczekiwanie. Słyszeliśmy, że jeśli między gośćmi znajdował się ktoś z narodowości niemiłéj gospodarzowi (Francuz, Amerykanin i t. d.), tenże rzadko opuścił taką sposobność bez obrażenia szowinizmu tego słuchacza. Tym razem niełajał żadnego narodu, krom własnego, szkockiego, o któ-

---

(1) Autor „Leszka," osnutego na tle polskiém, oraz innych nam przychylnych pism.

rym niepochlebnie się wyrażał. Zresztą były jego długie tyrady wymierzone przeciw błędom i wadom wszechludzkim. Szorstkość jego słów słodził śmiech głośny, serdeczny, niepodobny do śmiechu cynika lub złośliwego satyryka—śmiech humorysty, co się śmieje dla zdrowia, albo ze zdumienia i przerażenia, malującego się na twarzach słuchaczy po jego dziwacznych konceptach, albo też dla znalezienia ulgi w rozpaczy, która-by musiała ogarnąć mędrca zaglądającego pod powierzchnię złego świata, gdyby ten mędrzec nie był śmiejącym się filozofem. Najbardziéj nas uderzyła po tym śmiechu maniera Carlyle'a. Był on niezgrabny jak wieśniak i trudno-by uwierzyć, że pół wieku obcował z najbogatszą i najlepiéj wytresowaną w formach towarzyskich arystokracyą.

Nie przestał prawić i przy herbacie, do któréj zaprosił nas szyderczo-heroicznym wierszem jednego z nudnych klasyków angielskich. Siedząc u stołu rozparty szeroko i gestykulując żywo bez ustanku, popijał z filiżanki, cmokał ustami i prawił o najrozmaitszych przedmiotach, zawsze stając w poprzek opinii ogólnéj. Przyjaciel nasz szepnął pokryjomu, że raz spędził z nim w ten sposób znaczną część nocy, aż zmęczony mędrzec usiadł w końcu wobec całéj kompanii na ziemi, po turecku i otoczywszy się obłokiem dymu tytoniowego skończył swoję filipikę przeciw „nonsensom,“ wszechwładnym na świecie, długiém milczeniem.

To nasze spotkanie z największą literacką znakomitością Londynu było zakrótkie, ażeby nam było wolno z wrażeń wyniesionych wydać sąd o charakterze tak wielkiego człowieka. Powracamy więc do świadectw poufałych jego i częstych gości, którym własna wielkość pozwalała zmierzyć głąb jego ducha. Według nich, wywierał Carlyle na ścierające się z nim osoby potężny wpływ magnetyczny, tak skutkiem swego rzadkiego talentu konwersacyjnego, jak uderzającéj powierzchowności. Wiadomo nam z niejednokrotnego rozczarowania, że osobiste spotkanie z wielkim autorem rzadko zadawala nasze oczekiwania, bo w rozmowie jego potocznéj brak wdzięku, energii i obrazowości, właściwéj jego mozolnie opracowanym pismom. Carlyle nigdy nie dał nikomu powodu do takiego rozczarowania. Przeciwnie, miał być świetniejszym i potężniejszym w żywém słowie, niż na papierze. Identyczność autora „Sartor Resartus“ nigdy nie ulegała wątpliwości, chociaż się przedstawiał w postaci rubasznego Szkota, z manierą prowincyonalną i nieprzyjemnym akcentem. Gdyby go kto był spotkał przebranego za wyrobnika w tawernie londyńskiéj, a pomówił z nim krótko, musiałby był przeniknąć jego *incognito*. Po myślach, po stylu i zlanych z niemi przymiotach—po humorze, gwałtownych polotach wyobraźni w świat

niewidzialny i nieskończony, porównaniach przywleczonych z daleka, niespodziewanych, ale trafnych i świetnych, wymowie do górskiego strumienia podobnéj, raz migającego jak zwierciadło w miejscach słonecznych, to znów huczącego w ciemnych pieczarach—po tych i innych lwich pazurach był on tak łatwym do zidentyfikowania, żeby mu było wolno zapytać nieuka, co go nie poznał odrazu, słowami Mefistofelesa do czarownicy:

Gerippe, Scheusal du!
Erkennst du deinen Herrn und Meister?

Uroku jego swady i giestów żadna wyobraźnia sobie nie wystawi w pełni. Głos ten posiadał skalę rozległą, umiał wzbierać i opadać jak fala morska, modulował się z piorunową szybkością od tonów ostrych i niemiłych do dźwięcznego basu lub pieszczotliwego szeptania, zdawał się oddalać od słuchacza i zbliżać do niego na przemian, a po długiém wstrząsaniu ucha zostawiał w niém wrażenie, podobne do efektu gwarnego wodospadu. Postać miał słuszną, kościstą, chudą, ale silnie zbudowaną, twarz czerstwą do bardzo późnego wieku. Czasem wyprostowywał się, a w takich chwilach biła od niego siła i powaga lwa, potrząsającego grzywą. Częściéj jednak chodził lub siedział zgarbiony, kołysząc ciało w rytm do słów, które giestami szczęśliwie wybranemi ilustrował. Grube rysy jego oblicza i rumieniec zdrowia na zawiędłych jagodach wraz z „doryjskim" akcentem świadczyły o wiejskiém pochodzeniu głębokiego znawcy i twórcy ksiąg. Niekiedy wydymał dolną wargę z zabawnym wyrazem pogardy, jakimby bakałarz szkocki zbywał sprzeciwianie się chłopów. Głęboko schowane oczy zatapiały z pod gęstéj brwi i czoła potężnego, ale nie wysokiego, swe promieniste i świdrujące spojrzenie w słuchaczu. Trudno było usunąć się z pod tych przenikliwych oczu, póki sam Carlyle ich nie odwrócił, topiąc je z zachwytem, którego żaden malarz oddać nie zdołał, w nicości, jak gdyby widział w niéj jakiś przedmiot daleki, godny uwagi. Całe jego postępowanie objawiało umysł zarówno niepochopny do abstrakcyjnéj wyłącznie spekulacyi jako też nieskłonny do wyłącznego obserwowania teraźniejszych, dotykalnych przedmiotów, ale zajmujący się żywo zjawiskami różnobarwnego świata materyalnego, a zarazem zgłębiający ich wewnętrzne znaczenie.

W podobny, lecz mniéj pochlebny sposób opisuje zgasłego mędrca największy z jego długoletnich przyjaciół, Emerson, który go znał w sile wieku. W jego *Impressions of Thomas Carlyle in 1848* spotykamy obraz niewątpliwie wierny, a ponieważ słowa Emersonów

są wspólną własnością ludzkości, więc pozwalamy sobie ten jednolity wizerunek pokazać, zamiast kusić się nadaremnie na mozaikę z cudzych cegiełek ułożoną, którąby z pewnością nie była ani tak trafnym, ani tak świetnym portretem Carlyle'a na zenicie twórczości i potęgi.

„Był on ogromnym gadułą — powiada Emerson — niemniéj, a nawet bardziéj zdumiewającym w rozmowie, niż w druku“...

„Nie był tylko jedynie uczonym człowiekiem, nakształt większéj części moich znajomych, ale był najpierw praktycznym Szkotem, jakich spotykacie w warsztatach siodlarskich lub téż w handlach żelaznych, a potém dopiéro, skutkiem nadzwyczajnego wypadku, był cudownym uczonym i autorem. Jeślibyście chcieli miéć dokładne pojęcie, jak przemawia, wyobraźcie sobie, że Hugh Whelan (ogrodnik) znalazł dość wolnego czasu do przeczytania Platona i Szekspira, św. Augustyna i Kalwina, ale zostawszy wciąż Hughem Whelanem wyraża się z gorzką pogardą o tym całym *nonsensie* książkowym, którym sobie musiał głowę kłopotać“...

„Nazwałem go raz młotem parowym z dodaną arfą eolską... Wypowiada swe przekonania religijne z tą samą gwałtownością, z jaką zwykł wszystkie swe przymioty opisywać, i objawia najżywszą niecierpliwość przy każdéj wzmiance o chrystyanizmie, judaizmie lub innéj formie dobréj, staréj klechdy. Mówi, jak gdyby był bardzo nieszczęśliwym, opuszczonym, niezadowolonym z ludzi, jak gdyby wszystko i wszyscy zawadzali, a żył wyczekiwaniem chwili, w któréj mu będzie wolno podważyć i wysadzić w powietrze cały ten dokuczający mu świat *nonsensu*. Ludzie wszelkiego stanu hołdują mu z ostentacyjną pokorą. On téż ceni swą wartość i nie bywa w towarzystwach pod innemi warunkami, jak podyktowanemi przez siebie.“

„Jest on także jedną z osobliwości Anglii... jak Tower londyński, ale nie zadawala cudzoziemców, bo jest postacią bardzo narodową, którąby się na inny grunt przesadzić nie dała. Chowają go w Anglii jako przenośny dzwon katedralny i lubią go pokazywać w towarzystwach, gdzie nie był znany, żeby rozkołysany i rozdzwoniony zdumiewał i przerażał takie osoby, jak biskupów, dworzan, uczonych i literatów. Ponieważ zaś w angielskich towarzystwach nie ma zwyczaju meldować i przedstawiać wchodzących, więc łatwo pojmiecie, jakie sprawia wrażenie i ile pytań wywołuje jego wstąpienie na scenę. Forster z Rawdon opisał mi pewien obiad przy *table d'hôte* w prowincyonalnym hotelu, do którego wstąpił raz z Carlylem. Jakiś kanonik irlandzki odezwał się. Carlyle zaczął zaraz gadać, najpierw do służby, potém do ścian, a w końcu niewątpliwie do

samego księdza, i to w taki sposób, że go się całe towarzystwo zlękło“...

Nie próbujemy uzupełniać własnym komentarzem téj fotografii egotycznego, fanatycznego, nie znoszącego opozycyi, ale genialnego gaduły, obrażającego bez skrupułu wszystkie konwenanse i osobistości, w chwili zgryźliwego pessymizmu. Była to jego strona ujemna. Wspominamy zaś słowami Emersona o powyższych i dalszych przywarach jego nie w chęci rzucenia cienia na sławę, opromieniającą kolosalną postać mądrego Szkota—taki zamach pigmejczyka byłby śmiesznym i bezskutecznym,—ale pragnąc wyleczyć złudzonych z mniemania, że Carlyle należał do obrońców tolerancyi bez granic, reformy środkami legalnemi i umiarkowanemi, sprowadzenia na ziemię królestwa sprawiedliwości, itp. doktryn, zwykle składających katechizm liberalizmu. Prasa radykalna za jego życia, a pośmiertne wspomnienia w rzekomo liberalnych pismach niemieckich niedawno, starały się z niepojętéj nam przyczyny i z zabawnym dla dobrze poinformowanych osób uporem zasilić obóz swój w sposób korsarski, gwałtem wmawiając światu, że Carlyle należał także do koryfeuszów postępowego stronnictwa, w teraźniejszém znaczeniu tego słowa. Dziwne zaślepienie! By zdjąć sobie łuskę z oczu, wystarczałoby panom publicystom przeczytać „Pamflecik dnia sądnego.“ Mniéj-by nas zadziwiały wycieczki ich przeciw Carlyle'owi za jego dziki, nieugięty, despotyczny konserwatyzm. Przecenianie jego usług dla liberalizmu uchodzi tylko w prasie niemieckiéj, którą szowinizm narodowy usprawiedliwia, jeśli zapomina o wybrykach politycznych wielkiego tłómacza Wilhelma Meistra, ze względu na to, iż był zwiastunem świetności literatury niemieckiéj w Anglii, zagorzałym i jednającym prozelitów emisaryuszem idei zjednoczenia Niemiec pod pruską hegemonią, śmiałym obrońcą wszystkich zamachów pruskiéj polityki i oręża, od szczęśliwych grabieży Fryderyka drugiego, do Sadowy i Sedanu.

Carlyle liberalny! Posłuchajmyż daléj, jak Emerson, znający go lepiéj od kogokolwiek, sumuje jego polityczne i społeczne wyznanie wiary:

Ludzie młodzi—pisze—a zwłaszcza tacy, którzy lubią się przyznawać do liberalizmu, cisną się do niego niecierpliwie, ale mnie się wydała ich niecierpliwość rzeczą równie nierozważną, jak śpieszenie się do profesora greki lub matematyki, przed wyuczeniem się lekcyi. Czysta koszula i oczytanie w literaturze niemieckiéj nie wystarczają do odwiedzania Carlyle'a. Przyjmuje młodzików z pogardą. Oni chwalą wolność, on obstaje za utrzymaniem niewolnictwa. Sławią rzeczypospolite, on—despotyzm w jego najostrzejszéj formie znanéj

w Europie. Podziwiają Cobdena i teoryę wolnego handlu, on jest protekcyonistą. Chcieliby karmić ludzi jarzynami i poić wodą, on zaś przypisuje dzielność angielskiego charakteru wołowinie i baraninie, maluje z gustem tłumy, zazierające w okna rzeźników, i pochwala nawet szkockie szlafmyce. Oni polecają moralne środki reformy i nawracania, on—morderstwo, pieniądze, karę śmierci itp. obrzydliwości prawa angielskiego. Pragną wolności druku, on zaś myśli, że gdyby się dostał do parlamentu, toby zaczął od wypędzenia reporterów.

— W Długim Parlamencie, powiada—w jedynym wielkim parlamencie widzianym w dziejach, siedzieli posłowie prosto i w milczeniu, a nie wiem sam, jakby się byli obeszli ze śmiałkiem, coby był się odważył ogłaszać po za drzwiami ich czynności.

Oni są za swobodą—ciągnie daléj Emerson – za doktryną *laissez-faire*, za daniem każdéj jednostce pobudki tylko i sposobności do samoistnego rozwoju sił swoich, on przeciwnie poleca surową formę rządu, któryby pokazywał ludziom, co czynić wypada i zmuszał ich do wykonywania swych obowiązków.

— Parlament zbiera 6 milionów funtów rok rocznie--woła—do rozdawania ubogim, a ubodzy przymierają przecież głodem. Gdyby mi dali te miliony wraz z władzą zaopatrywania proletaryatu w robotę albo mocą wystrzelania go... a niech mnie powieszą, jeślibym nie wystrzelał upartych... niech mi to dadzą, a z pewnością dostarczę ubogim mąki kukurydzianéj do sytości.

Gdy Emerson świadczył w ten sposób o przychylności przyjaciela dla absolutyzmu, tenże w następujący sposób wydrwiwał wiarę Emersona w rozum gminu:

— Właśnie skończyłem czytać jego ostatnie dzieło--rzekł raz do wspólnego znajomego swym szkockim, zabawnym akcentem, którego druk angielski oddać nie może, a tém mniéj tłómaczenie.—Ha, ha, biedny Emerson! Jemu się widzi, że cały świat podobny do niego i że dość zebrać milion osób i pozwolić im głosować, a będą głosowały mądrze i wszystko pójdzie jak z płatka.

Zaraz potém jął śmiać się po swojemu, na cały głos.

Niech kilka innych, autentycznych przykładów objaśni wyraźniéj jego opinie o rzeczach i ludziach publicznych, oraz kwestyach najważniejszych naszéj epoki.

Będąc skorym do kontrowersyi, jak ów duch, „co wiecznie przeczy", miał według Wyliego nieprzyjemny zwyczaj odmawiania tak dowcipu i talentu słynnym przyjaciołom, jak też zdolności i zasługi znakomitościom publicznym. Zachowywał chwalebną bezstronność w obdarzaniu mężów na czele stronnictw angielskich nazwami nie-

dołęgów, głupców i kuglarzy. Gladstona miał w głębokiéj pogardzie, a Disraelego uważał za awanturnika politycznego. Tego ostatniego zelżył podczas ostatniéj wojny wschodniéj w otwartym liście do Timesa, w którym ukuł frazes, co służył opozycyi przez rok na plakatach i na początku odezw do osłabienia rządu w opinii wyborców. Brzmiał on: Tomasz Carlyle zapytuje, jak długo jeszcze pozwoli John Bull nędznemu żydowi tańcować sobie po brzuchu? Nic tak nie popłaca w kaptowaniu kresek filistrów angielskich, jak szczęśliwe *bon mot*, a trudno-by obliczyć straty Turcyi, wynikłe z tego powodu, że Carlyle ją ośmieszył przed Anglikami nazwą: *the unspeakable Turc* (Turek, o którym nie wypada mówić w przyzwoitém towarzystwie). Jego nienawiść do Beaconsfielda pochodziła podobno z osobistéj urazy, gdyż minister ważył się ofiarować niezależnemu autorowi wstęgę zaszczytnego orderu Łaźni.

Trudno oznaczyć czas, w którym demokratyczny autor „Sartor Resartus" przeobraził się, po zadziwiającém *salto mortale* w jego sympatyach, w obrońcę absolutyzmu i arystokratę nowego autoramentu, który pomiatając orderami, tytułami i magnateryą swéj ojczyzny powiadał, iż „nienawidzi wszystkich potoczystych w mowie radykałów, a mianowicie zwolenników emancypacyi murzyńskiéj—który podczas wojny domowéj w Stanach Zjednoczonych dorzucił swój głos i wpływ potężny na szalę południa—po pamiętnéj rzezi murzynów na Jamajce bronił potępionego przez opinię Anglii gubernatora, a tak się wyraził o głosowaniu powszechném:

— Ze wszystkich szalonych idei, wkradających się zdradliwie w umysły ludzkie wydaje mi się najdzikszą ta, co powiada ciemnym masom, iż wolno im uczestniczyć w regulowaniu spraw społecznych. Niech szewc Kleon robi dobre obuwie, a nikt go rzetelniéj odemnie szanować nie będzie; skoro jeno tenże Kleon rozzuchwali się aż do sięgania po godność prawodawcy i do chęci przewodniczenia światu, zaraz go odeślę do kopyta.

System istniejący w społeczeństwach pańszczyźnianych i plantacyjnych dopóty nazywał pięknym wzorem porządku patryarchalnego, póki go nie wyleczyły z tego obłędu listy Emersona i złośliwe karykatury amerykańskie, któremi mu zamorscy oponenci dokuczali a nadewszystko powodzenie Lincolna. Uchylając głowę przed faktem dokonanym i „bohaterem" (tak nazywał każdą naturę potężną, świadomą swego celu i wytrwałą), szanował prezydenta Ameryki, choć o jéj narodzie żywił wyobrażenie niepochlebne.

— Naród to potężny—zwykł był mawiać - ale nawet on nie dokaże téj sztuki, by zrównać parę ludzi, których nierówność należy do praw wszechświata. Jestem przekonany, że większość Amerykanów

przyłączy się z czasem do mego zdania, o użyteczności instytucyi niewolnictwa; ze wszystkich narodów oni pierwsi ustanowią władzę osób zdolnych zamiast rządu faryzeuszowskiéj szlachty lub ciemnego motłochu.

Argumenta za teoryą powszechnego głosowania zbywał następującym frazesem:

— Nie wierzę, aby takie państwo mogło długo się utrzymać, w którém Jezus nie miałby więcéj wpływu na sprawy publiczne od Judasza.

Napoleona III zwykł był zwać „stworzeniem nierogatém w spotęgowanym stopniu" i przepowiadał na długo przed wojną r. 1870 jego upadek. Podczas tejże wojny przychodził co dzień do swego klubu (sławnego Ateneum) żeby droczyć się gardłowaniem za Prusakami z większością literackich kolegów klubowych, sprzyjającą Francuzom. Niezgłębione swe zadowolenie ze zwycięztwa nie tylko wojsk niemieckich ale i „teutońskiego ducha" w walce z rywalem celtyckim objawił otwarcie w liście do Gazety Wejmarskiéj.

— Francya okazała się niegodną roli przewodnika narodów. Pochłonęła ona świadomie cały ocean próżności i fałszu... Trzeba ją zdetronizować na rzecz Niemiec.

Na widok rozpaczliwych usiłowań Francuzów celem obrony kraju wzruszył ramionami i rzekł:

— Jest to naród do jądra spodlony, oddany kłamstwu, oraz rodzicowi kłamstwa. Jego patryotyzm składa się z próżności, z gaskonad i giestykulacyj... Patrzcie przeciwnie na cierpliwe, głębokie, nabożne, szczere plemię niemieckie... Jednym z najwymowniéj do wiary w lepszą przyszłość pobudzających wypadków współczesnych jest fakt, że naród ten został w końcu spojony w całość jednolitą.. Pod przewodnictwem Bismarcka stanie się on królem kontynentu miasto chełpliwéj, nadętéj, giestykulującéj, niespokojnéj, zbyt drażliwéj Francyi.

Ówczesne cierpienia tejże Francyi nazywał sprawiedliwym odwetem za krzywdy i szkody, wyrządzone przez nią Niemcom przez 4 wieki.

Nie spotkaliśmy się z częstemi zaznaczeniami opinii Carlyle'a o grupie narodów słowiańskich, ale tak z informacyi prywatnéj, jak z kilku wzmianek w jego dziełach i listach, podanych przez biografów, wolno wyrobić sobie zdanie, że krom badania przyczyn naszego upadku nie zastanawiał się długo nad nią, a tylko urzędową Rosyą i ruchy serbsko-bulgarskie dokładniéj studyował. My jedni, skutkiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, podpadliśmy jego nielitościwéj cenzurze. Podczas kilkunastoletniéj pracy nad życiorysem Frydery-

ka drugiego, wertując niezliczone mnóstwo ksiąg i dokumentów, oraz zwiedzając wiele miejscowości historycznych, Carlyle zapalił się dla twórcy potęgi pruskiéj ową admiracyą fanatyczną, która pozbawiała go bezstronności sądu we wszystkich procesach między jego „bohatérami“ a przeciwnikami tychże. Od tego czasu datuje się niechęć i lekceważenie, jakiém nasz naród obdarzał, a wpływ jego przykładu, oraz inicyatywa jego krytyki dały podobno początek nieprzyjaznemu usposobieniu, jakie się przebija w pismach i mowach wielu radykalnych anglików, gdy nasza siła moralna, dążenia polityczne lub praca cywilizacyjna są omawiane. I nadszedł w końcu czas, że parlament słuchał równie obojętnie rymów, któremi Bright, posługujący się chętnie słowami poetów, wyrażał swą sympatyę dla nas, lub wywodów Cowena w naszéj obronie, jak twierdzenia znakomitego autora i męża stanu—Grant Duffa—że Polacy wogóle tak są pochopni do mijania się z prawdą, a prasa ich tak sobie lekceważy liczby i fakta, iż wszystko, co ona podaje, okazuje się zwykle całkowitym lub częściowym fałszem. Jedyną naszą kontrybucyą do skarbca cywilizacyi w całym bieżącym wieku ma być, według zwolenników aksyomatów historycznych Carlyle'a, cokolwiek wierszyków, a jedynym narodowym talentem łatwość w komponowaniu tychże wierszyków.

Sam Carlyle zwątpił był w możność uzdrowienia naszego śmiertelnie słabego ducha inném lekarstwem, jak tém, *byśmy się jak można najprędziéj zniemczyli.* Ta na seryo podana rada zdawała się nawet radykalnemu i pozytywnemu redaktorowi słynnego „Westminster Review“ morderczym zamachem na życie jednostki w rodzinie ludów, któréj prawo do bytu było dostatecznie usprawiedliwione jéj długą odrębnością. W artykule o „Literaturze Polskiéj“ (1) dał on surową odprawę zapatrywaniom Carlyle'a na nasz upór przeciw asymilacyi z germanizmem, wskazując mu, że ze wszystkich historyków jemu najmniéj wolno doradzać wynarodowienie, póki sam uparcie się przyznawał do narodowości szkockiéj, nie mającéj nawet odrębnych interesów i języka od Anglików, do których Carlyle nie pozwalał się zaliczać.

Niemniéj ekscentryczne opinie, jak w politycznych pismach i odezwach, pokazywały swe rogi w sądach Carlyle'a o zjawiskach, ruchach i ludziach rzeczypospolitéj literackiéj. Czy ktoś był sławny i światu imponował, nie pytał. Coleridge'a, popularnego poetę, nazwał

(1) Zmuszeni oddać jedyny egzemplarz tego artykułu posiadany przez nas Longfellowowi, nie możemy niestety wymienić dokładnie, w którym roku i miesiącu był wydrukowany w „Westminster Review.“ Zdaje się, że w początku r. 1878.

wielką maszyną parową, w któréj pękł kocioł, a Guizota bałamutem literackim, co jął pisać o charakterze Washingtona, gdy mu nie było dłużéj wolno być narzędziem machiawelizmu Ludwika Filipa.

Jego instynkt obrazoburczy zbudził się w nim w zaraniu młodości, jednocześnie z żądzą sławy, a nie opuścił go do śmierci, gdy tę ostatnią nazywał już *vanitas vanitatum.* W korespondencyi młodego Carlyle'a do dwóch kolegów szkolnych ogłoszonéj częściowo przez Conway'a za zgodą Froude'a, czytamy słowa nakreślone piórem 19 letniego młodzieńca: „jedyném mém życzeniem jest zostać sławnym." W cztery lata późniéj, aspirując już do specyalnéj sławy angielskiego historyka, powiada o tryumwiracie znakomitych poprzedników (Humie, Robertsonie i Gibbonie), że są autorami nie pojmującymi piękności cnoty i trudno-by powiedziéć, dlaczego ludzie czytają śmiecie przez nich zostawione. Jeszcze dwa krótkie lata, a targa się na laury samego Homera:

— Sława jego polega na udanéj admiracyi osób, które ani go nie czytają, ani byłyby w stanie zrozumiéć... Co prawda, dzień Meonidesa ma się ku ciemności. Jego południe wybiło przed 25 wiekami, zmrok (gdyż zaszedł w r. 1453) może potrwać jeszcze 25 wieków, ale także się skończyć musi... Poezyi niewolno wymagać ułaskawienia od ogólnego wyroku śmierci, gdyż idee, o których traktuje, różnią się w każdym wieku i narodzie. Chociaż wprawdzie niektóre uczucia oddane przez Homera będą tak długo żyły, jak rasa nasza, jednakże, z postępem wykwintności (*refinement*) i zmianą zwyczajów, jego sposób opisowy wydawać się zacznie trywialnym i ckliwym (*trivial and disgusting*), a nawet zmrok jego sławy zgaśnie do szczętu...

Zkądże wielkość i sława tego burzliwego, przekornego umysłu w Anglii, przywiązanéj do ustalonych opinij, a wiernéj nawet swoim lordom, dlatego, że ich istnienie usprawiedliwia tradycya? Zkąd miłość, jaką go ogół otaczał, zacząwszy od żony, kobiéty rzadkiego ukształcenia, która serce i majątek oddała chętnie chłopskiemu synowi—od licznych przyjaciół, co go się chwytali jak rośliny, czepiające się włóknem korzonków pożywnéj bryły ziemi, do owego wysokiego świata, z którym zamożny i dumny mędrzec mógł żyć w zgodzie jako równy z równymi, a maltretował go?

Czyż nie dlatego tak go wielbiono, że był tylko cierpkim i groźnym dla silnych, obłudnych, zarozumiałych, a słodkim i łagodnym dla slabych, szczerych i dobrodusznych? że szanowano w nim reformatora i humorystę, nie przyjmując go za mentora, z którego-by tendencyj, paradoksów i pomysłów ludzie praktyczni wyrabiali wła-

sne systemy polityki, ekonomii, nawet filozofii dziejów. Z nielicznemi wyjątkami, nie zebrali się jego wielbiciele w szkołę, któraby na piaszczystéj, ruchoméj podstawie jego zasad budowała piramidę przekonań, uważanych przez nią za prawdę. Przyjaciele widzieli w nim jedynie zachwycającego przygotowawcę prostych ścieżek sprawiedliwości, przez walkę z zawadami na staréj drodze. Plamy na tém słońcu były im znane, ale jak byłoby niedorzeczném złorzeczyć dobroczynnemu dawcy światła i ciepła, ożywiających skorupę ziemską, za to, iż dopieka w południe bezbronnym głowom, tak téż nikt nie kładł nacisku na szkody zrządzane gwałtownością szkockiego krytyka, wobec tytanicznéj użytecznéj pracy, by zniszczeniem przesądu i kłamstwa utorować drogę dla wielkiéj reakcyi, koniecznie potrzebnéj w ojczyźnie.

Jego kazania były głównie wymierzone przeciw obłudzie, toczącéj jak czerw ohydny rdzeń klas wyższych. Wyszydzał i podważał bałwany i pobielane grobowce—przedmiot bałwochwalstwa ludu. Z ostrym, dzielnym mieczem satyry wstąpił w las upasowy fałszu i siekał na prawo i na lewo gęste *shams* (wyraz ukuty przezeń, ogólnie teraz przyjęty w Anglii, określający maski, blichtr, róż, fałsz wszelki, zwodzący pięknemi pozorami). Pochwalając wszystko, co szczere, realne, cenne tłukł młotem łajania każdą mierność pretensyonalną. Żywy i skory do zaczepki odkładał liczenie przeciwników do godziny, w któréj będą pobici. Wpadał na nich obces i rozbijał ich ciosami strasznemi, jak *Schwabenstreiche* Uhlanda. Jego szkocka, na drwiny i przytyki nieprzenikliwa skóra służyła mu za pancerz i puklerz. A gdy się rozgłosiła moc jego ręki i stało się postrachem jego imię, już całe plemię fałszywych powag, faryzeuszów, sobków i szkieletów odzianych w purpurę tytułów, synekur, fortun źle używanych itd.—całe to plemię truchlało przed jego spojrzeniem, niby owe podlejsze zwierzęta uciekające przed rykiem lwa do ciemnych nor, godnego ich siedliska.

Trudno-by bylo nie pokochać zuchwalca, co łączył przebiegłość Temistokla z rycerskością Don Quixota i mienił się publicznym oskarżycielem przy trybunale opinii narodu angielskiego, a oskarżenia swoje oblekał w formę cudną, zwracającą na obwinionego milion rozciekawionych, świdrujących źrenic. Kto był winnym, nie uszedł wyroku, jeśli zaczepka oskarżyciela okazała się niesprawiedliwą napaścią, podsądny wychodził z rozprawy czystszym i cenniejszym, jak złoto z ognia.

Trudno było nie podziwiać genialnego wróżbita, do którego cisnęli się mężowie stanu, uczeni, literaci, magnaci, rozciekawieni wieściami o jego humorze i ekscentryczności, pragnąc ujrzéć dziwoląga

z Chelsea, w jego pokoiku pełnym ksiąg i dymu, aby dowcip z nim skrzyżować, ale po pierwszém starciu z olbrzymem jaskini opuszczali ręce w rozpaczy. Jego zuchwały, przedrwiwający sposób dysputowania przerażał ich. Przyrównywali go do żołnierza, chwytającego oburącz pistolet, co na panewce wypalił i druzgocącego nim głowę przeciwnika.

Nikogo nie oszczędzał, krom takich, co jego zdaniem pojmowali swe zadanie życia nie jak rolę aktorską, ale jako misyę świętą. Kto tylko pozował, kto chciał uchodzić za cnotliwszego i mędrszego, niż nim był tego wyszukał i zdemaskował niezmordowany cenzor.

Carlyle czcił wszystkie natury silne, przejęte ważnością swego obowiązku i wybaczał błędy, których się dopuszczały w dobréj wierze zadosyć-uczynienia sumieniu. Nie roztrząsał, azali źródło ich mocy było boskie, lub szatańskie, ale z grzmotem trąb Jozuego wołał do tłumu: *Ehrfurcht! Ehrfurcht!*—szanujcie potęgę umysłową, bo jest narzędziem Opatrznośoi i zawiera w sobie mądrą, dostateczną ilość hamulców, celem zrównoważenia swych dzikich namiętności, oraz utrzymania się w karbach należytych.

Emerson wyjaśnia przykładami bezstronny szacunek Carlyle'a dla silnych, działających z przekonania charakterów. Kochał rybaka, rezykującego w dzień życie dla wyżywienia rodziny, a w miarę, jak cel poświęcenia był wyższym, wzrastała jego miłość i cześć dla mężnych. Dziwaka Edwina Chadwicka zaliczał do heroicznych indywiduów. Człowiek ten miał *idée fixe*, że zdoła dostarczyć każdemu z londyńczyków 60 garncy czystéj wody dziennie za penna na tydzień.

— Przy ogólnéj zgniliznie i podupadaniu wszystkich wyznań religijnych jest on naszym dobroczyńcą—powiadał Carlyle—albowiem wkrótce zostanie już tylko jeden akt formalny, który będzie wolno bezpiecznie praktykować... umywać się codzień, porządnie.

Nie posiadał się z radości na wieść o zajęczéj ucieczce tego „wielkiego oszusta", Ludwika Filipa przed nikczemnym motłochem, ale cesarza Mikołaja I liczył do bohaterów, albowiem gdy żaden inny monarcha nie śmiał wystrzelić w obronie swéj korony, on postanowił wytrwać do ostatka na stanowisku, gdzie się według swego przekonania znajdował z woli bożéj...

Trudno-by wymienić długi szereg słabostek i wad Anglików, które Carlyle ośmieszył i zdyskredytował. Do nich należał jego wielki wróg: t. z. *decorum*, czyli angielska skrupulatność w przestrzeganiu form towarzyskich, żeby nie dać powodu Pani *Grundy* (Przyzwoickiéj, ogadującéj mniéj przyzwoitych sąsiadów) do szerzenia plotek.

Niemniéj lekceważył gorącą żądzę każdego Anglika, by świat go uważał za *respectable* (zacnego), chociażby jego serce było egoistyczne i rozpustne. Żeby dowieść, w jakiém ma obrzydzeniu złotego cielca narodowego, którego czciciele lubią uchodzić za lepszych, niż są, wstydzą się pochodzenia poziomego, maskują brak wykształcenia i pną się do wyższéj kasty towarzyskiéj, Carlyle (tak twierdzi Wylie) umyślnie zachowywał swą chłopską manierę i nie pozbywał się akcentu, właściwego ludziom nizkiego stanu w jego parafiańskiém gnieździe. Żaden inny Szkot inteligentny nie przebył długiéj wędrówki żywota i tak radykalnéj zmiany stosunków majątkowych z tak nieznaczną stratą miny i obyczajów, wyniesionych z pod rodzinnéj strzechy, jak ten mędrzec, co się poświęcił wiedzy od najmłodszego wieku, a przez lat kilkadziesiąt obracał się w wybranych koteryach Edymburga i Londynu.

Zgoła, był on reformatorem tak słowem, jak przykładem. Tytuł *seer* (wieszcza-proroka) słusznie mu był dany. Łatwo-by go sobie wyobrazić w skromnym ubiorze, z długiemi, siwemi, rozwianemi kędziorami, stojącego na rynku nowoczesnéj Niniwy, przed giełdą, i wołającego:

— Niech się odwróci każdy od złéj drogi i od łupiestwa, które jest w jego ręku, albo po czterdziestu dniach Niniwa będzie wywrócona!...

Ciężko spoczęła ręka tego proroka na ortodoksyi angielskiéj i choć nie obaliła drzewa starego i mocnego, podcięła jeden z głównych jego korzeni—ślepe uszanowanie ludu. I tu znów reformował Carlyle sposobem ujemnym—krytyką – nie zaś środkami dodatniemi, bo nikt nie umie powiedziéć, co chciał postawić w miejscu wiary ojców, z którą zerwał otwarcie. Prywatnych dysput religijnych ani unikał, ani był do nich pochopnym, lecz nie wyrażał w nich nic takiego, czego-by w „Sartor Resartus" nie był ogłosił. Twierdził, że człowiek nie potrzebuje innego katechizmu, krom wewnętrznego głosu sumienia. Nie lubił prałatów i był zdania, że wyższe stany angielskie, spędzające próżniacze życie w końskim klubie Tattersala, nie mają żadnéj religii, bo brak ich słowom i postępkom powagi. Lubił opowiadać z właściwym sobie humorem, jak pewien poczciwiec przeceniający moc swych środków zaciągnął go raz na kazanie słynnego pastora, w nadziei nawrócenia go.

— Metodysta—kończył—prawił o niebie, a wkrótce zrozumiałem z jego słów, iż przedstawiał sobie niebo w postaci niezmiernego morza syropu słodkiego, w którém to morzu będzie wolno jemu i jego zwolennikom tarzać się do woli, ale sobie pomyślałem, że mnie dyabelnie mało to obchodzi, czy on i jego gromada dostaną syrop.

Moja idea o niebie—tu spojrzał w przestwór wzrokiem znanym, szukającym dalekich przedmiotów, i mówił z namaszczeniem, głosem drżącym i cichym—moja idea o niebie zdaje mi się zgodniejsza z tą, jaką w naukach Mojżesza i Chrystusa znalazłem... będzie tam spoczynek... nic, tylko spoczynek.

Dając dobrowolnie takie wskazówki próbującym odgadnąć jego wyobrażenia o początku i celu wszechrzeczy, oraz indywidualności i przeznaczeniu człowieka, nie pozwalał sięgać po za nie nawet najprzychylniejszéj dłoni. Wylie opowiada, że gdy raz wspólny ich przyjaciel ozwał się w obecności mędrca z Chelsea, że jego religijne poglądy były zbliżone do wiary Carlyle'a, ten odciął z cieniem gniewu w tonie:

— Moje poglądy religijne! Proszę bardzo, zkąd one panu znane?

Tenże autor dodaje, że Carlyle umiał się wywijać ze śledztwa o swe wyznanie wiary z biegłością dowcipnego lorda Shaftesbury, który zapytany o swą religię odrzekł:

— Wyznaję religię wszystkich rozsądnych ludzi.

— A to jaka religia, proszę w. l. mości?

— Rozsądni ludzie nigdy jéj nie wymieniają (1)

Niemniéj byłoby trudno rozstrzygnąć, jakiéj szkoły filozoficznéj zwolennikiem był Carlyle. Zdaje się, że słynny historyk i krytyk chwiał się w swych zapatrywaniach na walkę stronnictw, rozbierających żywotne pytania czasu. I tak, przeciwnicy ewolucyjnéj hipotezy Darwina, szukając wsparcia w powadze Carlyle'a, ogłaszali wszystkie jego rzekome wycieczki przeciw téj teoryi, których sobie pozwalał w rozmowach towarzyskich. Twierdzili, że mędrzec z Chelsea nazwał wielkiego naturalistę poczciwym, pełnym dobrych chęci, ale pozbawionym inteligencyi niedołęgą, a szerzenie się jego nauki opłakiwał temi słowy:

— Rzecz to smutna i straszna, że prawie całe jedno pokolenie mężczyzn i kobiét, przyznających się do oświaty, ogląda się ślepemi oczyma i nie widzi Boga we wszechświecie. Jest to mojém zdaniem reakcya od czczego panowania obłudy *(cant)* i próżnych pozorów, i udawania wiary w to, w co się potajemnie nie wierzy. Ha, więc przyszliśmy już do tego!... Wszystko wyszło z żabiéj ikry! Ewangielia błota stoi na porządku dziennym!..."

Inni poufali przyjaciele Carlyle'a, darwiniści, odpowiedzieli w Times'ie, że ani powyższe, ani téż żadne inne potępienie hipotezy

(1) Śmiały plagiator Disraeli wcielił ten koncept do Endymiona. T. I. Z. I. r. 1882.

ewolucyjnéj nigdy z ust ich mistrza nie wyszło, ale choć kontrowersya trwała długo i była mu znaną, przecież nie zaznaczył niezatartém, drukowaném słowem, która z powyższych dwóch stron mówiła prawdę. Zdaje się wszakże, że w pierwszych gorących latach dysputy nad nauką Darwina był jéj przeciwnikiem i może chwiał się do końca życia tak w téj, jak w wielu innych kwestyach, do którego obozu się przyłączyć.

Jego chwiejność i częste zmiany frontu w rzeczach filozoficznych były naturalnym skutkiem charakteru, pochopnego do kontrowersyi, często sprzecznego z samym sobą, a dla dogodzenia swéj pochopności do negacyi nazywającego czarném to, co mu się w innéj chwili i w humorze lepszym białém wydawało. Już Emerson widział go torysem w towarzystwie postępowém, a radykalnym między torysami. Trzeba było zmienności kameleonowéj i odwagi cywilnéj niepospolitéj, żeby z demokratycznego autora „Sartor Resartus“ przeobrazić się w obrońcę niewoli murzyńskiéj w „Latter Day Pamphlets,“ napisać biografię Fryderyka Wielkiego i Listy do Erskina, których autorstwo wolno-by przypisać apostołowi wygnanemu na wyspę Patmos, gdybyśmy nie wiedzieli, skąd wyszły, tudzież nazwać piękny, potrzebny *bill* ostatniéj reformy parlamentu: „*shooting Niagara* (skokiem na oślep w otchłań Niagary i ochlokracyi). Niektórzy tłómaczyli fizyczną powierzchownością Carlyle'a tę jego sprzeczność moralną z samym sobą. Jak na twarzy jego były grube rysy chłopa i oko wieszcza, tak duch jego składał się z dwóch pierwiastków, których ustawicznéj walce zawdzięczamy zadziwiającą nierówność jego charakteru i zagadkowość książek.

Pozytywiści angielscy, obóz potężniejący łączeniem się z nim wyboru inteligencyi narodowéj, nie mają powodu użalać się na Carlyle'a, chociażby było prawdą, że trawestował niekiedy ich filozofię, bo młot jego wybił w niewyszczerbionym przedtém murze upartéj ortodoksyi anglikańskiéj wyłom szeroki, kędy się wlewa powódź nowych idei...

Pokazawszy przeciw komu i czemu geniusz Carlyle'a wojował a czego bronił, rzućmy okiem na jego najznakomitsze narzędzia wojenne. Były nimi mianowicie styl zdumiewający, nie pozwalający czytelnikowi oderwać się od zaczętéj książki, mrówcza pilność w gromadzeniu materyałów historycznych i dowodów swych opinij a nadewszystko talent humorystycznéj krytyki.

Począwszy od Emersona wszyscy co go znali zgadzają się, że jak w pracach literackich tak i w życiu towarzyskiém był Carlyle nadewszystko humorystą. Humor tworzył osnowę jego różnobarwnego, z rozmaitych nitek utkanego talentu i tkwił tak głęboko w jego

ustroju umysłowym, że mędrzec ten spoglądał na każdą rzecz istniejącą z satysfakcyą i uśmiechem człowieka, bawiącego się widokiem myszy rozigranéj. Nie mógł nawet zachować poważnéj miny na tragedyi. Żeby zmistyfikować słuchacza i naśmiać się potém z jego zakłopotanéj miny, udawał gorycz i niesprawiedliwość, obcą jego sercu, i być może, że krytycy biorący na seryo każdy z jego paradoksów zapomnieli, iż humor bywał główną sprężyną jego konceptów. W jego manuskryptach ma się on przebijać w postaci poprawek niezliczonych, zawsze zmierzających do zastąpienia zwrotów naturalnych innemi, kapryśnemi i pełniejszemi humoru. Przymiot ten odziedziczył w części po szkockich przodkach, a w części przyjął w młodości, studyując pisma Richtera. Jean Paul raczéj, niż Göthe był jego mistrzem. W pierwszym swym drukowanym zarysie krytycznym dał czuć, że ceni wyżéj Richtera humorystę, niż Richtera filozofa. Ulubiony charakter w dziełach Jean Paula—Siebenkäs—jest podobniejszym do rzeczywistego Carlyle'a, od wszystkich portretów, zdjętych z jego osoby, bo i ten, jak tamten, ukrywał serce pod cudacką maską, tak dla zyskania większéj swobody słowa, jak z powodu, że wolał trawestować głupstwa ludzkie, niżeli je podzielać. Ze wszystkich tytułów przyznawanych Carlyle'owi pasowałby mu najlepiéj: *ein satirischer Improvisator* (1).

Tego satyrycznego improwizatora czciła i opłakuje cała Anglia. Jest on jéj chlubą. Ale według nas wychodzi na jeszcze większą chlubę dla niéj, że umiała ocenić i tolerować geniusz z głosem Kassandry, co stawał na poprzek jéj zakorzenionym przesądom, wyśmiewał „filistynizm," chłostał urodzonych lub krętemi drogami wybranych przewodników, obalał bałwany narodowe. Cześć narodowi nie zatykającemu uszu na wołanie swoich Izajaszów. I tylko w takich krajach rozwijają się pokrewne wielkiemu, szkockiemu krytykowi geniusze...

Oceniając działalność serdecznego przyjaciela i rówieśnika przed zgromadzoną inteligencyą Bostonu, Emerson tak zakończył drżącym od zgrzybiałości i żałości głosem swe pośmiertne wspomnienie:

„Ze wszystkich współczesnych mężów Anglii zachowywał Carlyle najpiękniéj swą godność męzką. Stawał w obronie uczonych nie pytając się ich, jak ma ich bronić. Zajmując zaszczytne miejsce w towarzystwie, ujmował się za ludem, za Chartystami (2), za nędza-

---

(1) Patrz *Blumen, Frucht und Dornenstücke*, Richtera.

(2) W r. 1848, gdy 200.000 proletaryuszów groziło marszem na parlament.

rzami i dumnie uczył szlachtę jéj obowiązków. Błędy jego opinii są drobnostkami znikającemi wobec zasług. Jego *aplomb* nie dawał się naśladować i przekonywał, gdyż pochodził z serca. W téj Anglii, gdzie arystokracya bardzo niedawno dopiéro zaczęła wpuszczać literatów do towarzystwa... gdzie tylko mała liczba najlepszych domów dla nich się otwiéra... tam trzymał się on prosto i stał się ogólnie uznaną potęgą i pokazał literatom ich wzniosły obowiązek... Nigdy nie lękał się nikogo!..."

Filozof i poeta Bostonu miał więc racyą, że Carlyle był bardzo angielską, narodową rośliną, którą-by trudno przesadzić do innego kraju np. do Francyi, gdzie Wiktor Hugo kadzi na seryo szowinizmowi swego narodu, nazywając go mózgiem i sercem świata, lub do Ameryki, któréj ludność zaciska pięście, czytając prawdę i satyrę obcych turystów o swych zwyczajach i obyczajach, albo u nas drażliwych na krytykę zagraniczną, a nietolerujących własnéj...

Nie wszystkie narody mogą wychować Carlyle'ów, a szkoda, bo jakie muchy hiszpańskie dla zaskorupiałych, tacy budziciele dla uśpionych gnuśnie są wszędzie potrzebni, gdziekolwiek prywata przywdziewa owczą skórę patryotyzmu, obłuda—pobożności, chciwość—ofiarności. W którym-że narodzie nie ma okresów czasu, kiedy opinie ogólne nie wyrabiają się w walce szkół rozmaitych, ale bywają dyktowane przez koteryę samozwańczych powag? kiedy szowinizm nie idealizuje przywar narodowych? prawda nie kole w oczy? wielkość nie mierzy się sążniem światowym, lecz łokietkiem parafialnym? opozycya przeciw popularnym błędom nie poczytuje się za brak talentu i patryotyzmu? ludzie bez powołania nie rzucają się do literatury dla chleba? nie istnieją kółka wzajemnéj admiracyi, a reputacya nie jest równomierną z talentem, lecz z hałaśliwością koteryi, któréj się jest członkiem? autorowie nie są wyrobnikami drukarzy? Wszędzie zaś, gdzie takie itp. stosunki się powtarzają, przydałby się nowy Carlyle z płucami Stentora, z humorem bezczelnie śmiałym i zjadliwym, stanowiskiem niezależném i fortuną dostateczną, by mógł rzec:

— Oszczerstwo mnie nie boli, śmieszność nie przenika, powag się nie lękam, brak licznego koła czytelników mnie nie ogłodzi. Jestem jako klin, co z czasem przenika i rozpiera najtwardsze bryły. Mam czas i cierpliwość. Będę czekał. Poczytuję za największe grzechy: obłudę—przeciw Bóstwu, nietolerancyą—przeciw człowieczeństwu. Poświęcę się bojowaniu z niemi. Będę krytykował, rezonował, badał, powątpiewał, spierał się, tworzył nową filozofię dziejów, bo w zwadzie tkwi rękojmia wzrostu, a w potakiwaniu przejście do sta-

nu chińskiego drzewka, sztucznie skarłowaconego. Będę w opozycyi, choćby sam jeden i jako zegar uparty, co dowiódł Karolowi V, że niewarto próbować nakręcać do jednomyślności dusze inteligentne, jeśli najbieglejszy mechanik nie zdołał tuzina automatycznych maszyn do bicia w jeden takt przymusić.

Wszystko to, choć w innéj formie, musiało się zapewnie przesuwać w myśli młodego nieznanego autora „Sartor Resartus," gdy wydawca po wydawcy odrzucał to jego pierwsze, „niedorzeczne", obrazoburcze dzieło. I czekał. I powtarzamy, szczęśliwa Anglia, w któréj nawet tacy ludzie mogą się doczekać sławy i miru ogólnego!

(*d. n.*) *Sygurd Wiśniowski.*

LUDNOŚĆ ROLNICZA ZIEM UKRAINNYCH

DO WYBUCHU WOJEN KOZACKICH.

Archiw jugozapadnoj Rossii: Cz. VI tom I. Akty ob ekonomiczeskich i juridiczeskich otnoszeniach krestian w XV-XVIII w. (1498—1795) wyd. J. Nowicki; Kij. 1876 (2 oddz.).—*Źródła dziejowe:* Tom V. Lustracye królewszczyzn ziem ruskich, Wołynia, Podola i Ukrainy z pierw. połowy XVII w. wyd. A. Jabłonowski, Warszawa, 1874.—Tom VI. Rewizya zamków ziemi Wołyńskiéj w połowie XVI w. wyd. A. Jabłonowski. Warszawa, 1877.—*Księgi poborowe* ziem ruskich z XVI wieku—w odpisach.

W zakresie źródłowych badań historycznych chwili obecnéj pierwszorzędne bez zaprzeczenia miejsce zajmuje stan socyalny i ekonomiczny społeczeństwa, jako główna podwalina polityczno-narodowéj onego budowy. U nas zaś, przy rozpamiętywaniu zmiennych kolei ubiegłéj przeszłości, potrzeba dokładniejszego rozjaśnienia zaciemnionych stron tego zakresu życia stała się tém żywszą, iż dotąd nawet najbardziéj to może zaniedbana dziedzina w naszém dziejoznawstwie. Szczególnie téż losy dziejowe i dola ludu włościańskiego w Rpltéj pobudzają pracowników historycznych coraz natarczywiéj do wszechstronniejszych poszukiwań. I słusznie; badanie bowiem tego przedmiotu nie tylko ma wielką wagę samo przez się, lecz co więcéj—jest niezbędnym warunkiem dla należytego rozwikłania z czasem i zagadek znaczenia ogólnego, co dotąd jeszcze utrudniają nam jasne rozumienie organicznéj całości ubiegłego życia staréj Rpltéj. Wolni już jesteśmy wprawdzie od kardynalnego błędu lat nie tak jeszcze dawnych, dozwalającego utrzymywać, jakoby historyczną przeszłość naszę zapełniały najcałkowiciéj i dostatecznie same dzieje stanu szlacheckiego. Pojmujemy niemniéj, iż dla zupełności społeczno-narodowego obrazu przeszłości téj konieczném jest ogar-

nięcie życia i odbywających się w niém przeobrażeń mas ludowych, konieczném—uwidomienie i zaznaczenie należyte zakresu uderzeń tętna życiowego ludności wieśniaczéj wśród zmiennych prądów różnych epok dziejowych a na rozległych tyle przestworach Rpltéj. Ale o czém jeszcze nie jesteśmy dość przeświadczeni może, to o bogatém i barwném wielce urozmaiceniu życia ludowego na tych obszarach, uwydatniającego się wszędy w swój odrębny sposób, odpowiednio głównym jéj składowym dzielnicom. Za często może zapominamy, że dzieje nasze ubiegłe przedstawiają również i pod względem społecznym jak i politycznym obraz prawdziwéj rzeszy ziem i ludów odmiennéj przeszłości i najróżnorodniejszego obyczaju, obraz niedozwalający takiego solidaryzowania, takiego ujednostajniania kolei dziejowych, doli i bytu ludu włościańskiego Rpltéj, jakie byłoby możliwém gdzieindziéj. Istotnie „co wieś to inna pieśń"—co ziemia, kraina, dzielnica to inny tryb, porządek, stan—oto cecha przeszłości naszego ludu. A z tego w nieodzowném następstwie wynika téż konieczność pewnéj ułamkowości, specyalizacyi i, w zakresie źródłowych badań historycznych nad ludnością rolniczą Rpltéj, niezbędność rozdrabiania badań tych na ściśléj określone działy.

Téj głównie przyczynie przypisać należy i zwykłe traktowanie zosobna dziejów ludności rolniczéj ziem ukrainnych.

Lecz traktowanie podobne ma nadto jeszcze inne uzasadnienie poważne. Dola historyczna ludu wieśniaczego ziem ruskich tyle zaważyła na szalach ogólnych dziejów Rpltéj w saméj istocie rzeczy, tyle z drugiéj strony bywała wynoszoną aż na wyżynę jednéj z najgłówniejszych przyczyn onéj upadku, że mimo całéj przesady podobnego pojmowania, nie przestaje ona, bardziéj od innych, nasuwać się badaczom ojczystéj przeszłości jako przedmiot koniecznych rozważań. Życie ludu ukrainnego było téż po wszystkie czasy mniéj bierne niż ludu innych dzielnic Rptéj—owszem, podsycane przypływem nieustannym najruchliwszych żywiołów wszystkich jéj ziem, wyrażało ono najbardziéj czynny protest przeciw przygniatającemu coraz dotkliwiéj innych brzemieniu. Niema zasady szukania w niém jednéj z przyczyn upadku Rptéj, jak w doli nieporównanie sroższéj sąsiedniego ludu rosyjskiego trudno dopatrzyć przyczyny wyniesienia się Rosyi na mocarstwo pierwszorzędne. Było w życiu tém przecie tyle wytężenia, tyle odrębności samorzutnéj, że przedstawia ono więcéj względnie interesu i bardziéj może zasługuje na dokładniejsze zbadanie, nawet samo w sobie, bezwględnie—jako wyraz dziejowy osobnego etnicznego indywidualizmu.

Że tak jest istotnie, że tak się sami na dzieje ludności rolniczéj ziem ukrainnych zapatrujemy, przyświadcza temu już to samo, iż co-

raz częściéj spotykamy się z nowym jakimś przyczynkiem, rzucającym więcéj światła na strony zacienione kresowego w przeszłości bytu, z nową wiązką źródeł nieznanych, dostarczającą świeże dla dalszych poszukiwań zasoby. Zainteresowanie się coraz żywsze: nie owo idealne, mgliste z czasów poetycznéj szkoły ukraińskiéj, lecz trzeźwe, spokojne.

Należy tu dodać, iż nie my jedni nad tém pracujemy; współubiegają się w tém z nami ukraińscy badacze po rosyjsku piszący. A prace ich nabierają coraz żywszego znaczenia, nie dlatego tylko, że w dzisiejszém archiwum kijowskiém posiadają oni najbogatszy zbiór materyałów dotyczących przeszłości tych krain, lecz że w młodym ich zastępie obudziła się już widocznie głębsza myśl badania prawdy dziejowéj dla saméj prawdy oraz wzmogło się poczucie godności, nie dozwalające już poniżania się do tak dobrze znanych przedtém tendencyjnych pościgów w jedynym celu rekryminacyi. Moglibyśmy bowiem z przyjemnością powtórzyć jeszcze raz, cośmy tu (At. z 1877 r. t. III Kresy ukrainne str. 1) już pierwéj przy innéj okoliczności wypowiedzieli.

Dostrzegać to się daje nawet w nowszych pracach znanego wydawnictwa archeologicznéj komisyi kijowskiéj, w dziale onego dotyczącym stosunków społeczno-ekonomicznych, rolnych, włościańskich. Taką przedewszystkiém cechę przedmiotowości, wolnéj od wszelkich owych receptowych domieszek zupełnie obcéj poważnemu celowi natury odznacza się i „Zarys historyi stanu włościańskiego południowo-zachodniéj Rosyi w XV—XVIII w.“ jakim p. J. Nowicki poprzedził wydane przez się akta, zaznaczone przez nas na czele wśród wskazanych u góry źródeł.

Bogaty też niezmiernie materyał przedstawia nam ów sowity (tom w 2-ch oddz.) snop dokumentów, dotyczących ekonomicznych i prawnych stosunków ludu z dalekiéj przeszłości, jaki pracowicie a sumiennie związał p. Nowicki—najbogatszy ze wszystkiego co dotąd w tym zakresie zgromadzono. Zasługiwał ten materyał, jak wszystkie podobnego rodzaju wydania i prace, na niezwłoczne i w naszém piśmiennictwie sprawozdanie, zasługiwał więcéj nawet nad inne. Było to i potrzebą naszą i obowiązkiem zarazem. Pragnęliśmy też byli dokonać tego w swoim czasie, lecz przeszkody nie od nas zależące powstrzymywały nas już u wstępu i rzecz opóźniły. Obecnie wracamy do przedmiotu—choć już w inny zupełnie sposób, wywołany inną potrzebą. Nie może już nam chodzić o proste sprawozdanie ze wzmiankowanéj pracy tylko: myśmy dziś wzbogaceni sporemi wiązankami innych też z tego pola zasobów.

Rozumiemy tu, również podane u góry, dwa tomy źródeł dziejowych tudzież obfity zbiór, w wierzytelnych kopiach rękopiśmiennych, wykazów poborowych ziem ruskich z wieku XVI-go przeważnie. Teraz więc już iść nam może o wynik ogólny wnioskowań, nasuwających się przy rozważaniu i zestawianiu aktów owych—wszystkich razem. I tego téż właśnie zamierzamy tu dokonać, gromadząc zewsząd w pewną ścisłą całość fakta i rysy mogące nam bardziéj rozjaśnić charakter życia dziejowego ludności rolniczéj ziem ukrainnych aż do wybuchu wojen kozackich.

Szkoda tylko, iż nie możemy przedmiotu tego roztoczyć należycie, ukazać go w obszerniejszym przestworzu i zmuszeni jesteśmy poprzestać na suchém zestawieniu faktów jedynie, powstrzymując się od wszelkiego żywszego—przykładami, obrazami ilustrowania takowych. Nakazuje nam to sama szczupłość miejsca w czasopismie naszém, nie mającém zadania pism specyalnie historycznych.

Przymusowa ta wstrzemięźliwość samochcąc sprowadza nas na tór streszczania i zbitego grupowania danych źródłowych, użyty przez J. Nowickiego w jego „Zarysie", tém nieodzowniéj, że wypadało i nam w naszém obrazowaniu oprzéć się z konieczności na podstawie obowiązującego ustawodawstwa, znane przepisy którego, dla jedności i pełni przedstawienia, trzeba było przypomnieniem w podobnym-że jak tam zakresie unaocznić. Zastąpi to natomiast, przynajmniéj w ten sposób, poniechane sprawozdanie; chociaż, z zasady, należałoby się takowe wszelkim poważniejszym pracom historycznym naszych ukraińskich pobratymów, nie tylko jako piękne za nadobne za ich (Tow. hist. im. Nestora) żywe interesowanie się badaniami naszemi na polu dziejów staréj Rusi, lecz dla treści ich prac, bezpośrednio zwykle nas obchodzących. Tą tylko bowiem drogą umożliwimy sobie pożytkowanie niełatwe ze skarbnicy archiwum kijowskiego, w którém skupiono wszystkie niemal akta ziem ukrainnych.

Wracając do naszego przedmiotu zaznaczymy jeszcze, iż z natury rzeczy rozpada się on na dwa działy, z których 1-szy dotknie stanu ukrainnéj ludności rolniczéj pod zwierzchnictwem Litwy, 2-gi zaś pod bezpośrednią już władzą Polski. Unia lubelska jeśli nie występuje tu jako słup graniczny, lub jakiś wskaźnik rozstajny, po za któryby się, z natury rzeczy, przy grupowaniu faktów, przekraczać nie miało, to przecie najniewątpliwiéj wznosi się ona, w zakresie rozwoju ekonomiczno-społecznego, nad epoką przejściową.

I.

Po rozprzężeniu się ostatecznem staréj Rurykowskiéj ludów rzeszy, południowe ziemie ruskie weszły, w połowie XIV wieku, całkowicie niemal, w skład nowo-powstałego—z dawnych, słowiańskich przeważnie a rozosobnionych w ciągu paru wieków onéj dzielnic—państwa Giedyminowiczów. Zachodni bowiem pas ziem tych jedynie, u wierzchowisk Bugu, Sanu i Dniestru, ku Karpatom, został jako „Ruś“ *per excellentiam*, zespolony w tymże czasie z Polską.

Ziemie ruskie południowe „*ukrainne*,“ wielkiego księstwa litewskiego—posiadające inną wcale przeszłość dziejową od Rusi krywickiéj (która, jak wiadomo, dała z siebie główną podstawę politycznéj i socyalnéj budowy nowéj téj potężnéj rzeszy), a obezwładnione bardziéj od innych dzielnic skutkiem straszliwych zniszczeń mongolskich, i zaledwie poczynające przychodzić do siebie—musiały, stając się dziedziną Giedyminowiczów, poddać się odrazu przewadze gdzieindziéj wyrobionych i obcych jéj właściwie porządków krywicko-litewskich. Nazywamy je „*krywicko-litewskimi*,“ gdyż Litwa, ogarniając zaborczo starą Ruś zachodnią „białą,“ uległa była nawzajem socyalno-cywilizacyjnemu onéj wpływowi. Wiemy zaś, na czém głównie polegały owe porządki, stanowiące szeroko rozwinięty system *feudalny*.

Posiadała jednak Ruś południowa tyle zasobów ze swéj przeszłości i trwałych warunków odrębnego życia, że rozciągnięte nad nią zwierzchnictwo Litwy, nie było zdolne do stworzenia w niéj czegoś nowego i sprowadziło jedynie pewne przeobrażenie dotychczasowych onéj stosunków polityczno-społecznych, o ile to potrzeba przystosowania ich do widoków militarno-ekonomicznych jéj zdobywcy nakazywała. Skutkiem tego sam system feudalny nie był jéj narzuconym właściwie, jak to zwykle mniemano, lecz wytworzonym przeważnie z jéj własnych pierwiastków, przyjmując tu z konieczności charakter nieco odmienny od ogólnéj normy litewskiéj. Wprawdzie nie uwzględniano tego dotąd należycie, nie uwydatniano dostatecznie znaczącéj różnicy pomiędzy Rusią południową a krywicką, tak w dobie Rurykowiczów jak i Giedyminowiczów (jagiellońskiéj) tém bardziéj; ale nie mniéj przeto sam fakt téj różnicy jest zanadto widocznym i wymaga pilnego baczenia. A jeśli nawet wymaga onego w mniejszym stopniu niż ściśle już przeprowadzane wyróżnianie istoty saméj społecznego nawet charakteru staréj Rusi, co była przeważnie słowiańską, od Rusi nowéj — na Czudach: w zasadzie jednak owo baczenie i wyróżnianie pilne jest podobnież dla historyi niezbędném.

Mimo to wszystko atoli, ponieważ Ruś południowa ukraińska wszedłszy integralnie w skład w. ks. litewskiego uległa z biegiem czasu i onego ogólnym prawom obowiązującym, jego statutowemu prawodawstwu, a nadto posiadała z dawnych wieków wiele z Rusią krywicką wspólnego—przy określeniu tedy społecznych jéj stosunków, w ciągu całéj epoki jedności jéj politycznéj z Litwą, nieunikniona staje się potrzeba odwoływania się, ilekroć źródła bezpośrednie niewystarczającemi się okażą do zwyczajów i *porządków* księstw litewskich.

Jaki właściwie zastała Litwa *stan społeczny* na podbitéj przez się i uwolnionéj od baskaków i atamanów mongolskich Rusi południowéj — nie podobna tego w szczegółach ściśléj oznaczyć. Wogóle wszakże, o ile z ocalałych dokumentów bliskich téj epoce sądzić miałoby się prawo, widać: iż społeczeństwo i wtedy rozpadało się na ludzi wolnych i niewolnych; warstwa pozbawionych całkowicie wszelkich praw niewolników była mniéj pewnie liczną, ludzie zaś wolni stanowili kilka klas odrębnych, stojących na wielce różnych szczeblach drabiny społecznéj, począwszy od siedzącego na cudzéj ziemi włościanina a kończąc na księciu udzielnym; stosunki klas stykających się wzajem, podobne do siebie względnie, nosić musiały na sobie do pewnego stopnia charakter feudalny.

Że *feudalizm litewski* nie był koniecznie prostém, potrzebami militarno-ekonomicznemi wywołaném, naśladownictwem wzorów zachodnich, giermańskich, lecz mógł powstać bardziéj samoistnie w łonie Litwy—o tém wiemy wszyscy należycie. Ale że i na Rusi południowéj zastali Giedyminowicze zarody onego, już z dawnych czasów istniejące—to bardziéj uderza. Wszakże fakt sam jest niewątpliwym. Ślady feudalizmu spotykamy nawet na Rusi czerwonéj już w w. XIV-tym (p. Szaraniewicza „Rys wewnętrznych stosunków Galicyi wschodniéj w drugiéj połowie XV-go wieku“) w owéj dzielnicy, gdzie przeważał wpływ polski, stanowczo onemu przeciwny. Samą zaś genezę faktu tłómaczy kierunek poprzedniego rozwoju polityczno-społecznego Rurykowskiéj rzeszy. Oto—z biegiem czasu ustalenie dzielnic w ręku pewnych gałęzi panującego rodu, obudzało łatwo zrozumiałą (jak utrzymują nowsi badacze ukraińscy) dążność wśród książąt nadawania podobnież terytoryalnego charakteru drużynom własnym, zostającym dotąd jakby na służbie osobistéj jedynie. Za główny środek dla dopięcia tego posłużyła, przy końcu epoki udziałów, zamiana stopniowa dawanéj *drużynnikom* w nagrodę płacy na *posiadłość ziemską*. Tém zaś łatwiéj, iż książęta uważali się w prawie rozdawania takowéj, bez różnicy, czy ją stanowiły ziemie puste lub téż takie, co to już weszły były w obwód pewnéj gminy—

w jakim to razie książę ustępował właściwie już nie ziemię samę, lecz prawo swe do danin i posług ze strony użytkującéj z niéj ludności. Powszechny zaś zwrot podobny w dzielnicach staréj ruskiéj rzeszy stwierdza także istnienie onego zarówno i w dalekiéj Rusi na Czudach, w któréj następnie wzniósł się cały osobny systemat „pomiestny,“ tyle z feudalnym mający wspólnego.

Zupełne atoli *rozwinięcie* systemu feudalnego na Rusi południowéj, ukrainnéj, było *dziełem* Litwy. Zanadto przecie znanemi są powszechnie kardynalne podstawy onego, ażebyśmy mieli tu potrzebę roztaczania w szczegółach: dość przypomnieć, iż co do posiadłości ziemskiéj—na jednéj i tejże saméj ziemi spoczywało zwykle prawo całéj hierarchii osób i każda z nich trzymała ją niejako jedna nad drugą. System zaś ten panował w całéj rozciągłości, niezachwiany prawie co do głównych zasad przynajmniéj, aż do początku wieku XVI, w którym to czasie przybrał nieco zmienioną postać w spisaném właśnie po raz pierwszy prawodawstwie statutowém.

Pod wpływem tego systematu, w epoce przewagi onego, *stosunki klas społecznych* wzajemnie były określonymi ściśle, większość ludności rolniczéj zachowywała wolność osobistą, ulegała ogólnemu sądownictwu lub cieszyła się sądem gminnym, dźwigała ciężar opodatkowania na rzecz państwa i nie była pozbawioną prawa posiadłości ziemskiéj—jednostajnie zresztą warunkowego dla niéj jak i dla klas społecznych wyżéj stojących.

Lecz, bądź-co-bądź, w podstawie litewskiego systematu polityczno-społecznego spoczywały *podbój i niewola* i wznosił się on, jak na martwéj podwalinie, na grubéj warstwie czeladzi niewolnéj.

Zaznaczamy zapatrywanie się to *nasze* zgóry, ponieważ od takowego zależy właściwie cały następny pogląd na proces dziejowy rozwoju socyalnego ziem ruskich wielkiego księztwa. Zaznaczamy je z tém większym przyciskiem, ile że tu różnimy się zasadniczo z przeważającém dotąd mniemaniem, ku któremu i najnowszy badacz stosunków włościańskich na Rusi stanowczo się przychyla. Z tém większym przyciskiem, ile że nie podzielamy wcale wyobrażeń tych z dziejopisarzy i badaczy, którzy, w istocie rzeczy, nie wypowiadając tego, zdają się wierzyć, jak znany Zoryan Chodakowski, iż w upowiciu pogaństwa i barbarzyństwa, społeczeństwo cieszyło się nieskończenie większą swobodą, niż od czasu gdy je poczęło opromieniać światło chrystyanizmu i cywilizacyi. Pomijam stosowanie z rozmysłem podobnego pryzmatu w zapatrywaniu się na nasze własne dzieje i na zgubny niby jedynie wpływ kultury zachodniéj wogóle na wschodnie dzielnice. Na stronę więc *pesymizmu* historycznego nie

piszemy się i dlatego jeszcze, że same fakta przeciw niemu mówią— przemawia przeciw cała ich zawisłość wzajem logiczna.

Otóż podwaliną rusko-litewskiego porządku feudalnego Giedyminowiczów było *niewolnictwo.* Klasa niewolna czeladzi, rabów i innych nazw, nie mogła być „bardzo nieliczną“ jedynie, jak to w świadomym celu i nieświadomie pewni badacze utrzymywać zwykli. Zgoda, nie przeważała ona liczebnie klas wolnych, ale trudno nie widzieć tego, jak wszystko się składało, by klasę tę, przedwiecznie w każdém społeczeństwie na pół barbarzyńskiém istniejącą, nieustannie podsycać i zasilać. Przypomnijmy sobie choćby owe nieustanne po całéj Litwie i Rusi wojny, nie tylko zewnętrzne lecz bardziéj wewnętrzne, pomiędzy książętami i książątkami niezliczonemi, a każda taka wojna, taka zwada obracała jeńców w niewolników strony zwycięskiéj. Spustoszenia kraju i częste nieurodzaje przy doraźnéj tylko gospodarce, sprowadzają téż głód a głód wiedzie „zastawniów“ równie do niewoli. Dłużnika i przestępcę nie mogącego się opłacić, sąd znów skazuje na niewolę. Urodzony w niewoli „ojczyc“ długo zostaje w tłumnym zastępie czeladzi dwornéj, nim go wznoszące się rolnictwo na osadnika wyzwoli. Niewolę owę mógł *łagodzić* miękki obyczaj narodu, ale nie mniéj była to niewola szeroce rozpostarta. I cóż-by jéj wtedy przeciwdziałało? — zasady jakie społeczne czy polityczne?

Zwróćmy się przecie ku klasom wolnym.

Co do *posiadania ziemi* przez wiejską ludność rolniczą, trzeba — potwierdzając wskazówki wydawców „Archiwu“ komisyi kijowskiéj— zaznaczyć z góry, że nie tylko nie znajduje się jakichś szczególnych ograniczeń odnośnie do praw posiadłości ziemskiéj ludu, lecz prędzéj ma się zasadę do wniosku, że prawa te niczém się nie różniły od praw podobnych, jakich wyższe klasy używały. Oczywiście rozumieć tu należy *wolną* ludność wiejską jedynie, żadną miarą zaś „czeladź“ niewolną lub „zakupniów.“ Wiejscy ci mieszkańcy zwani byli w owéj epoce najczęściéj „*ludźmi*“ po prostu, niezależnie od wielu różnorodnych nazw szczególnych, opartych na ich obowiązkach i powinnościach specyalnych, na stosunkach ekonomicznych do właściciela ziemi i t. p. Dzielili się oni na *dwie* główne grupy: włościan na ziemiach książęcych i posiadaczów prywatnych. Względem tych ostatnich źródła, z żalem wyznajemy, są najbardziéj ubogie i o warunkach ich położenia można wnioskować przedewszystkiém na podstawie tylko owéj tożsamości, jaka dostrzegać się daje w urządzeniu dóbr książęcych i prywatnych nieco późniéj, oraz z samego braku jakichkolwiek ustanowień szczególnych dla prywatnych posiadłości. Książęta nadawali je z temi samemi prawami i na tych-że zasadach,

na jakich sami niemi władali; stan zaś ziemiański, szlachecki, jeszcze się był nie uorganizował i nie spotężniał na tyle, aby przyjąć na siebie początkowanie w przeobrażeniu stosunków społeczno-ekonomicznych, jak tego właśnie dokonał potém w połowie XVI wieku. Z drugiéj znów strony, istnieją nadto wskazówki bezpośrednie tego, iż po za obrębem posiadłości ziemskiéj w zakresie innych praw cywilnych nie robiono wogóle żadnéj różnicy pomiędzy włościanami na ziemiach hospodarskich i bojarskimi.

Siedzący na ziemiach książęcych, tak zwani „*ludi hospodarskije*“ „wołostnyje“ lub „tjahłyje,“ nieodróżniani czasem od „sług“ książęcych, jak np. „putniki,“ późniéj „putnyje bojare“ trzymali posiadłość ziemską nie mniéj pod obowiązkiem służby pewnéj. Tak putnicy dawali podwodę, konie pod gońców książęcych, ludzie zaś „pryhonnyje“ obowiązani byli do robocizny na rzecz księcia. Lecz obok tego używali oni prawa odstępowania swych ziem, z warunkiem jedynie, aby nowy posiadacz odbywał téż samę, ciężącą na odnowionym gruncie powinność putną czy pryhonną. Zarówno mogli oni nabywać ziemię u bojarów i mieszczan. Alienacya ziemi przez putników osobom obcym odbywała się na tych-że zasadach jak i u bojarów t. j. za zezwoleniem książęcia lub jego namiestnika i przy zachowaniu tego warunku uznawaną była przez władzę zwierzchniczą za prawną zupełnie.

Podobnież *włościanie* siedzący na ziemiach osób *prywatnych* mieli prawo alienacyi ziemi, za zgodą właściciela i przy przelewie powinności. Siedzący zaś na ziemiach *miejskich* mieli też same prawa jak i mieszczanie co dotyczy posiadłości i sądu. Służyło włościanom nadto prawo posiadania zależnych od nich samych pod względem ekonomicznym ludzi.

Wobec czego, mówiąc o *epoce przed-statutowéj* wogóle, należy zaznaczyć: że posiadłość ziemska wtedy, będąc zawsze warunkową dla wszystkich osób prywatnych bez wyjątku, nie stanowiła zarazem dla nikogo wyłącznego przywileju; że wszystkie klasy społeczne wolne, a więc i najliczniejsza z nich, włościanie, używały pod tym względem praw jednostajnych; że wszystkie ziemie nakoniec, na zasadzie przyznania nad niemi władzy zwierzchniczéj wielkiego księcia, były obciążone na rzecz jego powinnościami, różnorodność postaci których poprowadziła do ścisłego odznaczenia przedziałów społecznych dopiéro późniéj.

Jednę tu przy sposobności winniśmy zrobić uwagę, mianowicie, że wydawcy archiwu komisyi kijowskiéj nie dość ściśle wyróżniają nazwy *własność i posiadłość*, często bardzo używając pierwszéj za drugą, co przedewszystkiém odnośnie do układu feudalnego jest rażącym błędem.

Co się tyczy *sądownictwa*, takowe w XIV i XV wieku przedstawia się bardzo nieokreślonėm, gdy niejednokrotnie mieszkańcy rozmaitych miejscowości, znajdujący się w jednostajnych warunkach pod każdym innym względem, różnią się w zakresie podsądności. Pojmowane ono było w owéj epoce wcale nie jako funkcya państwowa, lecz przeważnie jako regalia w znaczeniu finansowém, która, przez to samo, mogła podlegać nadaniu i innego rodzaju alienacyi; najczęściéj zaś oddawaną była jako jedna z przynależytości prawa posiadania ziemi lub téż mówiąc ściśléj, jako część prawa ogólnego do ciągnięcia dochodów z ludności rolniczéj. Zmiany w prawie sądowniczém zaczęły się wogóle daleko wcześniéj, aniżeli w prawach posiadania ziemi, tak że już w XIV—XV wieku dają się spostrzegać tu odstąpienia od ogólnego dla całéj ludności sądu, oparte na różnicach klas społecznych, a wynikłe pod wpływem bliższego zetknięcia się z Polską. Pomnażające się coraz bardziéj z biegiem czasu przywileje otrzymywane przez warstwy wyższe miały w nieuniknionėm następstwie i ograniczenie samorządności ludu wiejskiego, o ile trzymane przezeń ziemie przechodziły w posiadanie bojarów. Pod tym względem szczególnie ważne znaczenie posiada przywilej Kazimierza Jagiellończyka, r. 1457 całéj litewsko-ruskiéj szlachcie nadany, mocą którego ludność dóbr ziemiańskich uwolnioną została z pod „przysądu“ urzędników książęcych—co było pierwszym przepisem ogólnym, prowadzącym do wybitniejszego przedziału między stanami włościańskim i szlacheckim. Było to wszakże ustępstwo nie bezwarunkowe jeszcze. Dopiero po dziesięciu latach w ustawie sądowéj (sudebniku cz. statucie) r. 1468 występuje stanowcze bardziéj rozgraniczenie sądu stosownie do tego, czy oskarżony należy do ludzi książęcych lub bojarskich—wobec czego, w razie ostatnim służy panu w charakterze „dzieckiego“ nie tylko prawo stawienia winowajcy przed sądem, lecz i wydania samego wyroku. Lecz ostateczne ustanowienie przysądu pańskiego, nie w znaczeniu przywileju jedynie; lecz jako nienaruszonéj przynależności posiadania ziemi przypada na sam początek XVI wieku. Ustawę, na mocy któréj całkowita władza sądownicza nad poddanymi przyznaną została ich panom, otrzymała ziemia Wołyńska r. 1501, Kijowska zaś 1529.

Stopniowo tedy, razem z faktycznėm posiadaniem ziemi, wymykała się w XV—XVI wieku z rąk władzy najwyższéj i sądownictwa, przechodząc na rzecz téj klasy, któréj się dostała już tymczasem i większa część ziem przedtém książęcych. Przejście władzy sądowéj zdołało odbyć się nawet śpieszniéj, niż przetworzenie się własności ziemi na przywilej stanowy. *Sądownictwo*, wspólne pierwéj dla całéj ludności, rozszczepiło się i przybrało *cztery* główne postacie.

Ziemianie zostali poddani wyłącznie sądowi bezpośredniemu panującego. Mieszczanie otrzymali swój własny sąd uprzywilejowany. Dawny zaś sąd ogólny, książęcy, odbywany przez naznaczonych ze strony władzy najwyższéj urzędników, utrzymał się jeszcze w granicach nierozdanych ziem hospodarskich, mając poddanymi sobie włościan tudzież owe pośrednie między głównemi klasami warstwy ludności, które jak sługi putne i i drobni bojarowie, wznosili się po nad masą ogólną, lecz nie mogli przystać ani do mieszczan ani do potężniejącéj klasy ziemian. Nakoniec włościanie, siedzący na ziemiach osób prywatnych, zbliżyli się powoli do utraty wszelkiego ubezpieczenia ze strony prawa, poddawani coraz bardziéj samowoli, chociaż nie sformułowanéj jeszcze właścicieli ziemi.

Istniała niewątpliwie jeszcze jedna nadto forma sądowa, najbardziéj starożytna, lecz nieokreślona dotąd żadném prawem pisaném, a nawet nie mająca prawie miejsca w znanych pomnikach XIV—XV wieku, mianowicie władza sądownicza gminy (*kopa*), która była wielokrotnie nadużywaną, wytrzymała następnie z nadzwyczajną siłą żywotną surowe prześladowania i doniosła niejednę pozostałość swych zapatrywań się do czasów najpóźniejszych. Jednakże niemożliwém jest wcale oznaczenie jéj roli dla scharakteryzowania włościan jako stanu, w owéj epoce, gdy sam podział klas społecznych na Rusi litewskiéj wogóle tylko co się wytwarzał i nie zdołał jeszcze otrzymać form ściśle określonych.

Co do *powinności*—takowe, w znaczeniu ciężarów publicznych, nie stanowił podług wyraźnych wskazówek w pomnikach XIV—XV wieku, pierwotnie obowiązku jednéj jakiéj klasy ludności, lecz w jednakowym stopniu dotykały wszystkich, stosownie do zamożności i zatrudnień ekonomicznych każdego zosobna. Wogóle, na ile można systematyzować fakty rozwijającego się wyłącznie drogą praktyczną życia — jedną z podstaw zasadniczych litewsko-ruskiego prawa było oparcie wszelkiego rodzaju powinności nie na osobie lecz na ziemi. W następstwie czego, do jednéj i tejże saméj osoby mogły należéć ziemie rozmaitych rodzajów, tak wolne od ciężarów, jako też i podległe onym; z drugiéj zaś strony, ziemie, obciążane pewną powinnością, mogły należéć do osób różnych stanów, tak że osoby te odbywały takową nie według swego osobiście społecznego stanowiska, lecz stosownie do rodzaju należącej do nich posiadłości.

Przy znanym zwrocie wewnętrznego rozwoju wielkiego księstwa, począwszy od pierwszego zetknięcia się z Polską, było bardzo naturalném, iż ta klasa ludności, w ręce o któréj krok po kroku przechodziła główna masa własności ziemskiéj dążyła do ostatecznego uwolnienia

onéj od wszelkich opłat na rzecz skarbu. Lecz odnośnie do *włościan* siedzących na ziemiach *szlachty*, przywileje i wolności przez nią otrzymywane miały jedynie takie tylko znaczenie, że pobieranie uchylanych niby opłat, w istocie saméj było jedynie przeniesieniem prawa do nich z państwa na szlachtę, stawiącém zarazem włościanina w tém większą zależność od téj ostatniéj. Przyczém nadto odkrywało się pole dla dowolnego pomnażania opłat, nie regulowanych już przez prawodawstwo ogólne.

Przejście prawa nakładania powinności w ręce szlachty dokonaném zostało ostatecznie dopiéro w XVI wieku, wcześniéj zaś dostrzegać się daje jedynie ruch stopniowy w tym kierunku, tak iż stan włościan w epoce przedstatutowéj jest oczywiście przechodnim, nie zupełnie bowiem jeszcze stracili oni prawo władania ziemią, uważani byli za obywateli państwa pobierającego od nich opłaty, i jedynie częściowo tylko stracili prawo swoje do ogólnego sądownictwa.

W ogóle w epoce do wydania statutu nie znajdujemy jeszcze ani ściśle określonych zamkniętych w sobie klas społecznych, ani owéj niwelacyi de jure, jaka się dostrzegać daje w łonie każdéj z nich w czasie późniejszym. Kniazie, panowie, ziemianie, bojary—na tyle jeszcze *nie* uważani byli za równych między sobą, że ci ostatni, przy urządzaniu ostateczném stosunków społecznych w wielkiem księztwie, mogli jednostajnie ocucać się i ocucali się istotnie, na obydwóch krańcowych szczeblach hierarchii społecznéj. Różnorodna zawisłość, co do stanu zwierzchnich posiadaczy ziem, na których siedzieli włościanie, nie określała do tyla wybitnie praw stanu tych ostatnich żeby oni się nie łączyli tak między sobą wzajem, jako téż z klasą miejską naprzykład. Wszędy, do ostatnich nawet lat XV wieku, dają się dostrzegać jeszcze chociaż słabe ślady tego udzielno-wiecowego porządku kiedy zjawiają się pierwsze zaledwie zarody klas społecznych, a cała ludność przedstawia jednostajną prawie masę, warstwy któréj różniły się jedna od drugiéj—godnością, lecz nie prawami; kiedy różnica podług zajęć nie istniała wcale—i od kniazia do ostatniego wolnego człowieka każdy mógł się oddawać wojskowości, mieć posiadłość ziemską trudnić się handlem lub przemysłem itd.

Dwa wieki wspólnego z Litwą bytu historycznego Rusi oddziałały w ostatecznym wyniku na zmianę zasadniczą podobnych warunków życia, potężniejący zaś wpływ Polski i raz nadany przezeń kierunek prowadziły niepowstrzymanie do ich zupełnéj z czasem *negacyi* i zniweczenia. Reformy prawodawcze epoki Zygmuntów, jakie się wyraziły w ich statutach a po części zaczęte już zostały przy Ale-

ksandrze, stanowią w taki sposób—nie samo sformułowanie wytworzonych faktycznie stosunków społecznych, nie kodyfikacyę prawa zwyczajowego, lecz przeciwnie—widzić w nich należy jedynie oddzielne fazy tego przeobrażenia, jakiemu poddane zostały ostatnie zabytki przeszłości, a zarazem usiłowanie oparcia i urządzenia dalszego życia historycznego na nowych pierwiastkach.

Taką oto była przeważająca *norma zmian* w społecznym i ekon. stanie ludu wiejskiego na podległéj litewskiemu panowaniu Rusi w epoce przedstatutowéj. Bez względu na to wszystko jednak, mimo rozsrażających się, osobliwie od czasu upadku Carogrodu, najazdów tatarskich, w ziemiach ukrainnych—przy znanych ponętach bajecznéj żyzności ziemi i długoletniéj woli, jak nie mniéj pod osłoną posuwającéj się ciągle obronnéj linii kresowéj—pustynie się *zaludniają*, *osadnictwo* wzrasta.

Za zbyteczne przecie uważamy powtarzanie—cośmy pod tym względem powiedzieli już poprzednio w tém piśmie, w dwóch hist. ustępach—pod tyt. Podole u schyłku wieku XV (Aten. 1880 zesz. 6, 7 i 8) oraz „Kresy ukrainne po licholeciu do ruiny“ (Aten. 1877 zesz. 5). Do nich więc odsyłamy czytelnika, przechodząc natomiast do ustawodawstwa statutowego.

Pierwszy statut litewski, wydany przez Zygmunta I w r. 1524, zaokrąglił w system i zformułował powstały w epoce poprzedniéj porządek feudalny, przedewszystkiem odnośnie do klas wyższych; lecz jednocześnie przeprowadził już dość wybitny przedział pomiędzy niemi i klasami nieuprzywilejowanemi, ktory się uwydatnił ostatecznie przez prawodawstwo późniejszego czasu w ciągu następnego jéj piędziesięciolecia.

Znanemi są dobrze podstawy, na których się wznosił porządek feudalny wiążący klasy wyższe. Co do stanu rolniczego, *włościańskiego*, należy tu począć od uwagi, że chociaż już została przeprowadzona linia demarkacyjna pomiędzy szlachtą i resztą ludności. t. j. ludźmi prostymi w ogóle, których hospodar zobowiązywał się nie podwyższać nad szlachtę, i chociaż „chłop“ był przeciwstawionym szlachcicowi, zupełnego ujednostajnienia nie znajdujemy jeszcze i tutaj. Statut przyznaje rozmaite stopnie zależności rolnika i robotnika w ogóle od drugiéj osoby prywatnéj: naprzód niewolnictwo, potém zakupnictwo lub czasową niewolę ojczystych tj. przytwierdzonych do ziemi ludzi, i nakoniec ludzi „pochożych“ cieszących się prawem wolnego przechodu.

Niewola zupełna, ulegająca w XVI wieku ograniczeniom stopniowym, istniała oddawna. Niewolnicy - nazywani *chołopami*, czeladzią, czeladzią nie wolną czyli dworną, parobkami—podług statutu

mogli zostawać takowymi z następnych przyczyn; jako jeńcy wojenni, jako urodzeni z niewolników, wydani przez sąd powodowi za przestępstwo, i nareszcie łączący się małżeństwem świadomie z osobą znajdującą się w niewoli. Pierwszy statut już nieco ogranicza szerzenie niewoli: tak naprz. stanowi iż ludzie wydani nie powinni zostawać w niewoli wiekuiście, lecz dotąd jedynie, póki nie odrobią sumy, za jaką zostali wydani; wzbrania też sprzedaż do niewoli włościanina, oraz samego siebie i własne dzieci w czasie głodu; w obydwóch tych razach określa nawet taksę rocznego odrobku. Wzbroniono tam żydom i tatarom mieć w niewoli chrześcian, którzy obowiązani byli odsługiwać im za swe uwolnienie siedm lat tylko. Postanowiono podobnież, że niewolnicy, wygnani przez swego pana w czasie głodu, (zdarzającego się wtedy dosyć często), stają się wolnymi. Lecz jednocześnie, prawo ubezpiecza tam posiadanie niewolników groząą kar względem tych osób, które by okazywały pomoc zbiegłym, przetrzymywały ich u siebie, lub same ich przyswoiły; kary zaś te odznaczały się surowością, za przyswojenie czeladzi była ustanowioną kara jak w ogóle za złodziejstwo, tj. kara śmierci. Sami zaś niewolnicy, jako ludzie nie posiadający praw, za nieznaczną kradzież raz pierwszy podlegali tylko karze cielesnéj. Posiadali oni jednak własność ruchomą, a niektórzy z nich mieli nawet osobne mieszkania i trzymali działki ziemi. Z tego téż powodu Statut zalicza ich nie do majątku ruchomego właściciela, lecz uważa za przynależność samego majątku, razem z narzędziami gospodarczemi i inwentarzem. Utrzymanie mieli niewolnicy albo z wydzielonych im gruntów, albo téż szczególnie w dobrach królewskich—otrzymywali takowe w ordynaryi. Sąd nad nimi należał do ich panów; lecz Statut nie udziela wskazówek, czy dopuszczani oni byli jako świadkowie, kiedy trzeba było „prowadzić sok,“ śledztwo za pośrednictwem „kopy“, jak to dawniejszych czasów bywało. Istnieją ślady, iż dopuszczanymi byli do tego „parobki“, na równi z „ludzmi“ a którzy nadto miewali własność ruchomą: jakie-to prawa parobków, nie stosowane nigdzie do „czeladzi“, „chołopów,“ „robów“, upoważniają poniekąd do przypuszczenia, że nazwa ta nie oznaczala ludzi obracanych osobiście na niewolników, lecz jedynie blizkich do nich przez swój stan, najprawdopodobniéj potomków „robów“—zkąd miano „parobcy“. W tym zaś razie można by było widziéć w nich pośrednie ogniwo pomiędzy niewolnikami w ścisłém znaczeniu i „ojczycami,“ przytwierdzonymi do roli z którymi oni téż zleli się w następstwie.

Drugą klasę ludzi zależnych, blizką bardzo do niewolników, która téż stala się źródlem obfitem pomnożenia liczby włościan, przedstawiali „*zakubnie*“ czyli „zakładnie“ tj. ludzie wstępujący

w czasową niewolę dla spłacenia długu. Niewątpliwie w owéj epoce niepokojów, braku porządnie uorganizowanéj władzy i panowania prawa przemocy, liczba osób, stających się zakładnikami głównie w celu zapewnienia sobie obrony i opieki, była bardzo znaczną. Podług prawa uważani oni byli za wolnych osobicie; lecz rzeczywiście, znajdowali się w zależności bardzo surowéj, podlegając nawet sądowi swoich wierzycieli. Statut w ogóle mówi o zakupniach bardzo mało, z tego powodu oczywiście, iż warunki zakupnictwa stanowione były w każdym oddzielnym przypadku przez wzajemną umowę: przeto określa on wysokość odrobku rocznego jedynie na przypadek braku umowy—przy czem zasługuje tu na uwagę, iż roczny odrobek zakupnia oznaczony daleko niżéj od odrobku człowieka wydanego w niewolę. W zakup oddawane były także ziemie same; ztąd było zabronioném zakupywać ziemię włościanina prywatnego bez pozwolenia jego pana, podobnież jak zakupywać cudzych ludzi.

Włościanie, siedzący na ziemiach królewskich lub w dobrach prywatnych, noszą w Statucie po części dawną nazwę „*ludzi*“, częścią zaś zwani są „poddanymi“, „mużykami“, „sielanami.“ Obok tego nie są tam wyróżniani prawie tak zwani „ojczyce“ od ludzi wolnych czyli „pochożych“: prawo mówi po większéj części o czyichś ludziach lub poddanych w ogóle jedynie. Chociaż i w rzeczywistości nawet różnica pomiędzy jednym a drugim działem włościan była bardzo nieznacząca: zawierała się ona niemal wyłącznie w prawie przenoszenia się. Człowiek „wolny,“ odsłużywszy swemu panu (posiadaczowi ziemi) tyleż czasu ile przesiedział na woli, albo wypłaciwszy mu po 6 groszy za każdy nieodrobiony tydzień, miał prawo przejścia do innego majątku; gdy „ojczyc“ w żadnym razie nie mógł prawa tego otrzymać. Niektórzy wydzielają „danników“ jako osobny rodzaj włościan; lecz bodaj czy to słuszne. Rozmaite nazwy włościan w aktach XV-XVI wieku mają podwójny charakter: jedne określają stopień posiadanego przez nich prawa, jak np. czeladź niewolna, zakładnie, ojczyce, ludzie pochoży; inne zaś wskazują tylko rodzaj i postać powinności, odbywanych przez nich na rzecz pana. Ostatnie te nazwy były wyróżniane stosownie do tego, czy zależała powinność na opłacie pieniędzmi, na daninie w miodzie lub zbożu, albo téż na pełnieniu pewnego rodzaju służby szczególnéj: Ztąd nazwy: serebrenicy, kunicznicy, czarnokuńce, dannicy, bartnicy, rybołowy, strzelce, putnicy, osocznicy, koniuchy, koniokarmce, bobrownicy, gajownicy, różnego rodzaju rzemieślnicy i t. p. Dobitniéj jeszcze potwierdza to okoliczność, że dannicy, po większéj części wspominani jako ojczyce, czasem wyraźnie zwani są wolnymi, czasem zaś niewolnikami. Włościanie obowiązani do *pańszczyzny* nazy-

wają się przeważniéj ludźmi „ciągłymi“ (*tjahłyi*) lub „przygannymi,“ niekiedy „sielskimi putnikami.“ W innych względach Statut niczem nie wyróżnia ludzi pochożych od ojczyców, w części zapewne z téj saméj przyczyny, z jakiéj jest on bardzo skąpym na wskazówki dotyczące zakupniów tj. skutkiem istnienia i w tym razie podobnież zobopólnéj umowy. Ludzie osiadający *na woli* starali się osiadać przedewszystkiem na warunkach opłaty daniny *pieniężnéj*, zkąd stosunki ich z właścicielem ziemi były daleko mniéj skomplikowane.

Prawa włościan do znajdujących się w ich posiadaniu *gruntów* były, jeśli nie mocą wyraźnych przepisów, to ze zwyczaju mniéj lub więcéj zabezpieczone i trwałe. Statut nawet przewiduje okoliczność odstąpienia przez włościan drzew bartnych nie tylko swym sąsiadom tejże wsi, lecz nawet mieszkańcom wsi innéj i innego majątku, sposobem sprzedaży lub oddania w posagu: a okoliczność ta, widać, wcale nie jest rzadką. Pogląd zaś podobny na prawo zwyczajowe włościan do swych „*ojczyzn*“ przechowywał się do bardzo późnego czasu, i nietylko między włościanami lecz i wśród ich panów. Oznaczeniu kar za obrazę prawa posiadania ziemi między włościanami poświęcono kilka wskazówek Statutu, obok czego—kary pieniężne w ogóle są tu mniejsze, aniżeli za podobneż wykroczenia między szlachtą.

We względzie *powinności* Statut uwalnia włościan dóbr prywatnych od wszelkich podatków, danin, obowiązku wożenia kamieni, drzewa, drew, koszenia siana i innych robót, oprócz utrzymywania w dobrym stanie dróg, mostów i zamków. W taki sposób prawo do powinności całkowicie przeszło już w ręce szlachty, stało się zależném w części od zwyczaju, a jeszcze więcéj od dowolności. Dla tego to więc w Statucie nie znajdujemy żadnych oznaczeń opłat jakichś ze strony włościan, lub odbywanych przez nich rzeczywiście robót; ostatnie nawet wcale nie są wspominane: w dwóch art. jedynie jest mowa o czynszach lub daninach miodowych i pieniężnych, serebszczyznach, a nadto—jako o głównych źródłach dochodu z majątku.

Sądownictwo nad włościanami przeszło w ręce szlachty jeszcze przed wydaniem Statutu. Statut jedynie wskazuje bardziéj wyraźne wypadki, kiedy włościanie mogą być pozywani przed sąd ogólny, urząd; a mianowicie: jeśli pan odmówił dopełnienia egzekucyi na obwinionym włościaninie na dwakroć powtarzaną o tém prożbę. Sprawy o nadwerężenie własności ziemskiéj winny były być nadto przedstawiane bezpośrednio samemu panu; a nawet przy oskarżeniu o kradzież, popieraném wyraźnymi poszlakami, obwiniony włościanin niebył stawionym przed sąd lecz przed pana własnego. Grabież, w znaczeniu samowolnego wynagradzania sobie za straty lub egzekucyi długu, była względem włościan stanowczo-wzbronioną, nietylko mie-

szczanom lecz i szlachcie. Pan sądził włościanina nawet i w sprawie własnéj. „Winy“ zaś pieniężne w sprawach kryminalnych i „peresudy“ w prywatnych należały doń i wtedy, jeśli skutkiem jego usunięcia się, włościanin był sądzonym przez urząd. W taki sposób, samowoli pana który występował jednocześnie i jako zainteresowana w sprawie strona, i jako sędzia, i jako przedstawiciel władzy wykonawczéj, rozwierały się szranki nieograniczone, a włościanin pozbawiony wszelkiéj rękojmi i opieki prawa, zbliżał się przez to samo do stanu niewolnika – chociaż klasy te były wyróżniane jeszcze przez prawodawstwo.

Istotna *różnica* pod względem sądu polegała na tem, iż włościanin nie był pozbawionym prawa stawania za świadka, a nawet brania czynnego udziału przy roztrząsaniu pewnego rodzaju spraw, które to uczestnictwo, na mocy zwyczaju, okazywało się nieraz dość znacznėm i przechodziło zakres, wskazany przez prawo pisane. Włościanie stawali jako świadkowie głównie w dwóch przypadkach: jeśli na czyj dom dokonanym został najazd połączony z grabieżą, wtedy w braku widomych poszlak, fakt przemocy stwierdzał przysięgą sam powód, wysokość zaś strat stwierdzali włościanie; powtóre, świadectwo ich miało ważne i wielce uzasadnione znaczenie w sporach o granice posiadłości—w takich sprawach zeznania włościan sąsiadów ważyły więcéj niż świadectwa daléj mieszkającéj szlachty.

Co się tyczy samoistnego uczestnictwa w roztrząsaniu spraw, to jest tak zwanych *kopnych sądów*, mówi o nich Statut bardzo niewiele. Pod wyrazem „kopa“ rozumie on w ogóle takiego rodzaju śledztwo, które wymaga obecności sędziów na miejscu spornem, bez różnicy, czy będzie ono prowadzonem przez okolicznych ludzi czy przez sędziów urzędowych. Oprócz sporów granicznych, do kopy, podług Statutu, należą sprawy o wypasach i porębach, jako-téż grabieniu rąbiących samowolnie w puszczach. Śledztwa zaś z powodu kradzieży—które należały także do kop, często nawet razem z sądem—oznacza Statut terminami: „sok prowadzić,“ „gnać ślad“ i t. p.

Statut drugi Zygm. Augusta 1566 roku, nie tylko wprowadził większą ścisłość w określeniach przepisów prawa, nie tylko uregulował jurydycznie normy stosunków w wielu razach, przez Statut pierwszy nieprzewidzianych; lecz jednocześnie ogarnął wszelakie zmiany zaszłe w samym ustroju państwowym. Zmiany—co rozwijały się z niezwykłą szybkością w owéj epoce pod wpływem bardziéj ścisłego zbliżenia się z Polską, pod wpływem pojęć onéj o równouprawnieniu — chociaż w istocie rzeczy fikcyjnėm—całéj szlachty między sobą, oraz o jéj pierwszorzędnéj roli w państwie, w obec któ-

réj bladła stopniowo i przygasała władza monarchiczna wielkiego księcia litewskiego z jego „panami radami.“

Szlachta teraz przywłaszczając sobie z jednéj strony prawa władzy najwyższéj, starała się z drugiéj odosobnić się ile można wyraźniéj i bardziéj stanowczo od reszty klas, ile można zupełniéj uzależnić je od siebie. Prawa reszty ludności przyznane tu i ubezpieczone jedynie na tyle, żeby naprzód, jakby się zdawało, nie wywołać może przełomem niespodzianym jakiego wstrząśnienia powszechnego, a potem—na ile wymagały tego potrzeby nieodzowne lub względy praktyczne saméj klasy panującéj. W drugim téż Statucie znajdujemy cały szereg postanowień „o wolnościach szlacheckich“ oraz wszelakich przewagach szlachty nad ludźmi prostymi. Dotyczą one nawet zakresu prawa karnego, gdzie, zdawało-by się, różnice stanów winny by występować najsłabiéj. Tymczasem, pod tym względem właśnie, widzimy, iż nie tylko przestępstwa przeciw osobie szlachcica lub straty zrządzone jego mieniu, były karane daleko surowiéj, aniżeli podobneż czyny dokonane ze szkodą człowieka stanu prostego; lecz że i za przestępstwo zupełnie jednostajne, oraz za takie nawet, jak kradzież i zabójstwo, szlachcic ulegał karze daleko lżejszéj, mając nadto nieporównanie większe prawdopodobieństwo uniknięcia onéj zupełnego.

Zmiany, które ten Statut zaprowadził w stosunkach prawnych *klas niższych*, nie są liczne, lecz mają niekiedy bardzo poważne znaczenie.

Co do *niewolników*, to Statut 1566 roku, powtarzając poprzednie przepisy: ograniczające obracanie w niewolnictwo ludzi „wydanych,“ potwierdzające bezskuteczność zaprzedaży w niewolę samego siebie lub dzieci w czasie głodu i t. d., dodaje, że niewolnik kupiony przez niechrześcianina, staje się wolnym natychmiast, bez wymaganéj przez pierwszy Statut siedmioletniéj wysługi. Drugie ważne postanowienie względem złagodzenia niewolnictwa znajdujemy tam w przepisie, że niewolnicy słudzy nie mogli być świadkami po stronie swych panów lub przeciw nim: zkąd można słusznie wnosić, iż względem osób obcych „czeladź“ dworska w owym czasie już używała prawa świadczenia, na równi z innymi ludźmi stanu prostego. Lecz obok tego spotyka się téż przepisy, mające na pierwszy rzut oka dążność zupełnie przeciwną, dążność ostawienia bytu niewolników bardziéj surowemi warunkami. Sprzeczność wszakże ta pozwala z całą pewnością wnioskować, że ostatnie te postanowienia nie przedstawiają w sobie w istocie rzeczy czegoś nowego, lecz formułują jedynie istniejące w rzeczywistości wcześniejsze zwyczaje. Tak naprzykład, niewolnikom nie są przyznane prawa do ich majątku ruchomego, którego oni nie mogą téż po sobie zapisywać; na tejże saméj zasadzie

nie mogli oni być świadkami cudzych zapisów; podobnież właściciel niewolnika nie miał prawa zostawiania czegoś z ruchomości zapisem przedśmiertnym na rzecz jego inaczéj, jak dawszy mu pierwéj wolność osobistą mocą tegoż zapisu. Względem wydawania zbiegłych do miast niewolników postanowiono, że na nich dziesięcioletnia dawność ziemska nie rozciąga się wcale. Przepisy Statutu pierwszego względem uwodzenia i przetrzymywania cudzych niewolników, oraz względem zwracania ich właścicielowi prawowitemu—pozostały w swéj mocy. Z zastosowaniem atoli do nich postanowienia o zbiegłych włościanach, na mocy którego przetrzymujący płacił właścicielowi wynagrodzenie za każdy stracony dlań tydzień pracy niewolnika lub włościanina, w jakim to razie praca człowieka niewolnego cenioną była trzy razy tyle (6 gr.) co koszt (2 gr.) jego utrzymania.

O *zakupniach* w Stat. namienia się tylko ubocznie, iż oni, na równi z ludźmi „wydanymi“ winni odrabiać swój dług, obok czego wysokość rocznego „wypuszczenia“ oznaczona jednakowo dla jednych jak i drugich.

Odnośnie do stanu *włościan* w ścisłém znaczeniu przybyło również kilka nowych postanowień dotyczących częścią praw majątkowych włościan, częścią zaś stopnia znaczenia ich świadectwa w sądzie ogólnym lub udziału w śledztwach kopnych. Co do majątku, Statut 1566 ubezpiecza włościanom prawo do ruchomości i dozwala nawet oddawać zapisem przedśmiertnym trzecią część onéj w ręce obce, mimo własnych dzieci. Dzieciom służyło prawo do pozostałych dwóch trzecich części ruchomości „ku służbie“ pana, na którego ziemi siedział włościanin; lecz jeśli dzieci te były z pochodzenia wolne a nie ojczyce, posiadały prawo wyjścia z całym ruchomym majątkiem, zostawiając panu jedynie zadudowania i zasiewy. Określając w taki sposób prawa włościan względem ruchomości, prawodawstwo poczyna jednocześnie surowo prześladować wszelkie usiłowanie z ich strony otrzymania udziału we własności ziemskiéj, która odtąd dopiero staje się przywilejem szlachty. A nawet „już od tego czasu,“ ktoby z poddanych drzewo bartne „za granice panów swoich oddawał, darował lub jakimkolwiek obyczajem w cudze ręce zbywał, takowy ma być gardłem karan.“

Jako *świadkowie* włościanie dopuszczani byli w dość wielu razach; tak w sprawach majątkowych, jako-też karnych. Oprócz świadectwa w sprawach, powstałych ze sporów o granice dóbr, wypasy, poręby i t. p., mieli też włościanie prawo być świadkami zapisów przedśmiertnych dokonywanych przez szlachtę. Włościanie nawet wogóle nie są wymienieni w liczbie osób nie mogących być dopu-

szczanémi do świadectwa, tak iż mieli oni prawo nawet być świadkami i po stronie i przeciw swym panom. Jeśli zaś którakolwiek ze stron usuwała świadków przeciwnika, pod pozorem ich niesumienności, a zarzut taki okazał się bezzasadnym, to świadek włościanin miał prawo, zarówno jak szlachcic, otrzymać od obwiniającego wynagrodzenie, nawiązkę, jak gdyby został ranionym. Włościan wolno było wzywać w charakterze „strony," „ludzi dobrych" t. j. świadków, przy opatrywaniu śladów najazdu i innych gwałtów, nie wyłączając zabójstwa, skoro nie zdarzało się na ten raz szlachty.

Sąd kopny posiada i w drugim Statucie też same wyłączne znaczenie śledztwa na miejscu (condescensio, judicium condescensoriale), lecz zakres działań onego nieco rozszerzony, w porównaniu ze Statutem 1529 r. Tak, oprócz przysądzania strat za wypasy i poręby, kopie poddano sprawy o kradzieży pszczół, razem z prawem skazywania na śmierć ujętego z licem złodzieja. Jeśli winny nie płacił przysądzanéj przez kopę kary za straty, urząd obowiązanym był ściągnąć odeń takową sowicie. Kopie nie mniéj poddawane były sprawy o kradzież bydła, a nawet zlecano jéj śledztwa w razie znalezienia zwłok nieznanego człowieka.

Przepisy dotyczące *podsądności włościan*, porządku pozywania ich do sądu, egzekucyj i t. d. pozostały w drugim Statucie bez zmiany, podobnie jak prawo o powinnościach włościan. Z nowych—zasługuje na uwagę ów punkt jedynie, podług którego obciążenie włościan zbytecznymi poborami uważanem było za równające się zniszczeniu majątku.

Pomiędzy innymi „ludźmi prostego stanu" w drugim Statucie występuje klasa, pierwéj nie wspominana, mianowicie „*pancerne sługi*" albo „pancerni bojarowie," wysokość główszczyzny których wskazuje, iż uważani oni byli wyżéj od wszystkich innych prostych ludzi zależnych. Klasa ta powstała z owéj warstwy wolnych dotąd niższych *bojarów*, których nieprzezwyciężony prąd rozwoju polityczno-społecznego wielkiego księztwa zepchnął niżéj szczebla, po nad który wzniósł się był uprzywilejowany stan szlachecki.

Trzeci Statut litewski, wydany dopiéro 1588 r., a więc po Unii lubelskiéj, jako nie obowiązujący officyalnie ziem ukrainnych, wcielonych już bezpośrednio do Korony, z natury rzeczy zajmować nas tu nie będzie. Chociaż naprawdę, z przyczyny, iż zawierał w sobie—jako dalsze rozwinięcie tylko statutu poprzedniego w kierunku wszechwładztwa szlachty — tyle ponętnych dla niéj nowych przepisów, stanu włościańskiego dotyczących, przedstawiał taką zachętę i wzór do naśladowania, że nie mógł pozostać i dla ziemian ukrainnych zupełnie obojętnym.

Byłoby wszelako najgrubszym błędem, niedarowanem a samowolnem zawiązywaniem sobie oczu, gdyby ktoś uwiedziony oderwaną zasadą ścisłéj odpowiedniości względnéj między prawodawstwem a życiem samem, chciał się oprzeć na statutowych ustawach przeważniéj w sądzie swym o istocie bytu włościańskiego w przebiegu dziejowym. Cóż dopiéro o kolejach i rzeczywistéj doli ludu poddanego ziem ukrainnych. Jeśli gdzie — to właśnie w Rzeczypospolitéj polskiéj życie płynęło nieskończenie szerszém korytem, niż jakie mu zakreślało prawodawstwo; jeśli gdzie — to w ziemiach jéj na południowych kresach rozciągających się, życie to przerzynało się własnymi prądami, znosząc wszelkie ścieśniające je tamy prawodawcze i zalewając powodzią przestwory legalizmu. W saméj rzeczy na Rusi południowéj w obydwóch epokach jéj ubiegłego dziejowego życia, tak pod zwierzchnictwem Litwy, jak następnie pod polską władzą bezpośrednią, stanowiły o życiu nie tyle nakazy, ustawy i uchwały, przychodzące z góry a zdaleka, lecz bardziéj przedwieczny nieśpisany obyczaj miejscowy, nadewszystko zaś wszechwładne fakta wytwarzane przez odrębne tu zupełnie warunki położenia, potrzeb życiowych i niewygasłych tradycyj.

Podaliśmy tu treść ustawodawstwa statutowego, w główniejszych onego przepisach stanu włościan dotyczących, dla tego przedewszystkiém, aby wskazać *normę*, służącą za podstawę rzeczywistych stosunków społeczno-ekonomicznych wielkiego księztwa, co do północnych, krywickich, dzielnic onego, a którą władza zwierzchnicza pragnęła rozciągnąć zarówno i na południowe ziemie ruskie. Czy bowiem norma ta dała się zupełnie wprowadzić w życie na Rusi, czy nie—mówimy zawsze o ustawach odnoszących się do włościan wyłącznie—zawsze przecie była ona poniekąd ideałem ku urzeczywistnieniu którego zdążały warstwy przemożniejsze i w tém wysoce zainteresowane.

W obliczu statutowego ustawodawstwa w. ks. litewskiego, stosunki rzeczywiste społeczno-ekonomiczne ludności rolniczéj ziem południowych rozwijały się w odrębny swój do pewnego stopnia sposób; *życie* tam płynęło wcale samoistnym jakby prądem.

Ogólnie rzeczy biorąc, postępowi, pochodowi raczéj, prawodawstwa w zaznaczonym kierunku—co do ludności rolniczéj—odpowiadało i coraz ściślejsze faktyczne ograniczanie warunków *społeczno-prawnych* jéj bytu: formy przecie były tu innego rodzaju.

Ludzie stanu *wolnego* długo jeszcze cieszyli się względną nietykalnością praw swych posiadania, zapewnioném wynagrodzeniem w razie odjęcia im siedziby, przyznaną swobodą wyniesienia się—nawet na ziemiach świeżo nadawanych. Nie mało też spotyka się

aktów nadawczych osób prywatnych na rzecz ich sług, nawet włościan przeobrażanych na *bojarów*. Listy owe nadawcze, zapewniające używalność ziemi, podobne są zupełnie do odpowiednich im nadań władzy królewskiéj nieco wcześniejszéj daty, kiedy ta, zachowując jeszcze przy sobie prawo powszechnéj własności ziemi—i ceniąc takowe—zostawiała sobie możność wykupu nadawanych gruntów. W podobny sposób, gdy posiadłość ziemska w znacznéj części przeszła do szlachty, więc i ona téż, używając tego samego środka dla wynagrodzenia własnych sług, poczęła przestrzegać pilnie utrzymania własności nieruchoméj w swém ręku. Podobieństwo to zaś występuje jeszcze wybitniéj w tych razach, kiedy przez nadanie zawarowywaną zostawała i powinność wojennéj służby. Czasem téż nadanie przedstawia tylko potwierdzenie prawa do posiadłości, spadającéj dziedzicznie. Przy obdarowaniu ziemią bojarską, otrzymującego takową uwalniano od wszelkich innych powinności oprócz właściwie bojarskiéj; jeździć z panem i wozić jego listy; fakt, który ze swéj téż strony przyświadcza, że powinność przywiązana była do ziemi nie zaś do osoby.

Co się tyczy *włościan* zależnych —to przeciwnie, ich używalność ziemi wcale nie była ubezpieczoną a nawet zwyczaj podtrzymujący nieco trwałość onéj, powoli stopniami moc swą utracał.

Panowie daléj, osobliwie potężniejsi, wabiąc i utrzymując przy sobie sług stanu wolnego, nie krępowali się wcale, jeśli przy okoliczności, można było zapisać ich w *poddaństwo*. Ślady tego dosyć są wczesne.

Wydawanie za przestępstwo, jako przyczyna zależnego stanu, zdarza się, względnie biorąc, dosyć rzadko. Występuje za to bardzo interesująca forma układu między winnym i powódcą, opartego zapewne na zwyczaju, gdy prawo pisane nic podobnego nie nakazuje, a nawet takowy układ sprzeciwia mu się poniekąd. Otóż np. włościanin prywatny, schwytany na kradzieży i zagrożony śmiercią a następnie wyproszony przez „zacnych ludzi“ od kary u powódcy—okolicznego szlachcica, daje temu ostatniemu na siebie sądowy zapis, mocą którego miałby on prawo, w razie jakiéj straty z przyczyny winowajcy, powetować sobie takową z jego majątku i ukarać go nawet śmiercią bez sądu i oglądania się na jego pana. Gdy tymczasem, podług przepisów prawa, włościanin nie miał mocy podobnego rozporządzania ani swą osobą ani posiadłością pomimo swego dziedzica.

Podobnież *niezgodnie* ze statutami rozstrzygały się i sprawy o zabójstwo przez włościan szlachcica i odwrotnie: życie i tutaj łagodziło surowość prawa. Tak np. w jednym razie poddani prywatni, za zabójstwo szlachcica, byli ukarani nie śmiercią lecz główszczyzną i na-

wiązką, oczywiście za wdaniem się swych panów, na imie których zrobiony był téż układ. W innym razie sługa pański co zabił chłopa, czatującego nań w zasadzie, zrobił układ z żoną zabitego, taki że zapłacił jéj 12 (nie 25) kop. głowszczyzny i zobowiązał się pełnić za nią w ciągu lat 4-ch wszelkie powinności, względem pana— oświadczając wyraźnie, iż „pańszczyznę wszelką odprawować, czynsz i co jeno panu należeć będzie, rok od roku, na lat 4-ry powinien jest i będzie.

Prawo sądu nad włościanami, w znaczeniu rubryki dochodowéj, służyło niejednokrotnie za przedmiot *sporu* i samowolnego przywłaszczania, jak niemniéj alienacyi czasowéj, przy oddawaniu dóbr w zastaw lub dzierżawę. Tak naprz. dziedzic zapisując słudze swemu szlachcicowi na posiadanie majątek osiadły, oddaje mu i prawo sądu nad włośc. chociaż zatrzymuje przy sobie prawo sądu nad tymże szlachcicem. Urzędy znów starościńskie przywłaszczają sobie przemocą prawo sądu nad niepodlegającymi im mieszkańcami miejskimi, naprz. włościanami, darowanymi przez ich pana na rzecz szpitala, z zachowaniem jednak sobie prawa sądu nad nimi. Podobnież nieraz postępują i magistraty miejskie prawa magdeburskiego. Mieszkańcy miast probują czasem sądzić sprawy swe sami, podług starego obyczaju, sądem *kopnym*, lecz urząd nie uznaje prawomocności podobnych wyroków, jako nadwyrężających prawa jego własnéj jurysdykcyi. Niekiedy dziedzic, zastawiwszy majątek z prawem sądu, potém jednak sam wdaje się w prowadzenie sprawy i ściąga kary opłaty z włościan. Przy oddawaniu majątku w dzierżawę lub zastawę, przelewano zwykle i prawo sądu, przyczem czasami zostawało dodawaném pozwolenie karania winnych śmiercią. W statutach nigdzie niema przecie wypowiedzianego wprost prawa panów karania włościan śmiercią; można takowe wyprowadzić tylko ubocznie z naznaczenia kary śmierci za pewne występki, sąd nad któremi pozostawiony był panom. W Polsce prawo podobne było postanowione jeszcze przed unią, uchwałą r. 1557. W rzeczonych zaś okolicznościach dziedzic zastrzegał, iż w razie popełnienia przez włościan ważnego występku, dzierżawca obowiązanym był „prawo tameczne osadzić," czyli, zebrać sąd na miejscu lecz nie domierzać kary inaczéj, jak po porozumieniu się z nim samym.

Statut nie przyznawał włościanom prawa wydawania pozwu, prowadzenia sprawy i w ogóle robienia jakichkolwiek przełożeń na sądzie samoistnie we własném imieniu: w praktyce jednak dopuszczano to czasem, nie tylko względem królewskich lecz i prywatnych poddanych. Niekiedy szlachcic, dla opędzenia się od pozywającego go do sądu bojara królewskiego, odmawiał mu przyznania tego tytułu

i nazywał go włościaninem prywatnym, tj. pozbawionym prawa pozywania; jeśli przecie powód przedstawiał należycie poważne dowody swego stanu, roztrzygnięcie takowéj kwestyi oddawano trybunałowi.

Co się tyczy saméj *jurysdykcyi* nad włościanami tj. śledztwa sądowego i wyroku –takowa była w użyciu w dwóch postaciach: jako sąd właściwie pański, lub téż jako gromadzki, kopny. Panowie stosownie do ważności sprawy, sądzili albo sami jedni albo wzywali do uczestniczenia postronną szlachtę, i przy takowém, bardziéj formalném odsądzaniu zwykle był obecnym woźny, który przedstawiał następnie wyrok dla wciągnięcia do akt sądowych. W jedném zdarzeniu do uczęstnictwa w sądzie byli zaproszeni i znaczniejsi z mieszczan sąsiedniego miasta—co było zrobioném prawdopodobnie dla tego, że winowajca oskarżał i niektórych mieszczan o wspólnictwo z nim w kradzieży.

Za przekroczenia małéj wagi, jakie zwykle pan sądził bez udziału osób postronnych, najbardziéj były w użyciu kary pieniężne przy ściąganiu których stosowano „grabież" tj. odpowiadający należności zasądzanéj zabor jakiéj ruchomości, osobliwie bydła. Spotykamy „grabież" wołów za „występek", bez ściślejszego określenia onego; nie mniéj za niezłożenie na termin czynszu z gruntu; grabiono téż celem zapłacenia nawiązki włościaninowi za rany oraz odpowiedniéj winy, na rzecz pana. Czasem dziedzic, oddając majątek w dzierżawę, oznaczał wysokość kary pieniężnéj od włościanina, coby nie wyszedł na robotę i dozwalał dzierżawcy grabić go w odpowiedniéj mierze.

Sąd z udziałem osób postronnych, czyli tak zwany sąd *przyjacielski* bywał zgromadzanym z powodu bardziéj ważnych występków, jak kradzież, podpalenie, otrucie itp. Podlegali mu i właśni poddani dziedzica, i zostający u niego na usługach szlachta nieposyonaci, i włościanie panów postronnych, co popełnili występek w jego majątku i schwytani zostali z licem.

Liczba sędziów postronnych bywała od 3-ch do 5-ciu, czasami przy odbywaniu sądu byli obecnymi i sąsiedni włościanie. Sędziowie mniéj wiecéj trzymali się statutu, o czém namienia się w samych wyrokach; lecz spotykają się wszakże i dowolne odstąpienia od tego, zależące od łaskawości powoda. Dla zbadania prawdy w sprawach kryminalnych, sądy dominialne, podobnie jak wszelkie inne sądy owego czasu, używały pomiędzy innymi środkami i tortury—jak branie w kluby lub przykładanie żaru do boku; do czego uciekano się osobliwie w razie, gdy obwiniony plątał w sprawę osoby postronne.

Kara *śmierci* za przestępstwa stosowaną była dosyć często. Względem swych własnych poddanych atoli panowie, z łatwych do zrozumienia przyczyn, starali się pospolicie uchylać użycie podobnego środka, przedewszystkiém, gdy winowajca przedstawiał pewne rękojmie poprawy. Widzimy téż niejednokrotne przykłady ujmowania się przez panów za ich poddanych, z użyciem pogróżek i przemocy nawet, przeciw wyrokom zwoływanéj przez siąsiadów kopy i t. p.

Sąd, odbywany z zachowaniem wyżéj wskazanych formalności, uważanym był za ostateczny, i wyrok onego niezwłocznie zostawał wprowadzanym w wykonanie. Był to sąd *prawidłowy* nie tylko podług prawa, lecz i w powszechném uznaniu ludności; chociaż bowiem Statut dawał panom, a więc i osobom przez nich umocowanym, prawo sądu niezależnego nad włościanami, moc jednak obyczaju wymagała pewnéj rękojmi od dowolności, jakową rękojmię widziano w uczestnictwie w sądzie osób postronnych. Zdarzają się wprawdzie nierzadkie wypadki pomijania zupełnego wszelkich formalności uświęconych przez obyczaj, przykłady krzyczącéj samowoli, ale były to *nadużycia* i za takowe przez ogół uznawane.

Jurysdykcya *sądów kopnych* rozciągała się na te wszystkie prawie przestępstwa i wykroczenia, jakie roztrzygał sąd dominialny, a nadto na pewne sprawy charakteru cywilnego. W wypadkach tego ostatniego rodzaju do kop odwoływały się bez różnicy osoby wszelkich stanów, szczególnie jeśli w przyczynie spowodowanych strat nie widziano złéj woli. W sprawach zaś kryminalnych sąd kopny zbierano przedewszystkiém w tych razach, gdy winowajca nie był wiadomy; a więc spodziewano się wykryć prawdę za pośrednictwem „opytu“ tj. opytania, wybadania obecnych na kopie miejscowych i sąsiednich mieszkańców. Najczęściéj do tego sposobu dochodzenia uciekali się ludzie prostego stanu oraz nie wiele różniąca się od nich obyczajem szlachta okoliczna.

Co więcéj bywały zdarzenia, że do sądów kopnych zwracano się nawet w sprawach, że tak powiemy, charakteru międzynarodowego. Tak na pograniczu wielkiego księztwa i korony na kopy zgromadzali się mieszkańcy obydwóch państw i rozbierali wzajemne pretensye na oznaczonych uroczyskach, leżących na saméj granicy, przy jakimś brodzie, kurhanie, bagnie itp. Przy określeniu granic między Litwą i koroną 1546 r. spotykamy aż 10 podobnych kopowisk, idąc od Brześcia skrajem Wołynia.

W ogóle sąd kopny, zakorzeniony w obyczaju Rusi, mocno trzymał się przy życiu w całéj téj epoce i dopiéro pod koniec XVIII

wieku, z powodów polityczno-społecznych przeważniéj, począł być ograniczanym a potém i prześladowanym.

Lecz zwróćmy się z kolei ku warunkom stanu *ekonomicznym* bardziéj.

W podległych bezpośredniemu zwierzchnictwu litewskiemu południowych ziemiach ruskich, *dobra królewskie* w znaczniejszéj części były rozdane szlachcie już w pierwszéj połowie w. XVI-go i stały się dziedziną własności prywatnéj; pozostałe zaś, nierozdane, przypisanemi zostały do *zamków* których starostowie, zagarnęli na rzecz własną wszystkie niemal należące od królewskich poddanych powinności.

Powinności te zostawały w odwrotnym stosunku do pożytku, jakie miała Rzeczpospolita z przypisanych ku zamkom sioł i osad. Oczywiście bowiem: gdzie trwał jeszcze obowiązek służby wojennéj, podtrzymywania budowli obronnych, stróży polowéj i t. p. tam powinności prywatne względem starostów były mniéj znaczne i odwrotnie.

Dostatecznie przyświadcza temu wydana przez nas w VI tomie Źródeł dziejowych „Rewizya zamków ziemi Wołyńskiéj w połowie XVI wieku,“ w któréj znajdujemy obfite dane, dotyczące dóbr ciążących do zamków królewskich: Włodzimierza, Łucka, Krzemieńca, Winnicy, Bracławia i Żytomierza z r. 1545. Co razem z rew. zamku Owrucza, wydaną w „Arch. jugozap. R.“ (cz. IV. t. I) i kopią rękop. rewizyi zamków: Kijowa, Kaniowa i Czerkas—z r. 1552, daje możność zapoznania się z przedmiotem - nawet w drobnych onego szczegółach lokalnych.

Po rozejrzeniu takowych widzimy najprzód, iż wogóle warunki jurydyczne i ekonomiczne, w jakich się znajdowały ówcześnie różne zamki, a więc i zależna od nich ludność włościańska, były wcale niejednostajne. Zamki ziemi wołyńskiéj w znacznym stopniu utraciły już były znaczenie swe państwowe i przedstawiały jedynie bezpieczne miejsce chronienia ruchomego statku i dobra okolicznych panów w razie najazdu tatarskiego. Zamki te, chociaż porządniéj utrzymywane od naddnieprzańskich, były wszakże uboższe od tamtych. Bardziéj posunięte na wschód, osobliwie leżące nad samym Dnieprem, zachowały jeszcze znaczną część przypisanych ku nim dóbr królewskich, dających i dochody i siłę wojenną; tymczasem na Wołyniu właściwém, wszystkie niemal dobra zamkowe były już rozdane kniaziom, panom i ziemianom, o służbie zaś wojennéj mieszczan lub włości przypisanych, wzmianki prawie nie ma.

Szlachta tam liczna i potężna zdołała zupełnie zrzucić już z siebie ciężar powinności zamkowych, ponosząc je o tyle jedynie, o ile to się zdawało niezbędném każdemu z osobna, dla ubezpieczenia należącéj doń wieży zamkowéj lub horodni. Stałych opłat lub danin

na rzecz zamku z dóbr ziemiańskich nie ma już wcale; stanowionemi one zaś bywają tylko czasowo w razie ostatecznéj potrzeby jakichś napraw, lecz i wtedy są bardzo skromne zwykle. Ciężary zatem spoczywające na mieszczanach i włościach wzrastają; przy nadaniach bowiem szlachcie wsi zamkowych, nowi posiadacze przestają zwykle wypełniać leżące pierwéj na tamtych powinności, a które tedy następnie spadają na mieszczan i wsi pozostałe.

Dla większego unaocznienia dotkniemy tu paru wybitniejszych *przykładów* faktycznych:

Oto przy zamku łuckim, stołecznym całéj tyle rozległéj ówcześnie ziemi wołyńskiéj, znajdujemy jeszcze dość znaczną względnie ilość przypisanych doń dóbr, mianowicie 30 wsi o 124 dworzyszczach; gdy już zamek krzemieniecki posiada tylko wsi 18 a włodzimierski ledwie jedyną włość smiedyńską. *Powinności* włościan na rzecz zamku były różnorodne, lecz w ogóle miały znaczenie wyłącznie gospodarcze. Ze 30 wsi łuckich w dwóch tylko znajdowali się jeszcze słudzy zamkowi, obowiązani do służby konnéj, ogółem 11 dworzyszcz. Pozostali włościanie winni byli wozić drzewo, kosić siano, dostawiać żelazo z rudni, dawać podwody na potrzeby starosty i klucznika i wszyscy prawie chodzili na pańszczyznę przez całą wiosnę i lato – wolni od niéj wszakże zimą. Starostowie, którzy się stawali coraz bardziéj tylko czasowymi posiadaczami beneficyów, narzucali przy okoliczności i inne ciężary, i wcale nie myśleli krępować się ustawą Zygmunta I, nakazującą im poprzestawanie na ⅓ dochodów. Ztąd też w Łucku widzimy nast. stosunek: z przypisanych do zamku sioł i ludzi idzie na rzecz królewską rocznie daniny pieniężnéj 1 kopa i groszy 36, starosta zaś brał w gotówce 19 kop. i groszy 40, a nadto znaczną ilość żyta, owsa, kur, jaj, chleba białego i czarnego, przędzy i nici, lisa i 30 bielic, oraz inne „drobne“ dochody.

Gdy się zaś przeniesiemy *nad Dniepr* do Kaniowa np. widzimy, iż tutaj mieszkańcy miasta oraz obwodu, wszyscy jednostajnie jeszcze brali udział w budowaniu ogrodzeń miejskich, utrzymywaniu straży, tudzież powinności wojennéj. Jednostajnie téż i bojarowie i mieszczanie i włościanie dawali podwody i stacye dla posłów lub gońców. Zasługuje tu przytem na uwagę okoliczność, iż do robocizny na zamek obowiązani byli jedynie *kozacy*, wspominani albo jako czasowo tylko bawiący w mieście przybysze ze stepu, lub téż jako najemni robotnicy u innych mieszkańców miasta. Ziemie orne i pasieki ludzi zamkowych, wolne były od powinności; lecz już przy rewizyi (1552 r.) zaniesiono skargę, iż starosta począł był wymagać dziesięciny na rzecz własną. Takie same powinności, jakie odbywali mieszkańcy miasta, winni byli dopełniać również włościanie zie-

miańcy, stale lub czasami tylko przebywający przy zamku, nie wyłączając i służby wojennéj. W używalności mieszkańców miasta znajdowało się mnóstwo różnego rodzaju pożytków—pasiek, bobrowych gonów, jezior rybnych i t. p. rozrzuconych na ogromnéj przestrzeni, po Dnieprze, Rosi, Sule, Udaju, Pole i innych rzekach, nawet na Samarze. Za użytkowanie tego mieszkańcy dawali część otrzymywanych dochodów w naturze lub opłacali nieznaczną należność dzierżawną pieniędzmi, w rodzaju czynszu.

Podobne stosunki widzimy i pod osłoną innych zamków Naddnieprza, jak Kijów tam stołeczny i niemniéj w pewien sposób stołeczne—od „dzikich pól"—Czerkasy; nie inne też u zamków kresowych ówczesnego Podola wołyńskiego—u Winnicy i Bracławia; jedynie na Polesiu drewlańskiém, kijowskiém, pod zamkami Żytomierzem i Owruczem były widoczniejsze wpływy porządku zachodniego.

Wobec czego w ogólnym wyniku faktycznych zestawień dotykalnie się uwydatnia, że im daléj ku wschodowi i południu, tém słabsza przewaga ziemian, tém mniéj różnic między stanami, życie przestronniejsze i bardziéj swobodne, lżejsze też powinności: mniejsza o ciągle grożące życiu temu niebezpieczeństwo.

A stosunek tego rodzaju, w główniejszych swych rysach zasadniczych, przekracza epokę Unii i *trwa*, z małemi odmianami, aż prawie do pierwszego powiewu burzy kozaczéj. Łatwo możemy się o tém przekonać, rozejrzawszy choćby jedynie obfity materyał V-go tomu Źródeł dziej., noszącego tytuł: „Lustracye królewszczyzn Ziem ruskich: Wołynia, Podola i Ukrainy z pierwszéj połowy XVII w." Znajduje się tam nadto (we wstępie) szczegółowy obraz społeczno-ekonomicznych warunków bytu ziem ukrainnych, obraz zbyt wymówny samém bogactwem faktów, a którego nie podobna nam tu powtarzać. Ogólne wrażenie, jakie się ztamtąd wynosi, nie inne; jak późniejszego „Samowidzca," mianowicie, iż po królewszczyznach ukrainnych owego czasu—ludzie pospolici żyli we wszelkiéj obfitości w zbożu, bydle i pasiekach; nie mogli jedynie znieść wielkich wymysłów od starostów, od ich namiestników i od żydów!

Inaczéj wcale układały się społeczne i ekonomiczne stosunki w dobrach prywatnych i tam w ogóle, gdzie żywioł ziemiański, szlachecki brał już stanowczo górę. Inne tam występowały ciężary i powinności, inne porządki i prawa faktyczne. Ale przedmiot ten odniesiemy już do działu następnego, poczynającego się od aktu Unii lubelskiéj, od któréj czasów rozwielmożniła się bardziéj własność prywatna w ziemiach ukrainnych.

(d. n.) *Aleksander Jabłonowski.*

CZŁOWIEK

W OKRESIE TRZECIORZĘDOWÉJ FORMACYI.

Przed nami i w oczach naszych rośnie młoda nauka i coraz śmielej stawia pierwsze kroki. Aniśmy się spostrzegli, jak z drobnych zawiązków rozwinęło się wspaniałe drzewo, na którém dojrzałe już wyrastają owoce. Jeszcze niedawno, kilkanaście lat temu zaledwie z pieluch wychodziło niemowlę, któremu nie podobna było dać nazwy więcéj ścisłéj, określonéj. Była to poniekąd antropologia, archeologia przeddziejowa, były to zawiązki nauki o pierwotnéj cywilizacyi rodu ludzkiego; aliści w ciągu kilkunastu lat wyrosła nowa gałąź umiejętności, odrębna od innych, samodzielna, mająca swoję własną szeroką dziedzinę badań, którą stanowi daleko i głęboko sięgająca w podziemia wieków przeszłość ludzkości, przeszłość człowieka i jego nieskończenie długo ciągnąca się epoka pierwotnego rozwoju. Zowie się ona paleontologią rodu ludzkiego, archeologią przeddziejową i tworzy właściwie część nauki historycznéj: jest niejako wstępnym rozdziałem dziejów powszechnych.

Zdobycze jéj na polu poszukiwań mnożą się co rok z niesłychanym pośpiechem. Kroczy ona naprzód olbrzymim krokiem, jak w podaniach bajecznych owi bohaterowie, którzy od razu siedmiomilowe przebywają odstępy. Jéj etapy zmieniają się szybko. Myśl tych, którzy pracują zwolna, nie ma prawie czasu wytchnąć, rozejrzeć się na tych etapach, następujących po sobie z takim pośpiechem— pary, elektryczności. Był czas, kiedy dwadzieścia kilka lat temu, pod wpływem dzieła szwedzkiego archeologa Nilsona, oddawano się odszukiwaniu pomników cywilizacyi z epoki bronzu, późniéj przerzucono się na pole nierównież dawniejsze—cywilizacyi kamiennéj. Jakżeż to także niedawno, kiedy na porządku dziennym była sprawa palafitów, nawodnych mieszkań. Dziś już o téj dobie mówimy jako o plusquam perfectum. Nastała chwila, kiedy nauka, zdarłszy grubą

żasłonę, w której się kryła epoka czwarto-rzędowa, zaczęła szukać śladów człowieka w jaskiniach, pieczarach i ku zdumieniu całego świata uczonego, poczęła głosić nowe wiadomości o człowieku, jego istnieniu w epoce wielkich zwierząt ssących, gruboskórnych, w epoce mamuta, słonia pierwotnego, nosorożca i innych. Zdawało się podobnież niedawno jeszcze, że to będzie najdaléj naprzód wysunięty posterunek naukowy, że to będzie ostatni etap, ultima Thule, po za którą nic innego, jeno mgła niewiadomości, ciemność nieprzenikniona panować będą. Tymczasem już nowe otwierają się horyzonty i nowe zagadki stają przed badawczym umysłem człowieka. To śpieszne kroczenie nauki od etapu do etapu nie ma bynajmniéj oznaczać, iżby zawarte między niemi pole już całkowicie było zbadane, by wszystkie wątpliwości już były uprzątnięte. Owszem, przedmiot nie jest wyczerpany, tajemnice nie są rozjaśnione, tylko nowe i dalsze cele wytyka sobie nauka, a powstają one ciągle w miarę jéj stopniowego rozwoju.

Była czas pewien na porządku, sprawa istnienia człowieka w czwartorzędowéj epoce. Dziś już będąc pomyślnie rozwiązaną, ustąpiła ona miejsca innéj—nierównież trudniejszéj, nierównież ważniejszéj, pytaniu o człowieku w formacyi trzecio-rzędowéj. Sprawa ta nie jest bynajmniéj nową, świeżą, powstałą dziś lub wczoraj. Owszem ma ona za sobą dzieje może jakich lat piętnastu, ale występowała pierwotnie w kształcie tak słabéj hypotezy, o tak kruchéj podstawie, że nie mogła rościć sobie prawa do miana sprawy lub kwestyi naukowéj. Wprawdzie poruszano ją tu i owdzie, wytoczono na stół dyskusyi, ale dano jéj krótko odprawę jako przedwczesnéj i nieuzasadnionéj. Właściwie zagaił ją zmarły niedawno ks. Bourgeois w r. 1867 na kongresie antropologicznym, odbytym w Paryżu i odtąd podtrzymywał ją z nieostygłym zapałem prawdziwego apostoła nauki. Nie mógł on żadnych innych dowodów przywieść na poparcie swojéj hypotezy o trzeciorzędowym człowieku nad kilkanaście okrzosków krzemiennych, dość starannie ociosanych, które miały jakoby nosić na sobie ślady obrobienia ich ręką ludzką. Znalazł je Bourgeois w departamencie Loary i Cher'u w Thenay około Pontlevoy'a w pokładzie trzeciorzędowym środkowym czyli miocenicznym, w glinie marglowéj zielonawéj, wśród warunków stratygraficznych, które żadnéj nie ulegały wątpliwości (1).

---

(1) Dzieje tego odkrycia skreślił sam Bourgeois w artykule p. n. La question de l'homme tertiaire (Rev. des questions scientifiques Louvain 1877. Zob. także sprawozdanie z kongresu brukselskiego.

Znaleźli się uczeni, między niemi Hamy, Mortillet, którzy przystali skwapliwie do nowéj nauki głoszonéj przez usta księdza Bourgeois. Większość jednak członków kongresu nie podzielała zapatrywań, które się wydały bardzo niepewnemi. Niestrudzony geolog francuski nie ostygł w swéj gorliwości ale owszem z większym jeszcze zapałem gromadził materyały ku wzmocnieniu i poparciu swéj teoryi. Na kongresie antropologów, który się odbył w 1872 r. w Brukseli, po raz wtóry wytoczył sprawę swoję na stół dyskusyi, przedstawiwszy nowy zbiór znalezionych w téj saméj okolicy krzemieni kilkorakich kształtów: skrobaczek, nożyków i t. p. (1). Wobec tych ponownych dowodów, niemożna było odmówić stronie powodej roztrząśnienia na nowo sprawy, przesądzonéj już na kongresie w Paryżu. Znowu więc zaprzątnęła umysły kwestya istnienia człowieka trzeciorzędowéj formacyi. Jakkolwiek komisya wyznaczona w celu ocenienia sprawy, nie wypowiedziała się przychylnie za wnioskiem, za zdaniem księdza Bourgeois, jednakże znaleźli się niebawem na tym samym kongresie nowi sojusznicy, którzy zachwianéj chorągwi księdza Bourgeois dostarczyli posiłków. Przemawiał gorliwie za nową teoryą, szczególniej Mortillet (2), ale wsparł ją głównie Rames, przedstawiwszy z okolic Aurillac'u kilka krzemieni obrobionych z trzeciorzędowéj epoki (3), najwięcéj zaś Ribeiro z Portugali, pokazawszy zgromadzonym członkom kilkanaście krzemieni z okolic Lizbony znalezionych przezeń w trzeciorzędowéj formacyi ze śladami na nich pracy ludzkiéj.

Wprawdzie w umysłach pozostała dawna chwiejność, niepewność, ale sprawa sama, sama kwestya nabierała więcéj ciała i będąc nieujętą, niby para wodna, zaczęła przechodzić w kroplę rosy, w stan więcéj pewny, określony. Osiadała więc, mimo sceptycyzm uczonych, ciężarem swoim w ich umysłach. I znów niebawem w innym kształcie się narzuciła przez usta znakomitego geologa z Bononii, profesora Capelliniego, który na kongresie odbytym w 1876 r., w Peszcie przedstawił część kości wieloryba-balaeonotus, znalezionéj około Monte-Aperto w pobliżu Sieny w pokładzie plioceniczym (4). Na kości téj, zdaniem Capelliniego i innych, spostrzegać było można nacięcia, które podobno powstać tylko mogły od uderzenia ostrém a więc krzemienném narzędziem. Byliśmy uczestnikami rozpraw, które z tego powodu wywiązały się na posiedzeniach kongresu

(1) Zab. Congrès d'anthropologie et d'arch. préhistor. de Bruxelles. 81—93.

(2) Mortillet, który w licznych pismach podtrzymuje po dziś dzień tę samę hipotezę. Zob. szczególniéj Revue d'anthropologie wyd. przez Brokę tom VIII. 118 in.

(3) Ass. française pour l'avancement des sciences. Lyon 1873. 610.

(4) Congrès international d'anthropol. Buda-Pest. 1877, str. 46—63.

w Peszcie i pamiętamy dobrze, jak coraz śmieléj głosić zaczęto przekonania o istnieniu człowieka w pliocenicznéj a więc późniejszéj warstwie trzeciorzędowéj formacyi. Wprawdzie odnoszą się ślady zauważone przez Capelliniego nie do miocenicznéj t. j. do środkowéj warstwy, ale w każdym razie sięgają one już niżéj, głębiéj niż czwartorzędna epoka.

Więc drobna rzeczka zaczęła torować sobie drogę i wzrastała szybko jak górski potok, zasilany przypływem różnych strumyków. Podczas zjazdu, który się odbył w Paryżu w Trocadero zagajono znów tę sprawę w obec wystawy archeologicznéj i wobec nowych krzemieni, które ze sobą przywiózł Ribeiro z Lizbony. Nie zastanawiano się wprawdzie długo nad tém pytaniem, postanowiono jednak odbyć następne zebranie właśnie w Lizbonie i tam na miejscu szczegółowo i wyłącznie oddać się roztrząśnieniu kwestyi, która tak natarczywie dopominała się, aby ją wytoczono na pole rozpraw publicznych całego kongresu (1). Po tak długiém kołataniu do drzwi, postanowiono wreszcie otworzyć bramę na oścież i sprawa ukazała się na porządku dziennym.

Tak tedy wysworowało się w prędkim czasie naprzód pytanie, wyścignąwszy wszystkie inne, jakiemi się dotychczas zajmowały umysły archeologów i antropologów. Kongres w Lizbonie odbyty we wrześniu minionego roku 1880 miał właśnie poświęcić swe prace zbadaniu sprawy trzeciorzędowego człowieka w Portugalii. Z przytoczonych wyżéj wiadomości łatwo się domyśléć, jak mało zwolenników znalazła hypoteza wypowiedziana pierwiastkowo przez księdza Bourgeois'a, podtrzymywana przez Mortilleta, Hamy'ego, Ribeira i in., jak w ogóle na kruchych opierała się podstawach. Téj też okoliczności głównie przypisać należy ostrożne, oględne zachowanie się w obec téj sprawy większości uczonych. Bo istotnie cała rzecz o trzeciorzędowym człowieku jest utkana jakby z przędzy pajęczéj. Pytanie tak wielkie w nauce, tak doniosłe, jakiém jest odsunięcie wstecz początku cywilizacyi rodu ludzkiego o kilkadziesiąt może tysięcy lat po za znaną dziś epokę człowieka jaskiniowego, pytanie takie, powtarzam,—nie da się rozstrzygnąć pośpiesznie na podstawie kilkunastu krzemieni, połupanych w sposób tak mało określony, tak wątpliwy, że niepodobna ściśle wyłączyć tu przypadku, gry natury lub innych tym podobnych okoliczności.

---

(1) Congrès d'anthropol. de Paris 1878. por. także artykuł *Mortilleta* L'homme tertiaire á l'exposition Rev. d'anthrop. de Broca vol. VIII. 116. *Nadaillac* L'homme tertiaire Paris 1878.

Krzemienie wprawdzie, które znaleziono w Thenay i na których Bourgeois opiéra swoję teoryą, są tak starannie opracowane i obłupane, że na nich niewątpliwie dostrzegać się dają ślady ręki rozumnéj istoty, która je przygotowała jako narzędzia do swego użytku. Wprawdzie i samo miejsce ich znalezienia, ich metryka, ich kolébka nie podpada żadnéj wątpliwości. Pod względem stratygraficznym pochodzenie tych krzemieni z trzeciorzędowéj formacyi można uważać niemal za rzecz pewną—a jednak mimo te wszystkie okoliczności, jakżeż trudno wyprowadzić ztąd wniosek o rzeczywistém istnieniu człowieka w owéj epoce. Bo nasuwają się tu inne poważne pytania, które wyjaśnić należy, raz przyjąwszy tę śmiałą hypotezę. Krzemienie z Thenay są drobne, niekiedy tak drobne, że właściwie zrozumiéć nie można celu, w jakimby je przygotowywał ówczesny człowiek, który żył oczywiście w stanie nierównież więcéj dzikim niż człowiek czwartorzędowy, co jeszcze używał grubych, nieokrzesanych kamieni. Do czegóż miałyby służyć te małe nożyki? Byłyż to strzałki lub skrobaczki? A pierwszy człowiek w okresie swego niemowlęctwa czyż odrazu został myśliwym i tak delikatnéj używał już broni?

W oczach oględnych badaczy podobne wskazówki są tém, czem poszlaki w dochodzeniu sądowém; nie stanowią one jednak niezbitego dowodu. Jako na poszlaki trzeba także patrzéć na krzemienie uzbierane w okolicach Lizbony przez pana Ribeiro. W téj też myśli, aby ocenić zasadność tych poszlak zebrali się z różych krajów antropologowie i archeologowie, i w stolicy Portugalii zagaili wielki wiec naukowy (1).

Punktem wyjścia rozpraw stała się sprawa flory trzeciorzędowéj. Stosunki geologiczne, fauna i flora łączą się w podobnych wypadkch tak ściśle ze sobą, że od ich zrozumienia i zbadania zależy możność rozwiązania zagadki. Warunki istnienia pewnych organizmów musiały być wspólne zarówno w świecie roślinnym jak i w świecie zwierzęcym, wśród których w ogóle możliwém było istnienie człowieka.

Dawniejsze badania nad florą trzeciorzędowéj formacyi utorowały poniekąd już drogę hypotezie o współistnieniu człowieka w owéj wczesnéj epoce tworzenia się kuli ziemskiéj. Prace margrabiego Saporty (2) odsłoniły nam w znacznéj części tajemniczy świat

---

(1) Krótkie dzieje tego kongresu skreśliliśmy pośpieszną ręką w listach pisanych z Lizbony, które się ukazały oddzielnie w r. 1881 p. n. Portugalia Listy z podróży,—str. 44 c. n.

(2) Le monde des plantes avant l'apparition de l'homme Paris 1879.

roślinny tych krajów, na których osadziły się pokłady stanowiące podstawę dzisiejszéj środkowéj Francyi (1). Nierównież wcześniéj już zapuszczał swój wzrok badawczy w głębie trzeciorzędowéj formacyi w Szwajcaryi znakomity botanik Oswald Heer (2). Obaj ci uczeni przedstawili nam ówczesne królestwo roślin w nadzwyczaj powabnych obrazach. Z drobnych szczątków udało im się odtworzyć wspaniały świat, zaludniony krzewami i drzewami, które dziś już w naszym nie rosną klimacie, ale daleko na południe się posunęły. Ówczesny ląd stały Europy, który przedstawiał się w kształcie wielkiego archipelagu wysp, oblanych różnemi morzami, pokryty był nadzwyczaj bujną roślinnością. Palmy królowały nad lasami cedrów, tuje afrykańskie rosły wespół z laurami i drzewami kamforowemi, rozłożyste dęby roztaczały swe konary nad gęstwiną paproci, banany, katalpy i magnolie kąpały swe rozłożyste liście w wodach wielkich wewnętrznych jezior. Co dziś tylko w gorących rośnie strefach, zdobiło niegdy oblicze prastaréj naszéj Europy. Klimat oczywiście był o wiele łagodniejszy od dzisiejszego, skoro taka roślinność panowała, jaka się dziś znajduje w Japonii, w Gujanie lub Australii.

Tenże sam profesor Heer położył wielkie dla nauki zasługi, zbadawszy florę trzeciorzędową w Portugalii na podstawie tych drobnych szczątków kopalnych roślin i listków, które pozbierał w czasie swych poszukiwań Ribeiro i które posłał do zdeterminowania uczonemu botanikowi w Zurichu. Na pierwszém z posiedzeń kongresu odczytano pracę profesora Heera, który osobiście nie mógł uczestniczyć w obradach zjazdu. Badanie znakomitego botanika przedstawia niezwykły interes. Wiąże się ono ściśle pod względem swego rezultatu z wynikami poprzednich badań, stwierdza spostrzeżenia i co do Portugalii, rozszerza i uogólnia wnioski dawniejszych poszukiwań. Łączy się ono nie mniéj blisko ze sprawą trzeciorzędowego człowieka.

Miał sobie prof. Heer przysłanych 36 rodzajów różnych roślin do zbadania, które znaleziono w trzeciorzędowéj formacyi tam, gdzie się krzemienie łupane znajdowały, owe krzemienie jakoby ręką ludzką obrobione. Z różnych miejscowości mniéj więcéj pod 39^0 szerokości północnéj położonych, pochodzą owe rośliny—a mianowicie w odległości na wschód od Lizbony o 8 do 10 mil z Azambujy, z Bacalhao, z Campo Grande i Portelli. Z Azambuji przesłano 14 egzemplarzy, które Heer jak najdokładniéj zdeterminował. Najwięcéj było

(1) La flore tertiare de la Suisse Winterthur 1855.

(2) Le climat et la végétation du pays tertiare trad. Gaudv Geneve 1861.

tam listków topolowych, *populus mutabilis*, *populus balsamoides*, *populus glandulifera*. Pierwsza z nich mało co różni się od naszéj topoli euphratica, która się dziś tylko w Egipcie i w Algieryi znajduje, a któréj przodek kiedyś w Europie stale przebywał. Te same rodzaje topoli znajdowano również w miocenicznych pokładach w górnych warstwach w Szwajcaryi i w południowych Niemczech. Prócz tych drzew ukazują się w Portugalii w owych miejscowościach ślady *juglans bilinica*, *panax circularis*, *podocarpus tocenica*. Wreszcie znaleziono liść drzewa kamforowego, liść cinamomum polymorphum, które w sposób tak wybitny znamionuje wszędzie w Europie środkowéj i w Europie południowéj epokę mioceniczną. Z powyższych szczątków roślinnych wnioskuje więc prof. Heer, że pokłady, w których je znaleziono, około miejscowości Azambuja, należą do miocenu górnego, oraz że takowe powstały w tym samym okresie co margle wapieniste w Oeningen w Szwajcaryi i warstwy gipsowe w górnych Włoszech, w Stradelli i w Sinigalii. Kopalne szczątki zwierząt, znalezione w téj saméj okolicy *rhinoceros minutus*, *hipparion gracile*, rozpowszechnionych bardzo w miocenie górnym zdają się najzupełniéj stwierdzać wnioski Heera oparte na szczątkach kopalnych ze świata roślinnego.

Z drugiéj miejscowości Bacalhao około Lizbony zebrano 15 roślin. Przedstawia się według nich odmienny nieco widok. Topole, które obfitowały w Azambuja, już tu znikają zupełnie, naprowadzając nas na domysł, że istnieć tam musiało obszerne jezioro albo wielka rzeka, która dostarczała tyle wilgoci dla korzeni topoli szukającéj zwykle mokrego gruntu. Natomiast ukazuje się w Bacalhao wiąz, a zwłaszcza jeden jego rodzaj, *ulmus plurinervia*, który swém liściem ząbkowanym w prosty sposób różni się od wszystkich innych współczesnych dziś wiązów w Europie. Nie brakło i tu charakterystycznego drzewa, *cinamonum pedunculatum*, o liściach błyszczących i wiecznie zielonych. Najwięcéj jednak zasługuje na uwagę obecność eukalyptu, *eucalyptus oceanica*, drzewa, które jak wiadomo, rośnie dziś swobodnie w Japonii, w Egipcie, a w Europie udaje się tylko w południowym pasie. Ten sam eukalyptus znajdowano w pokładach miocenu niższego czyli dolnego w Szwajcaryi, w Niemczech, Austryi i Włoszech. Opierając się na tych tedy wskazówkach wnosi prof. Heer, że pokłady około Bacalhao należą pod koniec epoki miocenicznéj górnéj tj. do okresu, który łączy miocen z pliocenem i który też niekiedy nazywają geologowie mio-plioceniczným.

W Campo Grande występuje na jaw rodzaj drzewa, który obecnie tylko rośnie w Japonii i na Himalayi. Jest to rzadka bardzo skimnia, prawdopodobnie drzewo o liściach połyskliwych, łykowatych,

które się odznaczały ogonkiem twardym i krótkim i przytém małemi centkami pochodzącemi zapewnie od ukąszenia lub zagnieżdżenia się owadów.

W ogóle badania prof. Heera przekonywają, że z liczby 36 roślin trzeciorzędowéj formacyi znalezionych w Portugalii, 25 znajduje się i w innych częściach Europy, a 24 z nich spotykają się w pokładach miocenu górnego. Posiada Portugalia 22 rodzaje wspólnie z florą molasyczną górną Szwajcaryi, a mianowicie z miejscowością Oeningen ośmnaście. Z liczby jéj roslin 14 znachodzą badacze w pokładach gliniastych Val d'Arno, które pochodzą z końcowéj epoki miocenu a 12 w warstwach gipsowych Sinigalii. Z drugiéj zaś strony można zauważyć 16 rodzajów spotykanych w pokładach miocenu średniego i miocenu dolnego i należą one do liczby dość znacznéj roślin miocenicznych, które przetrwały aż do początku pliocenu a nawet jeszcze w téj ostatniéj występują formacyi. W ogóle Portugalia posiada 13 rodzajów tych samych, jakie odszukano w pliocenie Włoch i Francyi, z których 11 ściśléj odnosi się do Val d'Arno, podczas gdy jeden rodzaj—alnus stenophylla, dotychczas tylko została znaleziona we Francyi.

Jeżeli dziwném wydać się może, że Portugalia tak mało wspólnych posiada roślin z Francyą, to okoliczność tę należy sobie tak tłómaczyć, że z uczonych prac margrabiego Saporty znamy świat rośliny Francyi tylko z epoki eocenu, miocenu dolnego i pliocenu; nie znamy zaś żadnych szczątków, któreby nam określiły stan roślinności w miocenie górnym, w tym pokładzie, który się ukazuje w Szwajcaryi w Oeningen.

Dostarczone więc przez pana Ribeiro rośliny stanowią nadzwyczaj ważny dla paleontologii materyał. One pozwoliły uzupełnić szczerbę między miocenem średnim i pliocenem, szczerbę, która dotychczas istniała, przynajmniéj po za Szwajcaryą i którą co do innych krajów uzupełnią z czasem dalsze szczęśliwe odkrycia. Prawdopodobnie morze w owym okresie sięgało aż do brzegów doliny—Val d'Arno i zalewało równinę rzeki Po; ale ustąpiło ono już ze środkowéj Europy, a Francya tudzież Hiszpania tworzyły część lądu stałego Europy, pokrytego bujną roślinnością, jak świadczą właśnie odszukane ślady flory kopalnéj w Portugalii. Wiele z drzew podrównikowych ustąpiło wtedy z Europy i mniéj ich było o liściach wiecznie zielonych niż w epoce eocenu i miocenu dolnego, co wskazywać się zdaje, że w owym czasie nastąpiło już niejakie obniżenie temperatury. Z tém wszystkiém jednak w okresie miocenu górnego bogata roślinność pokrywała oblicze ziemi. Jeszcze palmy roztaczały swe wspaniałe korony, wiecznie zielone laury ubierały pola, gaje

akacyi, fig i drzew kamforowych nadawały krajobrazowi charakter podzwrotnikowéj okolicy.

Oczywiście że taka wspaniała roślinność mogła istnieć i rozwijać się tylko wśród nieustannéj wiosny, wiecznego lata. Temperatura środkowéj Europy musiała być znacznie wyższą od dzisiejszéj a gorąca, dla nas przynajmniéj z północy, Portugalia, jeszcze gorętszym cieszyła się klimatem. Obliczają średnią jéj temperaturę w epoce miocenu górnego na 20° R.

Jeżeli tedy tak sprzyjające dla rozwoju życia organicznego w ogóle istniały warunki w ówczesnéj formacyi geologicznéj, jak tego dowodzą wyniki badań profesora Heera, a podawać je w wątpliwość nie ma żadnego powodu, to hipoteza o człowieku trzeciorzędowym ma z przed siebie usuniętą pierwszą przeszkodę, jakaby w umyśle ścisłego badacza powstać w kształcie zapytania mogła, co do możności istnienia człowieka wśród danych okoliczności zewnętrznych. Na gruncie tak przygotowanym, tak ustalonym, można już jak na niewzruszonéj podstawie wznosić gmach przypuszczeń prawdopodobnych. Nawet trzeba wyznać, że te właśnie warunki zewnętrzne klimatu w epoce trzeciorzędowéj zachęcają do wysnuwania daléj wątku śmiałéj hypotezy. One poniekąd zdradziecką stanowią pokusę. Bo jeżeli niezbite są już dowody stwierdzające istnienie człowieka w okresie czwartorzędowym, albo raczéj w téj uprzedniéj dobie okresu, kiedy pod wpływem wielkich lodowców obniżyła się ogromnie temperatura Europy (1), to z niejaką słusznością pytać się można, azali niemowlęctwo rodu ludzkiego przypadło właśnie w okresie najmniéj sprzyjającym rozwojowi człowieka, otoczonego zewsząd groźnemi niebezpieczeństwy? Nie należyć raczéj przypuścić, że człowiek bezbronny i nagi rozpoczął epokę swego istnienia na łonie właśnie natury miękkiéj, ciepłéj, bogatéj, wśród klimatu, który nagości jego pobłażał, wśród obfitości owoców, które z łatwością pozwalały podtrzymać życie? W téj właśnie epoce raj ziemski nie w jedném zamykał się tylko miejscu, ale był tak rozległy, że całą niemal ówczesną Europę obejmował.

Możemy więc sprawę uważać za rozstrzygniętą *in potentia*. Jestże li ona już pewną *in actu*? Miały to stwierdzić i mają tego dowodzić znalezione przez pana Ribeiro krzemienie w miejscowościach mniéj więcéj tych samych, a przynajmniéj w niewielkiéj odległości od miejsc, zkąd pochodzą zdeterminowane przez profesoro Heera listki

(1) Trzymam się w tym względzie co do okresu lodowego teoryi Lyella L'ancienneté de l'homme Paris 1870. 231 fln.

czy rośliny. Tu jednak co do téj sprawy zachodzić się zdają pewne wątpliwości. Przedewszystkiém, według metody ścisłego badania naukowego trzeba przekonać, że pokład nietknięty, nienaruszony ani sztucznie ani drogą naturalną, należy do miocenu górnego i trzeciorzędową stanowi formacyą. Chodzi tu o stronę, że tak powiem, geograficzną samego zdarzenia.

Pan Ribeiro na jedném z najpierwszych posiedzeń wyłuszczył w tym względzie swe zdanie, wzywając geologów, aby udawszy się na miejsce do wsi Otta i Azambuja, sprawdzili słuszność i zasadność jego zapatrywań.

Tu właśnie o sprawę geologiczną opiera się cała trudność i cała zagadka. Trzeba zaś nadmienić, że pierwiastkowo tak biegły jak Ribeiro geolog uważał te formacye za czwarto-rzędowe. Obecnie jednak uzasadnia szczegółowo swe zapatrywania następującém rozumowaniem. W mioceniczným okresie przestrzenie Portugalii środkowéj były zalane wodami jezior i oceanu. Pokłady téj epoki powstawały wśród wstrząśnień lokalnych ale gwałtownych, które nie sprzyjały rozwojowi życia. Wybuchy silne bazaltowe, których ślady dziś jeszcze spotykają się około Lizbony, poprzedziły formowanie się miocenu. Przedarły one powłokę drugorzędową kredy i sprowadziły wielką na powierzchni dyslokacyą. Zjawisko to odbyło się po przez wody wielkiego jeziora, ale w czasie trwania tych wybuchów były przerwy względnego spokoju, które dozwoliły rozwinąć się życiu organicznemu zwierząt, jakie znaleziono właśnie w pokładach glinki czerwonéj, rozłożonéj pośród bazaltowéj powłoki—a szczególniéj szczątki muszli kopalnych z wody słodkiéj. Kiedy osłabła siła wulkaniczna, pokłady konglomeratu żwiru z gliny mioceniczněj zsunęły się na dno jeziora, ale siła wulkaniczna nie ustała nagle—owszem działała jeszcze ciągle pośrednio lub bezpośrednio podczas osadzania się tych pokładów, jak przekonać się można o tém na całéj linii od Lizbony aż do St. Antonio do Tojal. Te wstrząśnienia gruntu i pokładów zawisłe od wzmiankowanych wybuchów nie dały się uczuć na dalszéj i odleglejszéj przestrzeni. Tym sposobem tłómaczy sobie Ribeiro, że po za Lizboną (około Alemquer na wschód) osiedli w spokojniejszém miejscu ludzie, co po sobie owe krzemienie łupane zostawili. Określając charakter tych pokładów trzeciorzędowych, objaśnia geolog portugalski, że to są warstwy wapienia białego piaszczystego, mające niekiedy od 50—100 metrów wysokości, przykryte w dalszych miejscowościach piaskami plioceniczněmi. Uważa więc, że warstwy miocenu są tu zamknięte między formacyą drugorzędową a formacyą plioceniczną ciągnąca się w pobliżu brzegów rzeki Tagu.

Pod względem paleontologicznym jaśniéj, dowodniéj ukazują się te warstwy, zawierając w sobie, według determinacyi pana Gaudry, takie kopalne zwierzęta jak *sus provincialis*, *rhinoceros minutus*, *antilope recticornis*, *hipparion gracile* i *mastodon angustidens*.

Wycieczka przedsięwzięta do dwóch miejscowości Otta i Azambuja, gdzie znaleziono w mowie będące krzemienie, miała dać geologom sposobność sprawdzenia twierdzeń geologicznych pana Ribeiro (1). Nie ziściły się jednak nadzieje. Badacze tacy jak Cotteau, Copellini, Vilanova co do zdań swoich się różnili. Dziś mamy pod ręką ciekawe bardzo badanie szwajcarskiego geologa pana Choffat, który w czasopiśmie Archives des Sciences physiques et naturelles (2) umieścił rezultat swoich poszukiwań, niebawem z tegoż powodu uczynionych na gruncie po zamknięciu kongresu. Pan Choffat stwierdzając zupełnie zasadność wniosków swego poprzednika, wyprowadza tém samém kwestyą na więcéj utorowaną drogę. W zgodności spostrzeżeń i wywodów drugiego specyalisty, tkwi poniekąd już dla nas—niespecyalistów, rękojmia, że i pierwszego obserwacye polegają na dość uzasadnionéj podstawie. Zbadawszy sztuczny przekop, zrobiony z dwóch stron pagórka Archino niedaleko Monte Redondo, gdzie krzemienie były znalezione, na wysokości 70^{m} , przekonał się, że pokłady ze szczątkami kopalnemi są co do wieku ich w zupełnéj zgodzie z konglomeratami miocenicznemi, że te warstwy spoczywają nietylko nad konglomeratami, ale są między nie niejako wtłoczone. Do tegoż samego poziomu geologicznego odnosi téż podobne warstwy marglu, zauważone przez pana Ribeiro około Azambuja, miejscowości, któréj florę kopalną tak znakomicie przed oczami uczonego świata odsłonił profesor Heer. Wreszcie wskazując, że owe pokłady miocenu spoczywają na warstwach bazaltu, i że flora ich odpowiada florze znalezionéj w Azambuja, bardzo blisko leżącéj miejscowości, uważa wnioski geologa portugalskiego za uzasadnione i stwierdza rodowód oraz metrykę owych krzemieni, znalezionych właśnie w tym miocenie. Jako geolog, który od tylu lat bawiąc przez czas zimowy w Lizbonie, miał sposobność poznania jéj okolic, dodaje jeszcze od siebie, że w podobnych warstwach około stolicy znachodzi się taki sam rodzaj krzemieni, do jakiego należą krzemienie i kwarcyty znalezione około Monte Redondo, w trzeciorzędowéj formacyi miocenu.

O ich kształcie, nadanym jakoby ręką ludzką, nie wypowiada pan Choffat swego zdania, mówi o nich tylko pod względem ścisłego powinowactwa mineralogicznego. Jeżeli przeto można polegać na

(1) Zob. szczegóły w książce Portugalia, str. 64.

(2) L'homme tertiaire en Portugal. Genève. T. IV. Nr. 12 str. 537 i n.

wnioskach obu powołanych geologów, byłaby usunięta już druga wątpliwość, czyli byłaby stwierdzona ta okoliczność, iż owe krzemienie ściśle należą do téj saméj epoki jak flora opisana przez Heera, czyli że są rówieśnikami owéj bujnéj roślinności, kiedy równinę Tagu zalegały gaje palmowe, a słońce podzwrotnikowe pobudzało do olbrzymiego wzrostu banany, magnolie, laury i t. p.

Po tych dwóch próbach, jakie przebyła szczęśliwie sprawa w mowie będąca, potrzeba, aby zwycięzko wyszła jeszcze z trzeciéj, najcięższéj, Skoro wytrzyma tę ostatnią, ogniową, czeka ją wygrana jak tych, którzy podobnym sposobem na ordaliach przekonywali o swéj niewinności.

Czém są krzemienie i kwarcyty, które przedstawia pan Ribeiro w liczbie kilkunastu, wydając je za utwory ręki ludzkiéj? Bo jeżeli one istotnie noszą na sobie ślady umyślnego obrobienia i przygotowania, to po wszystkiém, co się wyżéj powiedziało, nie pozostaje nic innego, jeno kapitulować na rzecz trzeciorzędowego człowieka. Tu zatem ostatnia już jest twierdza, po za którą jeszcze oszańcować się mogą ci, którzyby niechętnie poddać się chcieli natarczywości panów Bourgeois, Hamy, Mortilleta, Ribeira i innych.

Krzemienie lizbońskie, jeśli je tak nazwać można nazwą ogólniejszą, przedstawiają się na pozór dość przychylnie dla teoryi właśnie głoszonéj obecnie co do człowieka miocenicznego. Łatwo téż one mogą w błąd wprowadzić badacza. Bo między niemi a krzemieniami z Thenay, na których gruntował swe wnioski Bourgeois, zachodzi wielka różnica. Krzemienie z Thenay są drobne, za drobne, jak się już wyżéj powiedziało, w stosunku do pierwotnego człowieka; krzemienie zaś lizbońskie właśnie spore, niektóre wielkości pięści ludzkiéj lub nawet większe, mają wszelkie pozory przemawiające za tém, że służyły za narzędzia istocie, która stawiała dopiéro pierwsze kroki na drodze pierwotnéj sztuki obrabiania krzemieni. A te ułudne pozory tak niekiedy są łudzące, że zacierają zupełnie i całkowicie wszelką granicę między sztuką w ogóle a przypadkiem. Wpatrując się pilnie w taki krzemień, rzekniesz po chwili namysłu — a toć to pierwotny nóż — oto jego ostrze; a po dłuższéj jednak chwili zawachasz się i pytasz – ażali to nie przypadek, gra natury?

Jak więc odróżnić przypadek od sztuki?

Wielokrotne i wielorakie próby oraz doświadczenia archeologów, którzy poddawali krzemienie wszelkiego rodzaju działaniom ognia, wody, sił mechanicznych, parciu, uderzaniu przekonały, że na powierzchni krzemienia, z którego odłupuje uderzająca weń ręka ludzka mniéj lub więcéj grube warstwy, tworzy się poniżéj miejsca uderzenia guziełek (bulbe de pércussion) a nad guziełkiem mała ścianka

niekiedy lśniąca, którą z francuzka fasetą (facette) nazywają. Na kilku krzemieniach i kwarcytach lizbońskich ukazują się istotnie podobne guziełki, które powstały prawdopodobnie w skutek odłupywania pewnych warstw od samego rdzenia czyli nucleus'a.

Ale przyjmując za rzecz pewną te guziełki, możnaż mieć to przekonanie, że powstały one w skutek odłupywania warstw krzemienia ręką ludzką? Możnaż wyłączyć w tym razie wszelki wypadek lub inne przygodne okoliczności? Sprawa cała staje na ostrzu--jak mówią miecza. Możnaż tedy hypotezę tak wielką, tak doniosłą, jak jest usunięcie w tył, w głębie trzeciorzędowéj formacyi początku cywilizacyi rodu ludzkiego,—oprzéć na kruchéj podstawie guziełka krzemiennego?

Zdaje się, że oględność, tak niezbędna, tak konieczna w podobnych sprawach radzi nie wyciągać zbyt pośpiesznych wniosków ze spostrzeżeń tak mało jeszcze ugruntowanych. Są to niezawodnie poszlaki. Nauka lekceważyć ich nie będzie, ale z drugiéj atoli strony strzedz się powinna przyjmować za dowód to, co dotychczas tylko jest poszlaką.

Ileż to już pośpiesznych wniosków obaliła trzeźwiejsza krytyka nawet w zakresie archeologii przedziejowéj! Ileż to śmiałych przypuszczeń oparto w r. 1867 na podstawie owéj kości *haliterium*, którą Delaunay znalazł w departamencie Maine i Loire i na któréj dostrzegł śladów nacięć porobionych ręką jakoby ludzką, a później okazało się najdowodniéj; że to były ślady zębu rodzaju rekina olbrzymiego *carcordon megalodon* (1).

Czegoż więc potrzeba, aby pewniejsze można było wysnuć wnioski co do trzeciorzędowego człowieka, zapyta ciekawy czytelnik. Trzebaby kości samego człowieka, szkieletu, czaszki?

A jestże prawdopodobieństwo, że je kiedykolwiek znaleść będzie można?

W proroctwa bawić się nie myślimy, wolno jednak wypowiedzieć nadzieję, a raczéj zdanie, że takie przypuszczenie do mrzonek chyba nie należy.

Kilkanaście lat temu rozeszła się w dziennikach poświęconych antropologii wiadomość niesłychanie ciekawa, że niejaki p. Whitney dyrektor robót górniczych w Kalifornii, znalazł czaszkę ludzką w głębokości 40 metrów w pokładzie złotonośnego piasku w Kalifornii w hrabstwie Calaveras obok innych kości zwierząt, świadczących o epoce pliocenicznéj. Ożywiły się w Europie nadzieje otrzymania

---

(1) Congrès d'anthrop. de Bruxelles 1872.

dowodów tak niezbitych. Wyrazicielem tych nadziei stał się Desor, który z panem Whitney zawiązał stosunki listowne (1). Na wiarę słów Amerykanina (2) wysnuto śmiało wątek hypotezy, która runęła niedawno, kiedy się dowiedziano ostatecznie, że nie on sam Whitney znalazł owę czaszkę, ale że mu ją ofiarował właściciel kopalni, który nie potrafił dokładnie podać wiarogodnéj metryki swego wykopaliska (3). Oczywiście, że na takich kruchych podstawach ścisła nauka nie może budować swych wniosków.

Pomijając jednak ten wypadek, zauważyć należy, że rozległe kraje Azyi, Afryki i Ameryki, szczególniéj Azyi, téj prastaréj kolebki rodu ludzkiego, jeszcze bardzo mało są zbadane. Kryją się zapewnie w jéj łonie nieocenione dla nauki bogactwa. Szczęśliwy traf, któremu ludzkość niejedno już zawdzięcza odkrycie, może wyprowadzi na jaw dowody oczywistsze niż te, na jakich się dziś tylko przypuszczenie opiera.

Między antropologami więc utrzymuje się nadzieja, że z czasem poszlaki doprowadzą do dowodu niezbitego, jakim będzie czaszka, szkielet, znaleziony w pokładzie miocenu. Czy zasadna ta nadzieja,— przyszłość to pokaże.

A. Pawiński.

---

(1) L'homme pliocène de la Californie Nice 1879.

(2) Whitney. The auriferous gravels of the Sierra Nevada de California Cambridge 1870.

(3) Donosi o tém treściwie Nadaillac w najświeższém swém dziele: Les premiers hommes Paris 1881 vol. 2.438.

NOWE POGLĄDY NA HISTORYĄ POLSKI.

Szujski. Historyi polskiéj treściwie opowiedzianéj ksiąg dwanaście — Warszawa 1880.—Bobrzyński. Dzieje Polski w zarysie.—Drugie znacznie zwiększone wydanie, tomów 2. Warszawa 1880 i 1881.

Dzieje Polski zawsze jeszcze oczekują na historyka. Odkąd pióro wypadło z obezwładnionéj tłumioną rozpaczą ręki Naruszewicza; odkąd dzieło, za inicyatywą i usilném staraniem Stanisława Augusta przedsięwzięte, a w myśli tego króla mające stanowić jeden z najważniejszych pomników literackich, chlubę jego panowaniu przynoszących, niedokończoném pozostało, nikt już więcéj niepokusił się na taką, szerszego pokroju, pracę, któraby nam w rozległym obrazie, wszystkie w danym czasie dostępne źródła, krytycznie wyczerpującym, dzieje narodowe w całości przedstawiła. A jednak niebrakło u nas zdolnych, pracowitych i zamiłowanych w dziejach badaczy. Usiłowania wszystkich atoli zwrócone były dotąd, czy to, jak w odleglejszych już cokolwiek czasach, na skrzętne wyszukiwanie najdawniejszych pomników, oraz mozolne i na dziwacznych często hipotezach oparte dociekanie początków narodu i państwa polskiego, w czém całe pokolenie historyków za obowiązek niejako uważało w ślady patryarchy Lelewela podążać; czyli znowu jak w czasach następnych i bliższych, owocem pracy były szczegółowo i źródłowo obrobione zarysy oddzielnych momentów dziejowych lub téż charakterystyki osobistości historycznych. Jeżeli zaś, od czasu do czasu, ku zaspokojeniu koniecznéj potrzeby społeczeństwa, pojawiało się dzieło całość historyi krajowéj obejmujące, to mimo zdolności i zasługi autorów, zachowywało ono nieodmiennie prawie cechę mniéj lub więcéj obszernego streszczenia, poprzestawało na suchem wyliczeniu faktów, prostém wymienianiu lub powierzchowném bardzo scharakteryzowaniu osób działających. Historyi we właściwém tego słowa znaczeniu, odpowie-

dniéj zwłaszcza potrzebie dzisiejszego czasu, pragnący gruntownie poznać przeszłość krajową w całej rozciągłości, oświecony ogół nasz dotąd nieposiada.

Nie idzie tu bezwątpienia o dalsze prowadzenie przerwanéj pracy biskupa Łuckiego; wymaganiom tegoczesnego społeczeństwa już by to nieodpowiadało. Z upływem czasu źródla znacznie się pomnożyły, metody badania uległy pewnéj zmianie, sposób przedstawiania rzeczy zwłaszcza zupełnemu uległ przekształceniu.

Czytająca publiczność, zaprawiona na barwnych obrazach Szajnochy, które skwapliwie z łatwém do pojęcia upodobaniem do rąk chwytała, poprzestać nierada na najsumienniejszém chociażby i najbardziéj krytycznie obrobionėm zszeregowaniu faktów, lecz słusznie pożąda plastycznego uprzytomnienia minionéj przeszłości, wskrzeszenia niejako przed jéj oczami zniknych z widowni świata pokoleń, pragnie odetchnąć na chwilę życiem dawnych wieków, wejrzéć w głębie serc, przeniknąć tajniki myśli owych ludzi, których, czasem oddalone od nas losy i koleje tak silnie i żywo rozbudzają nasze uczucia, których pomysły i działania tak stanowczo i nieprzeparcie wpłynęły na los i położenie dzisiejszych ich potomków.

— Niezależnie od tego i zgodnie z kierunkiem myśli naszéj epoki, badającéj z zamiłowaniem urządzenia społeczne, uwaga ogólna zwracała się usilniéj, z coraz bardziéj poważną i natężoną ciekawością ku dawnym instytucyom Rzeczypospolitéj, niezadawalniając się rozpowszechnionémi i z dawna ustalonémi o nich wyobrażeniami. Chcianoby wiedziéć coś więcéj o ich istocie i znaczeniu, zapoznać się bliżéj i dokładniéj z ich początkami, sposobem wytwarzania i stopniowego rozwoju, oraz rzeczywistym, chłodno i bez uprzedzeń, rozumowo, z ścisłością naukową niejako ocenionym ich wpływem na dzieje i losy narodu.

Nareszcie i w bliskim związku z poprzednią kwestyą, nieprzestaje zaprzątać umysłów tylokrotnie już podejmowane i obrabiane, od stu lat przeszło nie schodzące prawie z porządku dziennego rozpraw, rozpamiętywań i wyrokowań, a jednak dostatecznie, racyonalnie i z całą ścisłością nierozstrzygnięte, owszem dusze nasze ciągle dręczące, zagadnienie o istotnych rzeczywistych przyczynach upadku Rzeczypospolitéj, o względnéj ważności i doniosłości tych przyczyn, o mniéj lub więcéj bezpośredniém i koniecznėm oddziaływaniu czynników, które ten upadek sprowadziły.

Pod dwoma ostatniémi względami dostarczają publiczności naszéj wskazówek i zapatrywań, na gruntownych badaniach i rozległym materyale źródłowym opartych, a silnie motywowanych, ogło-

szone niedawno prace dwóch profesorów uniwersytetu Krakowskiego, pp. Szujskiego i Bobrzyńskiego, z których jedna, wychodząca z pod pióra znanego już powszechnie pracownika na niwie historyi kraju naszego, jest powtórzeniem czy streszczeniem wykładów publicznych, druga zaś, dzieło młodszego i mniéj dotąd popularnego autora, jasnym swym wykładem i dobitném a bezwzględném wypowiedzeniem przekonań, tak silne obudziła zajęcie i wrażenie sprawiła, że pierwsze wydanie książki wkrótce wyczerpaném zostało, obecnie zaś mamy przed sobą drugą, ważnemi uzupełnieniami opatrzoną, jéj edycyę. Obaj zaś, lubo różnią się w sposobie przedstawiania rzeczy, oraz w niektórych ważnych szczególach swéj argumentacyi, przecież jedną zachowują myśl przewodnią, i można powiedziéć, że w gruncie i zasadniczo jedną przejęci są dążnością, jednakim a wiele odrębnym od najpopularniejszych dotychczas hołdują poglądom, przeto za najwybitniejszych reprezentantów nowéj w tych czasach pojawiającéj się szkoły historycznéj mogą być poczytani.

Obaj autorowie niemieli wprawdzie zamiaru zajmować sie wyłącznie tą filozoficzno-historyczną stroną przedmiotu, jak to zresztą tytuł i treść ich książek wskazują, pragnęli owszem dać publiczności naszéj możliwie najwyrazistszy w najciaśniejszych ramach obraz całości dziejów polskich, przyczem jednak p. Bobrzyński starał się wszędzie uwydatnić jak najsilniéj stosunki prawno-polityczne i onych następstwa, p. Szujski zaś troskliwszy w gromadzeniu i przytaczaniu faktów, niespuszcza przecież z oka sensu moralnego wydarzeń i krytyki ustaw zasadniczych.

Scharakteryzowanie téj najnowszéj szkoły dziejopisarstwa, któréj powstanie przypisać należy zbiegowi różnorodnych przyczyn i okoliczności, jednych trwałych i racyonalnych, drugich, zdaniem naszém, raczéj przechodnich i powierzchownych, niebyłoby wprawdzie trudném, skoro wymienieni autorowie zaraz na wstępie z przekonań swych, chęci i zapatrywań na zadania dzisiejsze historyi, przed czytelnikiem dość jasno się spowiadają, wszakże w tém miejscu od wskazania téj charakterystyki jeszcze się wstrzymujemy, zamiarem naszym bowiem jest, za pomocą obszerniejszego cokolwiek przedstawienia głównych rysów pomienionych prac, wyświetlić cechy i właściwości szkoły któréj one są znaczącą manifestacyą.

W niniejszém naszém badaniu pójdziemy więc w ślad za szanownownymi profesorami mając na względzie raczéj ich sąd o rzeczach i objawach dziejowych, ich zapatrywania przedewszystkiém na rozwój wewnętrznych stosunków, niż same fakta i wydarzenia niemające wyraźnego związku z kwestyami, które tu mamy na oku.

I.

Z punktu widzenia, który jak wyżéj powiedzieliśmy zająć tu pragniemy, to jest przy staraniu o uwydatnienie poglądów na wytwarzanie się instytucyi politycznych i organizacyi społeczeństwa, na oddziaływanie tychże i wyrabianie przez nie charakteru, a w dalszym skutku losów narodu, wreszcie na upadek państwa polskiego jako wynik konieczny błędów i wad zasadniczych w instytucyach jego i organizacyi, mniejszéj jest dla nas wagi sporna pomiędzy naszymi autorami kwestya względem podziału historyi Polskiéj na okresy. Jeżeli w ogólnym na szerokie rozmiary założonym obrazie historycznym, lub w dydaktycznym wykładzie, niezbędném jest oznaczenie większéj lub mniejszéj liczby wytycznych punktów schodzących się z najważniejszemi zwrotami w kierunku i rozwoju politycznym, umysłowym lub społecznym narodu poszczególnego lub całéj ludzkości, to na naszą obecném zadaniem ograniczoną potrzebę wystarczy rozróżnienie w dziejach Polski dwóch epok, z których pierwszą nazwalibyśmy *organiczną*, jako obejmującą czasy tworzenia, rozwijania się i umocniania, oraz doprowadzenia do stanowczego kształtu instytucyi politycznych, które nareszcie, skrystalizowane niejako, wytworzyły konstytucyę czyli ták zwane prawo powszechne Rzeczypospolitéj polskiéj i w następnych wiekach bez żadnéj prawie ważniejszéj zewnętrznéj zmiany całemu żywotowi jéj przewodniczyły;—drugą zaś epokę, którą może mianem *rozkładowéj* nazwaćby należało, cechuje, wzajemne oddziaływanie na dalszy przebieg losów narodu i państwa tejże nadanéj sobie przezeń organizacyi, tych przyjętych za podstawę życia politycznego ustaw. Punktem rozdziału obu tych epok czyli okresów, jest chwila ostatecznego uzupełnienia swobód i praw, stopniowo, a głównie w drugiéj połowie XIV-go wieku i przez cały wiek piętnasty, na korzyść naczelnéj warstwy społeczeństwa polskiego, zdobywanych. Wszyscy, zdaje się, zgodzić się na to muszą, że ugruntowanie i ustalenie stanowiska téj klasy narodu, która do końca bytu Rzeczypospolitéj najrozleglejszych używając przywilejów, przeważną część władzy politycznéj w rękach swych dzierżyć miała, że ustrój polityczny i społeczny, Polskę w dziejach nowożytnych cechujący, znalazły swoje urzeczywistnienie w trzech ważnych aktach, zapadłych przy końcu piętnastego i w pierwszych latach szesnastego stulecia a mianowicie w ustawie sejmu piotrkowskiego z r. 1496 w przywileju mielnickim z r. 1501 przedewszystkiém zaś w konstytucyi zasadniczéj sejmu zebranego w Radomiu w r. 1505.

W ciągu niniejszéj pracy zatrzymamy się z konieczności cokolwick dłużéj przy tych ustawach i zastanawiać się będziemy bardziéj

szczegółowo nad ich doniosłém dla całego przebiegu dziejów znaczeniem, przyczém, opierając się na znakomitym wykładzie obu uczonych profesorów, kilka własnych uwag dorzucić ośmielimy się. Tu zaś nadmienimy tylko, że naznaczony przez nas powyżéj punkt zwrotny dziejów, schodzi się o tyle z przyjętym przez p. Szujskiego w jego ostatniéj pracy podziałem, że z dwunastu ksiąg obejmujących cały wykład jego „treściwego opowiadania", pierwsze sześć zawierają dzieje wskazanéj przez nas epoki pierwszéj, następne sześć ksiąg, począwszy od wstąpienia na tron Zygmunta I do trzeciego rozbioru Polski, całą drugą epokę obejmują.

U p. Bobrzyńskiego zaś, dzielącego historyę Polski na trzy okresy, stosownie do zmieniającego się z biegiem wieków państwowego jéj ustroju, koniec drugiego okresu a początek trzeciego i ostatniego, przypada cokolwiek wcześniéj od naznaczonego przez nas punktu rozdziału epok, mianowicie z końcem panowania Kazimierza Jagiellończyka.

Przyjąwszy tedy ze względu na specyalny cel jakiśmy sobie postawili, wyżéj wspomniony podział na dwa główne okresy w historyi naszéj, śledzić będziemy i napotkamy rzeczywiście w każdym z nich odrębną kategoryę zjawisk, odmienną postać i zmieniony kierunek dziejowego ruchu i życia. Mianowicie w pierwszym okresie ujrzymy wychodzące z ducha narodowego, a poparte pomyślnemi okolicznościami, w miarę zaś powodzenia i częściowego zaspokojenia ciągle wzrastające usiłowania i zabiegi, pozyskania coraz szerszych swobód a wreszcie przeważnego udziału w prawodawstwie i władzy dla narodu, a przynajmniéj téj jego warstwy, która najwcześniéj przyszła do świadomości swych sił, która téż, zdobywszy sobie w końcu i stwierdziwszy w uroczystych ustawach trwałe rękojmie dla zyskanych praw politycznych, potrafiła zarazem na mocy tychże ustaw zaprowadzić organizacyę społeczną, zdającą się jak najlepiéj zabezpieczać używanie tych praw wraz z innemi niemałéj wagi korzyściami. W drugim znowu okresie przypatrywać się będziemy zastosowaniu tych ustaw i instytucyi w pełni rozwoju będących, stosunkom i ruchom przez nie utworzonym i wywołanym, pożytecznym i szkodliwym ich następstwom dla narodowéj pomyślności i potęgi; w szczególności zaś starać się będziemy wybadać, które mianowicie składowe ich żywioły, jakie zasady i na nich oparte praktyki, stały się pierwiastkiem rozkładowym i burzącym w organizmie narodowym i powodując ciężkie, nieuleczalne prawie zwichnięcie ustroju państwa, upadek jego sprowadzić musiały.

II.

Swobody, wolności, które, według nowszych poglądów, powstawały, wyrabiały się i coraz wyraźniejszych kształtów nabierały w Polsce w przeciągu wieków, dla panującéj niezbyt dawno jeszcze szkoły historycznéj istniały już w samém zaraniu dziejów naszych, owszem w pełnym, niczém niezmąconym blasku przyświecały zaczątkom państwa polskiego. Właściwe legendom idealizowanie zamierzchłych czasów przy daném, chwilowemi okolicznościami wywołaném, usposobieniu ogólném, wcisnęło się było do prac naukowych. Ze skąpych wiadomości jakie nas doszły o pierwotnych, patryarchalnych urządzeniach szczepów słowiańskich, wyprowadzono wówczas i obecnie wprost przeciwne wnioski. Najjaskrawszy reprezentant tak zwanéj szkoły Lelewela, Wróblewski (Koronowicz) dopatruje w pierwotnych już gminach lechickich najobszerniejszéj wolności, doskonałéj równości, a nietylko tego, bo nawet obieralności i wysoko przezeń cenionego prawa *liberum veto*. „Lecz że nic nie ma stałego pod słońcem“—jak się wyraża—nastąpiło skażenie téj pierwiastkowéj doskonałości, utracenie tego raju przedhistorycznego, choć nie tak zupełnie, aby się w dalszym przebiegu czasów i dziejów nie kuszono, z większém lub mniejszém powodzeniem o powrót do niego. Poważna nauka nie dająca się uwodzić gotowym teoryom i uczuciowym fantasmagoryom, nie zapatrzona jedynie w pewne właściwości rodzinnego kraju, lecz na tle ogólnéj historyi i w sposób krytyczny do wniosków swych dochodząca, zapewnia z p. Szujskim, iż „nowoczesne poszukiwania stwierdziły przedewszystkiem prawdę, że w odległéj starożytności między szczepami ludów aryjskich panuje podobieństwo wewnętrznych stosunków tém większe, im czasy dawniejsze, że stosunki wewnętrzne słowiańskie...“ gdy ludy te daleko dłużéj od innych w pierwotném stadyum się utrzymywały, do czasów znacznie mniéj odległych zatrzymały charakter patryarchalny, a w ustroju tym, jako pierwotnym, chociażby tu wrodzona łagodność słowiańska stłumiła w części dążenia despotyczne—i dodajmy od siebie, mimo istniejących tu w zarodzie, jak u wszystkich ludów europejskich, zamiłowaniu i potrzebie wolności,—niemniéj w owych odległych czasach z natury rzeczy i koniecznie wszystko się jeszcze korzyło przed siłą i powagą. Ztąd téż, gdy potrzeba wywołała ściślejsze kojarzenie się luźnych dotąd związków, z taką łatwością dokonało się opanowanie najwyższéj i nieograniczonéj nad niemi władzy przez jednego, siłę i powagę w niezwykłéj mierze posiadającego.

P. Bobrzyński, którego wykład wogóle niezmiernie jasny i łatwy, faktami nieprzeładowany, owszem z pomiędzy nich podnoszący

tylko najważniejsze, o głównym pochodzie dziejów a przedewszystkiém o rozwoju stosunków wewnętrznych stanowiące, którego przedstawienie rzeczy, mówimy, wielce przystępnemi i zrozumiałemi czyni, tak związek przyczynowy wydarzeń, jako téż sprowadzone przez nie i przez ludzkie konsekwentne działania, każdoczesne położenie i urządzenie społeczeństwa, już w tych mglistych prawie początkach wyraźnemi liniami nakreślą pierwsze utworzenie państwa Polskiego. Według autora, pierwotna gałąź *lechicka* Słowian, zamieszkała między Elbą a Wisłą, składała się z dziewięciu szczepów: nad Elbą siedzieli (idąc zawsze porządkiem od górnego ku dolnemu biegowi tych rzek) *Serbowie* (Łużyczanie), Lutycy, Obotryci; nad Odrą i jéj dopływami, wschodniemi: *Szlązacy*, Polanie, *Pomorzanie*; nad Wisłą: *Chrobaci*, *Mazury*, *Kujawiacy*. Każdy szczep dzielił się na liczne grupy, czy związki zwane *ludami* przez autora, częściéj zaś rodami; grupy z bliżéj sobie pokrewnych rodzin złożone, pokolenia niejako, które się patryarchalnie a odrębnie prawie jedno od drugiego rządziły, za pośrednictwem wieców, oraz starszyzny ludowéj, czy rodowéj, którą nierzadko uosabiał jeden zwierzchnik zwany *książęciem*. Pod naciskiem zaborczych Niemiec, zaczęły się ludy, a następnie szczepy bliżéj kojarzyć, główne jądro stanowił w samym środku leżący szczep Polan, u których jeden książe z rodu Piasta najprzód całym szczepem zawładnął, następnie i inne bliższe szczepy po kolei orężem pod swoje panowanie podbijał. Naczelnik nowo-powstałego i zaraz w swych początkach dość obszernego, bo trzy lub cztery silne szczepy obejmującego państwa, posiadł odrazu i bez trudności władzę nieograniczoną. Władza owa tém była rozleglejszą i silniéj ugruntowaną, że opierała się na własności ziemi, bo ta, podług twierdzenia autora, należała w całym obrębie państwa do monarchy, z wyjątkiem posiadłości ziemskich książąt ludowych, z których powstała szlachta w początkach bardzo liczna; z tego ostatniego względu mniemam, że do niéj należeć musieli, oprócz owych—książąt, jeszcze członkowie dawnéj starszyzny u poszczególnych ludów czy rodów. W kwestyi téj jednak nieco odmienne jest zdanie p. Szujskiego, który uczy, że książe, a względnie król był tylko „panem wszelkiéj *niezajętéj przez prywatnych*... ziemi;“ co zaś do szlachectwa, wywodzi początek jego i utrzymywanie się w rodzie jedynie ze służby wojennéj, odznaczenia się w téj służbie, opuszczenia rolniczego zajęcia dla wyłącznie wojennego, niewspominając o źródłach jego pierwotnych, utworzenie państwa poprzedzających. Z tych nieustalonych jeszcze pomiędzy naszymi uczonymi zapatrywań, łatwo przychodzi wywnioskować, jak dalece, pomimo usilnych i mozolnych a długoletnich prac i poszukiwań tylu badaczy, materyały dotychczas dostępne i z pomroki wie-

ków dobyte, dostarczyć zaledwo mogą wątku do mniéj lub więcéj (chociaż z dniem każdym więcéj) racyonalnych przypuszczeń, do bardzo ku rzeczywistości zbliżonych określeń, lecz pewników o najważniejszych choćby zarysach najdawniejszych naszych urządzeń wewnętrznych, nauce udzielić nie mogą. Oprócz własności ziemskiéj, potężniéj nawet od niéj, wspierało władzę monarszą tak zwane *prawo książęce*, które dotkliwie ciążyło na całéj ludności bez różnicy, a którego brzemie w miarę wzrostu dobrobytu i cywilizacyi coraz przykrzejszém i dla wielu nieznośniejszém stawać się musiało. Czy, pomimo tego wszystkiego, zwierzchnia władza w ręku pierwszych monarchów z rodu Piastów była rzeczywiście tak nieograniczoną, absolutną; jak to utrzymuje p. Bobrzyński? czy była taką np. jak władza królów francuskich w XVII i XVIII wieku? można mieć w tym względzie niejakie powątpiewania. Że tron był dziedzicznym, nie zaś elekcyjnym pod warunkiem obrania jednego z członków rodziny panującéj, jak to chce mieć dawniejsza szkoła historyczna, że król miał, czy przyznawał sobie prawo naznaczania swego następcy, co większa dzielenia państwa pomiędzy synów, na to się zgodzić musimy, że samoistnie stanowił i rozkazywał w kwestyi wojny i pokoju, że dowolnie i według uznanéj przez siebie potrzeby naznaczał i rozkładał ciężary odnoszące się do prawa książęcego, rozporządzał powinnościami, daninami i podatkami z mocy tegoż od całéj ludności płynącemi, zdaje się być dostatecznie udowodnioném. Lecz spuścić z uwagi nie należy, że taka rozciągłość władzy wywołaną i uwarunkowaną była wyższą nad wszystko potrzebą obrony zewnętrznéj, potężnego skupienia sił dla odporu, a w następstwie tegoż, jak to zwykle bywa i przy zdarzonéj sposobności, dla przejścia do działania zaczepnego i rozprzestrzenienia państwa, z czego wypływa, iż w téj epoce pierwotnéj, nie była zawsze jednakową, lecz zależała od większéj lub mniéjszéj w każdym czasie możności spełniania tych zadań, a tém samém i głównie, od osobistych przymiotów i zalet samych władców, tak, że z wszelką słusznością mniemać i twierdzić można, iż tylko dzielniejsi, energiczniejsi, duchem wyżsi pierwsi królowie, mocą okoliczności i za powszechném, milczącém uznaniem tak obszernéj i niczém niekrępowanéj władzy używali. Tym, bezwątpienia w niczém nie mogła zawadzać rada przyboczna, złożona z dostojników do niéj przez nich samych powołanych; lecz w czasach, w których prawo publiczne jasno i ściśle określoném nie było, w których ludzie, a zwłaszcza jednostki zdolnościami swemi na wierzch się dobywające nie były jeszcze tak wdrożone do uległości i posłuszeństwa, jak to późniéj w wielu krajach nastąpiło, rada ta i wogóle wszelkie odznaczające się umysłem lub położeniem społecznem osobistości nie omieszkały korzystać z każdéj

sposobności, aby, w obec słabszych monarchów, faktycznie większą lub mniejszą część władzy, w sposób—mniéj lub więcéj trwały, na rzecz swoją, a przez to samo na rzecz możnych wogóle zagarnąć. Przychodziło im to tem łatwiéj, że w owych czasach niewyrobiła się była ta ścisła organizacya, ta nowożytnym czasom właściwa hierarchia urzędnicza od samego panującego zależna, że owszem usiłowania takie mogły zawsze znaleść podstawę i podporę w utrzymanym z dawnych czasów samorządzie miejscowym, którego zresztą nie było czem zastąpić, w owych wiecach i obieralnych po opolach starszych, czy żupanach, sprawujących bezpośrednio opiekę i sądy nad ludnością właściwych okręgów.

Rządu despotycznego zresztą w ścisłém znaczeniu, na wzór istniejącego wówczas w cesarstwie bizantyńskiém, w tych wiekach nie było nigdzie więcéj w Europie, nie było przynajmniéj w tych krajach dokąd wpływ Wschodu bezpośrednio niedosięgał. Brakowało tam i brakować musiało dwóch niezbędnych warunków i podstaw do utrwalenia się téj formy rządu: silnie spojonéj i systematycznéj organizacyi zarządu, na którą młode ludy i państwa stać nie było i owéj całą istotę ludzką przejmującéj, religijnéj niemal bałwochwalczéj czci dla władzy, która jedynie pod niebem wschodniem się rodzi i bujnie kwitnie, chociaż zdarza się, że stamtąd dziejowemi prądami przeniesiona, w innych téż stronach na krótszy lub dłuższy żywot zaszczepić się zdoła. Ale p. Bobrzyńskiemu bardzo wiele zależy na téj absolutnéj władzy pierwszych piastów, władzy nietylko *de facto*, utrzymującéj się w ręku znakomitych monarchów, lecz także *de jure*. Jest on wielkim zwolennikiem despotyzmu — w przeszłości. Już w początkach swéj książki, gdy kreśli charakterystykę Słowian, ubolewa nad tém, że „niewyrobili w sobie Słowianie poszanowania prawa i despotycznéj władzy, nie mieli poczucia siły, jaką daje wewnętrzna karność i zgoda.“ Daléj trochę wspominając między innemi o Bulgarach, każe nam widzieć „silny naród i państwo tam, gdzie w skutek podboju dostała się do krwi słowiańskiéj przymieszka jakiejś krwi obcéj, pochopniejszéj do życia politycznego, do którego słowianie, w skutek tradycyjnéj swojéj niezgody i *przesadnego zamiłowania wolności* nie byli jeszcze dojrzeli.“ Lecz w niedalekiém sąsiedztwie znajdowały się żywioły od téj *przymieszki krwi obcéj* jeszcze skuteczniejsze: „*Cesarstwo bizantyjskie, jego kościół i prawo*,“ mówi autor w tym samym paragrafie „wobec Bulgarów i Rusi... wystąpiły jako czynnik wszystkie inne słowiańskie, a nawet skandynawskie przeważający... W XVIII wieku widzimy serbów zorganizowanych w państwo potężne, opierające się *na urządzeniach bizantyńskich*, zarówno pod względem kościelnym, jako też politycznym.“ Korzyści z téj

strony mogły się i daléj udzielać, bo nawet, według autora „cywilizacya wschodnia w ludach słowiańskich zachodnich... zapuściła głębsze, niezatarte jeszcze po kilku wiekach korzenie i *zbawienne wydała owoce.*“ Nieszczęściem „Dzikie hordy węgierskie.... przecięły *zbawienne* związki Słowian morawskich i czeskich z Carogrodem i oddały te ludy wyłącznemu wpływowi Niemiec.“

Ta uboczna rehabilitacya Bizantynizmu wydaje się nam trochę dziwną; z tém wszystkiém gotowiśmy przyznać, że ta słabostka do *minionego despotyzmu* nie wpływa bynajmniéj na przedstawienie rzeczy i na sąd autora o wydarzeniach, nie nadaje pracy jego tendencyjnego zabarwienia. Zamiłowanie prawdy, dążność szlachetna i ścisłość naukowa, wszędzie i stale w niéj się odbija.

Pierwsze wstrząśnięcie absolutyzmu monarchicznego i obudzenie idei wolności, upatruje też p. Bobrzyński dość wcześnie, bo już w fakcie pozbawienia tronu i wygnania Bolesława II po zabójstwie S. Stanisława, zaś „drugim słupem wytycznym“ tego samego kierunku nazywa „wiec łęczycki,“ na którym zebrani na naradę dostojnicy zmienili stanowczo porządek następstwa przez Bolesława III-go dla zwierzchniéj krakowskiéj dzielnicy ustanowiony i dopełniając obioru nowego władcy w osobie Kazimierza Sprawiedliwego, przelali na niego i jego potomstwo prawa służące przed tém starszym liniom piastowskim z pokrzywdzeniem praw senioratu natenczas Mieszkowi III przysługującego. Przy tym ostatnim fakcie nie może się nasz autor powstrzymać od wypowiedzenia swych właściwych upodobań i skłonności, „Spełniła się—mówi z nietajoném ubolewaniem—uchwała łęczyckiego wiecu, z którą reprezentant staréj piastowskiéj tradycyi przez całe życie rozpaczliwą prowadził walkę. Trudno, na tę nieugiętą, niezmordowaną postać Mieszka Starego, patrzyć bez głębokiego współczucia, trudno jednak niewidzieć, że zasada bezwzględnéj, patryarchalnéj władzy książęcéj, którą reprezentował, już się w narodzie przeżyła... Pod wpływem kościoła pod przewodem jego hierarchii budziło się do samoistności społeczeństwo. *Czy nie zanadto? czy nie zawcześnie?*“

Przewaga kościelnego wpływu, który we wspomnionych powyżéj wydarzeniach najczynniejszą odgrywał rolę, bo i wiec łęczycki był przedewszystkiém synodem, zgromadzeniem wszystkich biskupów ówczesnéj Polski, niechętnych Mieszkowi III—zamieszany w te sprawy *interes kościoła*, „który jako przedstawiciel cywilizacyi, tak moralnéj jak materyalnéj, musiał dążyć do osłabienia ciężkich i niedozwalających na rozwój prawdziwéj kultury praw książęcych, a wyłamując się sam z pod tych praw, utorował drogę innym stanom“—względy te każą się nieco inaczéj na ten zwrót zapatrywać p. Szujskiemu,

którego sposób ocenienia rzeczy w tym momencie dziejów dość dobrze objaśniają cytowane dopiéro jego wyrazy oraz dobitniéj jeszcze wypowiedziane następne zdanie, zamykające drugą księgę dzieła: „Kościół, jedyny czynnik zarówno intellektualnego i moralnego, jak i materyalnego postępu w owych czasach, *czynnik poczuwający się do wyłącznego zwierzchnictwa* w imię idei pokoju i doskonałości moralnéj, którą reprezentował, musiał się znaleść w przeciwieństwie z... wojennością książąt; dążył do ich określenia i osłabienia, do wolności dla siebie i wolności dla innych.., za pomocą wyjątków z pod prawa (książęcego), czyli tak zwanych uwolnień (immunitates).“

Możnaby w tém miejscu zrobić niejakie zastrzeżenie i wyrazić wątpliwość, czy to naprawdę wojenność książąt była głównym powodem przeciwieństw i walk dążących do uszczuplenia ich władzy. Zdawało by się przeciwnie, że monarchowie, którzy najwięcéj wojen prowadzili, jak Bolesław III, najmniéj doznawali oporu i prób osłabienia ich władzy ze strony tak duchownych jak i świeckich dostojników, czyli poczynającego się już tworzyć możnowładztwa, a nawet nie mogło być inaczéj z powodów łatwych do zrozumienia, bo dzielność i gotowość wojenna, była naówczas więcéj jak kiedykolwiek warunkiem i rękojmią istnienia państwa i społeczeństwa, bo wszelki opór w tych warunkach musiał być zarówno niebezpiecznym i bezskutecznym. Ale niemniéj pewném jest, że Kościół, który w średnich wiekach przyciągał i garnął ku sobie wszystkie najdzielniejsze siły i najinteligentniejsze jednostki, był i musiał być rzeczywiście „przedstawicielem cywilizacyi,“ a chcąc szerzyć „rozwój prawdziwéj kultury,“ musiał przy okolicznościach sprzyjających dać wyraz naturalnym aspiracyom ducha ludzkiego, dążyć do swobody, najprzód dla siebie, potem i dla innych, w tychże usiłowaniach z nim sprzymierzonych, czynników.

Zdobycze polityczne otrzymane stopniowo przez występujące na wierzch, za pomocą dobrobytu, wrodzonych zdolności i oświaty, warstwy społeczeństwa, nie doprowadziły jednakowoż w początkach do rezultatów, doniosłe i ogólniejsze dla dalszych dziejów i późniejszéj organizacyi znaczenie mających; przysposobiły chyba tylko pewne grupy do skutecznego, przy bardziéj sprzyjających okolicznościach wystąpienia. Bo jak na teraz okoliczności były niezmiernie ciężkie i smutne. Cały wiek XIII przedstawia nam w Polsce ponury obraz straszliwego zamętu i powszechnéj anarchii, w któréj wszystko nieustannie się miesza i potrąca wzajemnie, jakby na ruchoméj i wzburzonéj powierzchni morza, gdzie wśród ciągłych przewrotów i zmian, oko niedostrzega prawie stałego i jaśniejszego punktu na którym-by się zatrzymać mogło, gdzie chciwość władzy i nieposzano-

wanie prawa połączone ze słabością charakterów i miernotą umysłów cechującemi licznych, częściowych władców owoczesnych, wywołują tylko kolejno po sobie idące wzajemne gwałty i grabieże, niedopuszczające żadnego uporządkowania stosunków, gdzie wśród rozpasania poziomych namiętności, wyszłych z karbów żywiołów wewnętrznych a groźnych niebezpieczeństw zewnętrznych, rozbita już na szczątki nawa państwa zagrożoną jest co chwila ostatecznėm przez rozhukane fale pochłonięciem. Epoka ta, obfita w intrygi, podstępy, zdrady, tragiczne katastrofy, naznaczona w połowie swéj najtragiczniejszą ze wszystkich, doszczętném prawie spustoszeniem a w znacznéj części i wyludnieniem kraju lub rozproszeniem jego mieszkańców przez niedającą się tu jeszcze powstrzymać, do szalonego huraganu podobną nawałę tatarską, ku końcowi dopiéro pewne, rozmaicie ocenianéj wartości, zarody nowego, na odmiennych warunkach opartego życia przyjmuje i na jaw wyprowadza.

Nowa nasza szkoła historyczna, w pośród mnogich źródeł i opracowań w ostatnich czasach ogłoszonych, posilkuje się w znacznéj mierze, zwłaszcza dla dziejów i stosunków średniowiecznych polskich, pracami niektórych uczonych niemieckich, znakomitą edurycyą i bezstronnością się odznaczających, jak Roepell, Zeissberg, Caro. Nie pomylimy się zapewne wnioskując, że studyowanie tych prac dało pierwszy pochop, odmiennemu zupełnie od dotychczas przyjętego, ocenieniu faktu, cechującego rozwój naszych wewnętrznych stosunków, począwszy od drugiéj połowy XIII wieku, przypisaniu mu nawet przez p. Bobrzyńskiego tak doniosłego znaczenia, że od niego nowy okres historyi Polskiéj rozpoczyna. Mowa tu o kolonizacyi niemieckiéj i wprowadzeniu z jéj powodu prawa magdeburskiego. Nie chcemy przeczyć że, dobrze zważywszy okoliczności i położenie kraju, wśród których się ten ruch pojawił, pobudki kierujące jego inicyatorami, wyniki wreszcie objawiające się w szybkim zaludnieniu opustoszałych okolic, powstawaniu i podnoszeniu się miast i osad, dzielniejszem od razu wyzyskaniu przyrodzonych bogactw krajowych, wytworzeniu się przemysłu i handlu, że zważywszy to wszystko, napływ niemieckich osadników znaczne na razie, nietylko książętom, napływ ten popierającym i ułatwiającym, lecz i całemu krajowi korzyści przyniósł, i tu nieoglądając się wcale na dowodzenia niemieckich historyków, mogli nasi autorowie upatrzyć i podnieść dodatnią stronę owego społecznego zjawiska. Rozważając głębiéj cały stan rzeczy, nie można zaprzeczyć słuszności wyrazom p. Bobrzyńskiego, gdy mówi: „Wśród tego największego upadku, rozpoczął się jednak w Polsce, w każdéj dzielnicy z osobna, stanowczy zwrot ku lepszemu.... W samym kraju nie było na to sposobu, brakło rąk do

pracy, zerwały się węzły społeczne... Ratunek mógł tylko przyjść z zewnątrz, a zjawił się w postaci niemieckiéj kolonizacyi... był to środek niebezpieczny, obosieczny, który się mógł zupełną zagładą żywiołu polskiego, jak się to już działo na Szląsku, zakończyć. Ale nie było innéj drogi wyjścia...“ Czy jednak ta „przymieszka krwi obcéj“ uczyniła naród nasz „pochopniejszym do życia politycznego?“ Czy skutki tego zjawiska pośrednie i odleglejsze były pod względem politycznym korzystnemi? doświadczenia późniejszych wieków skłaniają do odpowiedzi przeczącéj.

Pewném jest wszakże, iż początki tego ruchu i warunki w jakich się odbywał sprowadziły zaraz wyraźną i trwałą zmianę w organizmie społecznym Polski. Rzecz ta stosownie do rezultatu badań źródłowych przedstawia się w sposób następujący. Opuszczone przez ludność miejscową obszary rolne, miasta i wsie w dobrach książęcych, a w dalszém następstwie, takież obszary, głównie zaś zarosłe lasami przestrzenie w dobrach duchownych i możnowładczych, rozdawano osadnikom niemieckim za kontraktami, czyli tak zwanemi przywilejami, na mocy których ci osadnicy do opłaty czynszu zobowiązywali się; mieli zaś zapewniony w obrębie swych osad samorząd tak pod względem ekonomiczno-administracyjnym jak i prawnym czyli sądowniczym. Samorząd ten polegał na uwolnieniu z pod prawa polskiego i z pod ulegołości urzędnikom królewskim, czy téż książęcym, których zastępowały wybieralne *rady miejskie* i *sądy ławnicze*, w urzędowaniu swém i sądzeniu kierujące się prawem niemieckiem, tak zwaném *magdeburskiém*, a na czele tych rad i sądów dziedziczni *wójci* i *sołtysi*, biorący początek od pierwszych przedsiębiorców czyli kierowników kolonizacyi, umawiających się o założenie osad z książętami i owe przywileje czyli nadania na takowe otrzymujących. Tacy wójci i sołtysi otrzymywali jednocześnie i mocą tychże przywilejów, znaczne nadania gruntu i dochodów, za co do obowiązku służby wojennéj zarówno z rycerstwem miejscowém byli pociągani, z niem zatém w prawach i obowiązkach poniekąd byli zrównani. Ale nie sami tylko obcy przybysze osiedlający się w kraju; nie same miasta, coraz przeważniéj nimi zaludnione, otrzymywali w onych czasach przywileje, swobody i nowe prawa. Jeżeli rozdrobnieni książęta, w celach ekonomicznych i finansowych, dla podniesienia swych uszczuplonych dochodów, sprowadzali i osiedlali po swych dzielnicach cudzoziemców i oswobodzali ich od ciężarów dawnego polskiego prawa, trafnie obliczając, że zmniejszone ciężary, lżejsze czynsze i daniny, na większą znacznie ilość głów, na zamożniejszych i przemyślniejszych zwłaszcza osadników nałożone, większe im i bezpieczniejsze dochody zapewnią; to znowu, w poczuciu swéj

słabéj, wiecznie przez sąsiadów zagrożonéj władzy, szukać musieli poparcia u dawnych swych poddanych, mianowicie u klas możniejszych i wpływowych, a to poparcie starali się zyskiwać znowu nadaniami i przywilejami. Tym sposobem zyskało społeczeństwo od końca XIII wieku zupełnie nową podstawę i ustrój odmienny od dawnego patryarchalnego. Utworzyły się trzy stany, tak od siebie nawzajem jak i od panującego w znacznéj części niezależne, prawa swe w przywilejach i ustępstwach od tegoż pochodzących czerpiące—temi stanami były: 1) *miasta* i osady na prawie niemieckiém istniejące, a do tych liczyły się nietylko nowozałożone i przez cudzoziemców osiadłe, lecz w następstwie czasu wszystkie miasta w obrębie państwa będące, które kolejno równe z innemi prawa otrzymały, 2) *duchowieństwo*, któremu w wysokim stopniu podniecony duch religijny i wybujała pobożność owych ciężkich czasów posłużyły do zyskania od książąt i możnych panów mnogich i znacznych darowizn gruntowych i przywilejów, a w szczególności odrębnego sądownictwa i uwolnień od ciężarów powszechnych, 3) *szlachta*, w rozmnożeniu urzędów po dzielnicach, w rycerskim rzemiośle przy częstych, prawie nieustannych wojnach znajdująca podstawę do pomnażania swego znaczenia politycznego, otrzymywania nadań, przywilejów, i uwolniania się od dawniejszych ciężarów. W miejsce poprzedniego ustroju patryarchalnego państwa, stanął teraz, w drugiéj połowie XIII wieku, według p. Bobrzyńskiego *ustrój stanowy*, podobny do istniejącego powszechnie na Zachodzie w wiekach średnich, wprowadzony został zatém do Polski teraz dopiéro ustrój średniowieczny.

Zwrot ten, sam przez się, chociaż zapomocą jednego ze swych czynników, to jest kolonizacyi niemieckiéj, sprowadzał odrodzenie ekonomiczne kraju, niebyłby przecież w stanie dźwignąć państwo z tego politycznego upadku, w jakim je przez cały wiek XIII widzimy pogrążoném. Owszem, napływ gromadny cudzoziemców, przewaga jaką coraz bardziéj zyskiwać zaczęli po miastach, wzmagające się znaczenie polityczne tych zbiorowisk ludności, a zwłaszcza uważanego zawsze za stolicę państwa Krakowa, do którego Niemcy się szczególniéj cisnęli, to wszystko przybierało groźny dla narodowości polskiéj i samoistności państwa pozór. Niebezpieczeństwo ujawniało się już przez to, gdy ludność Krakowa, sprzyjając stale zniemczałym książętom Szląskim, niejednokrotnie tychże powoływała i sadzała na tron głównéj polskiéj dzielnicy, objawiło się zaś wyraźniéj przy opanowaniu korony polskiéj przez Wacława króla czeskiego, za poparciem dostarczoném przedewszystkiém i przeważnie także przez mieszczan krakowskich.

Wprawdzie „panowanie czeskie“ miało, według p. Bobrzyńskiego wywrzéć „błogi wpływ na dalszy rozwój Polski.“ „Kto wie, powiada on daléj, czy bez krótkich rządów Wacława, bylibyśmy się już kiedykolwiek sami na jednolitą monarchią zdobyli?“ Na takie mniemanie trudno się jednakowoż zgodzić. Nie spuszczając nawet z uwagi zaprowadzonych przez tego króla ulepszeń w administracyi, ustanowienia urzędów starościńskich itd. niemożna tych drobnych stosunkowo nabytków brać w rachubę w obec zagrożonego obcym podbojem bytu narodowego, a zagrożonego tym bardziéj, im zakres podboju daléj się rozciągał, i krótkie panowanie czeskie można, zdaniem naszém, uważać za smutne a konieczne następstwo, przypieczętowanie i zakończenie bezładu i anarchii, ciężkich i bolesnych dla Polski dziejów XIII wieku.

III.

Jeżeli znowu, zaraz z początkiem XIV-go wieku zaświtała dla nas jutrzenka czasów lepszych, jeżeli z upadku i obezwładnienia doszła w stosunkowo dość prędkim czasie Polska do nowego bytu odznaczonego blaskiem, chwałą i potęgą, winna to, najprzód, rozbudzonemu dość wcześnie, przez udział w sprawach politycznych, poczuciu samoistności w dość licznéj już warstwie narodu, któréj nietylko o przywileje, o interes kościoła chodziło, lecz głównie i przedewszystkiem o ugruntowanie państwa na podstawach narodowych, dążność objawiająca się o kilka lat wcześniéj w efemerycznèm królestwie Przemysława,—następnie, przy bardziéj sprzyjających okolicznościach, w większym skupieniu sił występującą. Daléj zaś i jeśli nie w równéj, to przecie w znacznéj bardzo mierze winna Polska swe odrodzenie, wskrzeszenie niejako i nowe ugruntowanie swéj państwowéj jedności, téj okoliczności, że miała w tym czasie dwóch, z kolei po sobie następujących, znakomitych monarchów, dwóch królów wielkiego ducha, rozumnie, gorliwie i wytrwale dla dobra kraju pracujących: Władysława Łokietka i Kazmierza Wielkiego. Ci, wytężając wszelkie zasoby właściwego sobie a wielostronnego geniuszu, nowém życiem darzą państwo i społeczeństwo, na szerszych je podstawach zakładają, otwierają wreszcie dla Polski nową i świetną erę w historyi. Jednozgodni w swéj dla kraju miłości i gorliwości, wielce odmienni jednak usposobieniem, skłonnościami, kierunkiem umysłu, uzupełniają się oni wzajemnie bardzo szczęśliwie w zadaniu odbudowania i zorganizowania państwa. Rycerskie upodobania i przymioty, połączone z ruchliwością i niezmordowaną i przebiegłością dyplomatyczną Władysława, bystrość i wykształcenie umysłu zamiłowawanego w dziełach cywilizacyi, ceniącego wysoko doniosłość urzą-

dzeń administracyjnych i prawniczych Kazimierza, zapewniły Polsce szybki rozwój tak na zewnątrz jak i na wewnątrz, ustaliły jéj byt i wzmogły znaczenie i potęgę wśród państw ościennych.

Rezultatów tych nie osiągnęli wielcy nasi królowie za pomocą powrotu do dawnego absolutyzmu. Jedynowładctwo, władza patryarchalna pierwszych Piastów, dzielne narzędzie wzrostu i potęgi państwa w ręku monarchów energicznych, wojowniczym duchem przejętych, okazuje się rzeczą zgubną gdy tych niestało, prowadzi do rozbicia, rozprzężenia, i anarchii, z których tylko wcześnie rozbudzona samoistność przodujących żywiołów, na wstępie z taką nieufnością przez p. Bobrzyńskiego powitana, naród uratować zdołała. Przeciwnie, państwo na innych zupełnie podstawach i warunkach przez dwóch ostatnich Piastów ugruntowane, z końcem ich panowania prawie samemu sobie pozostawione, przetrwało daléj, owszem w najtrudniejszych następnie okolicznościach dowiodło swéj żywotności, rozwinęło się samoistnie i wzmogło w siły, i mocą tychże własnych, wewnętrznych sił i pierwiastków w ruch wprowadzanych, nietylko utrzymać się nienadwerężoném, ale jeszcze powiększyć się ogromnie i sferę płodnego działania swego w dalekie strony rozszerzyć potrafiło.

Jakiego zaś rodzaju były zasady postępowania i urządzenia kraju przez pomienionych królów przyjęte, objaśni nam streszczenie zapatrywań p. Bobrzyńskiego na ich politykę wewnętrzną. Łokietek, według autora tego, musiał się głównie oprzéć na stanie rycerskiem, czysto-polskim, przeciwko dwóm drugim stanom, duchowieństwu i miastom, w których żywioł niemiecki, wrogi jemu przemagał. Dlatego udzielał mu liczne nadania i przywileje, a przedewszystkiém władzę patryarchalną nad osiadłą w jego dobrach ludnością: „za panowania Łokietka organizuje się rycerstwo polskie ostatecznie w stan szlachecki, a raczéj ziemiański.“ Z drugiéj zaś strony, przy złączeniu drobnych dzielnic w jedno państwo, pozostają w tych dzielnicach dawni urzędnicy książęcy, lecz w innym charakterze, mniéj od panującego zależni a więcéj samodzielni lub interesowi swych współziemian służący i na wpływie politycznym coraz więcéj zyskują. Kazimierz W. rozwinął daléj istniejący podział na stany. Szanując samorząd kościoła, miast niemieckich i szlachty, nadał tym stanom i całemu państwu lepszą i bardziéj sprężystą organizacyę. Stworzył on hierarchię urzędniczą państwową, nad całym samorządem górującą, a mianowicie: najprzód centralne urzęda dworskie, następnie po prowincyach starostów (za dawnym przykładem Wacława) zaprowadził, tych ostatnich jako zarządzających dzielnicami w imieniu króla.

Z powyższego wypływa zatém że Władysław powołał do znaczenia i pełniejszego życia politycznego żywioł, na którym odtąd a bardziéj jeszcze w dalszéj przyszłości cała budowa polityczna i społeczna ciężyć miała, żywioł szlachecki, a w zachowanych mnogich urzędach ziemskich nietylko temuż żywiołowi ważne rękojmie samorządu, ale zarówno wyrosłym z niego możnowładcom pożądane środki rozszerzenia wpływu i powagi zabezpieczał. Kazimierz mądremi urządzeniami prawnemi usuwając samowolę, najlepszego, zwłaszcza na owe czasy, sprzymierzeńca despotyzmu i rozwijając w narodzie poczucie prawności, obok tego zaś krzewiąc oświatę i dobrobyt, kształcił i przygotowywał współczesne pokolenie do życia obywatelskiego, ułatwiał mu spełnienie ważnych zadań jakie go czekały, wytwarzał szkołę polityków, którzy przyjąwszy w spadku wielkie jego myśli, po utorowanéj albo przynajmniéj wyraźnie wskazanéj przez niego drodze daléj śmiało i z powodzeniem kroczyć mieli.

Dotąd przecież, pomimo prac organizacyjnych Kazimierza, prawa polityczne, łączące króla z narodem, nie były ustalone ani jasno określone: prawa i swobody stanów oparte były nie na ogólnych przepisach, lecz na szczegółowych nadaniach, przywilejach i zwolnieniach; okoliczności i potrzeby chwilowe stanowiły o większym lub mniejszym udziale jednego lub drugiego stanu we władzy rządowéj, o wpływie tychże przy rozstrzyganiu najważniejszych spraw ogólnego znaczenia. Teraz, to jest w drugiéj połowie tegoż wieku, zjawia się nowy postęp na drodze rozwoju swobód publicznych: wyraźne, uroczyście spisywane układy i prawa zastępują dotychczasowe tradycye. Niebezpieczeństwo wiszące nad Polską, zagrażające jéj najżywotniejszym interesom w postaci zakonu krzyżackiego, mieczem i ogniem szerzącego niby religię miłości, sprowadzonego do kraju na jego niedolę i ciężki ucisk w owym nieszczęsnym XIII wieku, przez nieoględnych piastowiczów którzy już w owych czasach zaczynali praktykować politykę powoływania cudzoziemców do spełniania zadań, przewyższających miarę ich ospałości i niedołęztwa— niebezpieczeństwo więc i konieczność pozbycia się potwornego pasożyta, wszczepionego na ziemi polskiéj, zniewoliły Kazimierza W. do oglądania się za pewném i trwałém dla kraju przymierzem. Własne skłonności zwracały go ku Węgrom, ku panującemu tam a blizko zpowinowaconemu z sobą domowi Andegaweńskiemu; za życia więc jeszcze pragnąc zabezpieczyć najżywotniejsze, według własnego przekonania interesa Polski, obrał za następcę siostrzeńca swego, Ludwika węgierskiego. Jeżeli nadzieje Kazimierza nie ziściły się natychmiast i bezpośrednio, jeżeli w czasie dwunastoletniego połączenia korony polskiéj z węgierską na głowie Ludwika, nic nie zostało

przedsięwziętém przeciwko Krzyżakom, za to fakt zmiany dynastyi odbił się w sposób nieźmiernie znaczący i doniosły na wewnętrznych stosunkach kraju. Zmiana taka, odsunięcie do tronu istniejącéj jeszcze w dzielnicach rodziny Piastów na korzyść obcego monarchy, niemogla się już teraz odbyć bez zezwolenia wpływowych, do pewnego znaczenia urosłych stanów narodu, i to położenie rzeczy stanowi, nawiasem mówiąc, zupełnie odmienny charakter, o niecały wiek od siebie odległych, panowań Wacława i Ludwika w Polsce. Nastręczające się szczegółowe porównania pomijamy, aby się zbyt nierozszerzać i sądząc że je czytelnik sam łatwo uchwyci. Następstwa jakie się wywiązały ze wspomnionego dopiéro położenia ocenione są przez autorów, których prace badamy, według ich zasadniczego stanowiska. P. Bobrzyński poprzestaje na stwierdzeniu faktu, że krok ten Kazimierza (obranie następcy w osobie Ludwika), poparli skwapliwie możnowładcy, zmierzając do osiągnięcia tym sposobem własnego swego celu, to jest uwydatnienia i uroczystego potwierdzenia wytworzonego już stosunku króla do stanów, stosunku opartego na umowach i przywilejach, które przy obiorze nowéj dynastyi, nowe wyraźne potwierdzenie i rozszerzenie, jako warunek zezwolenia na obiór, znaleźć mogły i musiały. Ztąd zawarty już w r. 1335 przez wysłanników od możnowładców pakt z Ludwikiem. „Przyjmując ofiarowaną sobie koronę, zobowiązał się formalnym przywilejem Ludwik, że wszystkie prawa stanów uszanuje, nadzwyczajnych podatków nie nałoży... Podobne przywileje wystawione znakomitym miastom.“ Ztąd także, gdy późniéj znowu chodziło o zapewnienie następstwa córkom Ludwika, otrzymanym został słynny przywiléj koszycki z r. 1374 „Przywileje z r. 1355 i 1374, mówi nasz autor są pierwszém ogólném stwierdzeniem stosunku, który się już poprzednio pomiędzy królem a stanem ziemiańskim wyrobił.“ P. Szujski zastanawiając się po dwakroć (str. 73, 74 i 83—84) nad zmianą dynastyi po śmierci Kazimierza a zarazem nad powołaniem na tron Jagiełły i złączeniem Litwy z Polską, ubolewa iż „śmierć Kazimierza W., obok postanowień co do następstwa, przerwała prawidłowy rozwój Polski właściwéj tak stanowczo, wprowadziła ją na tak różne koleje, że zapisać ją należy jako raptowne zamknięcie organizacyi od tronu, a mianowicie od rodziméj dynastyi początek biorącéj; rządy zaś Kazimierzowskie zaznaczyć jako tę stałą granitową warstwę, historyi polskiéj, na któréj późniejsze czasy już daléj nie budowały (?). Przerwanie dynastyczności dla zabezpieczenia państwa... pociągnęło za sobą nieobrachowane skutki. Naród przyjmując obcego króla, naprzód Ludwika, następnie litewskiego Jagiełłę, stracił poczucie jednolitości państwa i jego władcy, odłączył swój interes od jego sprawy... Skutkiem tego były nietylko

układy z panującym, które uprzywilejowanie jednostek przeniosły na całą politycznie żyjącą społeczność i władzę królewską osłabić musiały, ale częsty rozbrat między tak zewnętrzną jak wewnętrzną polityką króla a narodu... W walce téj, może jedynéj w dziejach, któréj rezultatem była federacya w unii lubelskiéj dokonana, zasoby moralne i intelektualne rdzennéj Polski Kazimierzowéj odniosły zwycięztwo. Jéj kapitałem żył naród w epoce swego cywilizacyjnego rozrostu na wschodzie, a nieszczęściem jego było, że ze wzorów téj Kazimierzowéj Polski nie umiał wynieść jednego, monarchicznéj myśli, która była jéj duszą i owéj płodności organizacyjnéj i prawodawczéj..." Daléj, witając w osobie Jagiełły połączenie Litwy z Polską, zwraca autor uwagę, że ono „musiało pociągnąć za sobą ważne zajścia wewnętrzne, które nie dopuściły takiego rozwoju sił na zewnątrz, jakiego się... spodziewać można było". Ginęła stara tradycya dynastyjna i monarchiczna, możnowładztwo z nową dynastyą rozpoczęło długoletnią walkę, głównie „przez szerzenie wolności polskiéj na Litwie." „Zwyciężyła wolność polska... unia ukoronowała dzieło Polaków,.. Ale... położonym został fundament pod monarchią elekcyjną z reprezentacyą wszechwładną izby poselskiéj..." Stosunki jakie się ztąd wywiązały, nie zdołały, według autora „zapewnić Polsce dostatecznych warunków istnienia, jakich na zachodzie nowożytna wymagała monarchia."

Chociaż naszém obecném zadaniem nie jest polemika, lecz jedynie ścisłe, o ile być może, sprawozdanie, opatrzone uwagami, główny kierunek badanych dzieł wskazującémi, nie możemy się powstrzymać od wypowiedzenia pewnego zdziwienia nad powyższym sądem wytrawnego historyka o tak ważnéj fazie dziejów głoszonym. Zdaje nam się trudném do usprawiedliwienia twierdzenie, jakoby ze śmiercią Kazimierza Wielkiego przerwanym został prawidłowy rozwój polski; owszem opierając się chociażby tylko na powyżéj cytowanych słowach p. Bobrzyńskiego, pisarza tejże co Pan Szujski szkoły, śmiało utrzymywać można, za dalsze kształtowanie się stosunków, przez nowe dla wolności zdobycze i większy udział pewnéj części narodu w rządzie, było tylko postępem na drodze już poprzednio utorowanéj, w kierunku do którego sam Kazimierz w części rękę przyłożył. Jeżeli organizacya nie wychodziła daléj przeważnie od tronu, to nie sądzimy aby przyczyna leżała w zmianie dynastyi, lub jak się autor wyraża przerwaniu dynastyczności. Zmysł czy dar organizacyjny niebył przecież wyłącznie przymiotem dynastyi Piastów; jak w poprzednich wiekach, tak i w późniejszych niebyłaby ona zapewne wydawała samych Kazimierzów. Nie sądzimy też, aby rzec można, że ze zmianą dynastyi, przerwaną została tradycya polityczna Polski, bo

najprzód, z jednéj strony, uderzającym jest faktem, że pomimo niezaprzeczenie osłabionego w narodzie uczucia dynastycznego, jednak przez dwa całe wieki dynastya Jagielońska nieprzerwanie w kraju panowała, a nawet po jéj wygaśnięciu, względy na pokrewieństwo z nią po kądzieli nie małą jeszcze, przy obiorze cudzoziemskich na tron polski książąt, rolę odegrywały; następnie z drugiéj strony, co zresztą, sam autor przyznaje, płodna praca, mądre usiłowania i głębokie poglądy Kazimierza wytworzyły szkołę polityków i mężów stanu, którzy, odziedziczywszy jego pomysły, ujęli w swe ręce ster spraw kraju, i z powodzeniem śmiałe i w wielkie następstwa płodne plany przeprowadzali. Co zaś do dalszych, jakoby ujemnych i szkodliwych dla organizmu państwa, następstw połączenia Litwy z Polską, które nasi autorowie podnoszą, mianowicie: z jednéj strony rozbratu interesów i walki systematycznéj między narodem a panującym, z drugiéj, mniemanego (pozwolimy sobie powiedzićć) osłabienia i wycieńczenia sił społeczeństwa polskiego, nie mogącego podołać zbyt rozległemu obszarowi swojéj działalności, zastrzegamy sobie na późniéj wypowiedzenie naszych uwag w tym przedmiocie.

Jakeśmy dopiéro co nadmienili, przechodzi kierunek spraw kraju w dobie historycznéj, do któréj doszliśmy, w ręce uczniów szkoły Kazimierzowskiéj, małopolskich możnowładców, ci—począwszy od owych Dobiesławów z Kurozwęk, Sędziwojów z Szubina, Spytków z Melsztyna i innych negocyatorów i sprawców małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą, aż do słusznie przez autorów naszych sławionego Zbigniewa Oleśnickiego,—zaprzątnięci przeważnie polityką zagraniczną, ze zdumiewającą biegłością, a bardziéj może jeszcze zdumiewającą, zwłaszcza w początkach, jednozgodnością i systematycznością, z trafném rozeznaniem potrzeb i korzyści państwa, a przytém, jeżeli nie z zupełną bezinteresownością i zaparciem siebie, to z dobrze i zdrowo rozumianym połączeniem interesu własnego z ogólnym i stawieniem ostatniego na przodzie, szerzyli potęgę kraju swego i budowali jego przyszłość na śmiało obranéj i rozległéj podstawie.

Jakkolwiek działalność całego szeregu wspomnionych polityków nieobyła się zapewne bez pewnych zboczeń i błędów, bo te są właściwością ludzką, niemogą im, w ogólności niezbyt dla nich przychylni, nasi historycy wytknąć nadużycia przewagi i samowoli wobec królów, aż dopiéro w czasach stosunkowo późniejszych, bo objawy takie zaznaczają poraz pierwszy przy wystąpieniu na widowni politycznéj, wielkie w dziejach miejsce zajmującéj, osobistości Zbigniewa Oleśnickiego, a bardziéj przy końcu karyery tego męża stanu. Powodem najwcześniejszego takiego objawu miały być rozpoczęte przez Jagiełłę w r. 1425, natychmiast po urodzeniu się najstarszego syna,

starania o zapewnienie temuż następstwa na tron. Zgodzono się na żądanie króla, pod warunkiem aby następca, za dojściem do lat potwierdził prawa i przywileje, przyczem spisano dokument rozszerzający, mówi p. Szujski „zyskane już dawniéj od króla wolności. Zawahał się Jagiełło na téj drodze ograniczania królewskiéj władzy. Czego mu warunkowo udzielał tylko zjazd z senatorów złożony, zapragnął uzyskać bezwarunkowo: udał się do miast większych i szlachty powiatowéj...“ a napotkawszy tam łatwiejsze zadosyć uczynienie życzeniom, niechciał już na następnym zjeździe (w Łęczycy, r. 1426) potwierdzić owego dokumentu. „To obudziło zarówno przerażenie jak gniew możnowładztwa ze Zbigniewem na czele“... tenże „dokument zwrócił zgromadzonym, a ci w obecności króla, okazując, że syna królewskiego za następcę przyjąć niechcą, posiekali go na sztuki dobytemi pałaszami.“ Niemniéj jednak w lat kilka późniéj, a mianowicie na rok przed śmiercią, 3 Stycznia 1433 r. zapewnił Jagiełło następstwo synom na podstawie tych samych warunków, które w opisany dopiéro sposób obejść był zapragnął. Drugie podobne demonstracyjne zajście zaznacza p. Bobrzyński w pierwszych latach panowania Kazimierza Jagiellończyka. Król ten niechętnie znosił przewagę zyskaną za jego poprzedników przez Zbigniewa Oleśnickiego, nierad był dać się powodować we wszystkiém stronnictwu możnowładzców małopolskich. Zachodziły nieustanne starcia między królem a nowo kreowanym natenczas kardynałem, będącym głową tego stronictwa. Ten ostatni, mistrzowsko zresztą przez p. Bobrzyńskiego przedstawiony i jako znakomity geniusz polityczny i mąż stanu oceniony, miał zaćmić koniec swego dziejowego zawodu tém, że stworzył, według słów autora „pierwszy typ możnowładczéj anarchii“ w dziejach Polski, a w r. 1452 gwałtownèm opuszczeniem obrad sejmowych „pierwszy przykład ich zrywania zostawił, tracąc zaś w skutek tego poparcie w możnowładztwie politycznie myślącém, co raz to szersze koła rycerstwa do obrad i zjazdów ściągał i do krzyków na króla je przyzwyczajał.“

Panowanie Kazimierza Jagiellończyka nastręcza naszym autorom sposobność do szerokich rozpamiętywań w kwestyach polityki wewnętrznéj i do bardzo dobitnego zaznaczenia swego stanowiska i swych prawie jednozgodnych, prawno-politycznych poglądów. P. Bobrzyński rozpoczyna dość długie swoje wywody o znaczeniu tego ustępu dziejów Polski ogólnemi zapatrywaniami nad epoką odrodzenia, a zwłaszcza jéj początkami. W drugiéj połowie XV wieku miały się, według autora, wyrodzić zupełnie nowe dla ludzkości potrzeby; a sposób, w jaki je przedstawia, wskazuje, że były to przedewszystkiem nowe potrzeby polityczne; wymagające reform politycznych,

które za sobą musiały pociągnąć dalsze w innych dziedzinach ludzkiéj działalności. „Zbliżyły się ku sobie ściśléj niż przed tém państwa europejskie, ale tém samém rozpoczęło się współzawodnictwo, rozpoczęło ścieranie się najżywotniejszych interesów, w których tylko systematycznie prowadzona wojna mogła spory roztrzygać.“ W tém miejscu musimy wyrazić nasze zdumienie, że autor, który z wysoka rozgląda się po Europie nowoczesnéj i śledzi poruszające nią wpływy i czynniki, pomija milczeniem najważniejszy fakt téj epoki, zdobycie Konstantynopola przez Turków i groźbę z téj strony wiszącą nad Europą, która to groźba najlepiéj mogłaby usprawiedliwić potrzebę *systematycznie prowadzonéj wojny*. Ponieważ jednak zwrócił myśl i uwagę na urządzenia mające niby téj potrzebie zadosyć uczynić, a zaprowadzane głównie tam, gdzie owa turecka groźba najmniéj się dawała uczuć, więc musiał dla téj, tak stanowczo głoszonéj potrzeby, innych szukać powodów. Jakkolwiek bądź, każe nam wierzyć, że wyżéj wspomniona potrzeba górowała nad wszystkiém, i że według niéj miał się kształtować ustrój polityczny i społeczny. Jeżeli zaś zapytamy, jakim miał być odpowiedni do niéj, nowy kształt rzeczy, odpowiada nam autor, iż „to... było pewném, ta zasada objawiła się w przeświadczeniu powszechném, że przywileje muszą runąć, że około panującego, w jego ręku, wszystkie siły narodu winny się skupić... Najświetniéj dokonał tego Ludwik XI, to téż Francya w nowożytnych dziejach bezsprzecznie réj wiodła.“ W pomoc temu kierunkowi winna była przyjść nauka, i metodę scholastyczną zastąpić metodą humanistyczną. „Powaga polityczna w średnich wiekach, mówi daléj p. Bobrzyński, teorya najwyższéj władzy papiezkiéj i cesarskiéj, przechodziła w skutek silnie się rozwijającéj samoistności państw i narodów w czczą formułę, a panując w dziedzinie umiejętności, przeszkadzała wytworzeniu się nowych, odpowiednich duchowi czasu instytucyj... Do zmiany urządzeń politycznych średniowiecznych“ przyczynia się „odrodzenie nauk i literatury starożytnéj klasycznéj. Tak zwany humanizm dostarcza nowych wzorów i treści, dopomaga przedewszystkiém do nowożytnéj politycznéj organizacyi.“ Ten ruch umysłów miał także oddziałać i na Polskę. „Pierwsi nasi humaniści świeccy“ (Rytwiańscy, Ostrorogowie) „byli to politycy prawnicy, którzy z długich i mozolnych studyów uwielbianego prawa rzymskiego wynosili *nową ideę państwa starożytnego*, podniesionego do najwyższéj harmonii i potęgi *kosztem swobody społecznéj*, wynosili przedewszystkiém poczucie *silnéj władzy panującego, bezwzględnego rozkazu* i stanowczéj konsekwencyi w postępowaniu.“ W dalszém następstwie zaś „...w gronie młodych ludzi otaczających króla zrodziła się *nowa zasada*, że przywileje, tam gdzie idzie o dobro

publiczne, o ratunek ojczyzny, niemają żadnego znaczenia, że król w razie niebezpieczeństwa ma prawo podatki nakładać i egzekwować, *ma prawo każdéj jednostce jéj mienie odebrać*, ma prawo nawet skarby, wota i naczynia kościelne zabierać i na pieniądze przetapiać. *Jest to zasada poświęcenia się jednostki dla publicznego dobra, zasada miłości ojczyzny*" (??). Widzimy z tych cytat, a w dodatku z obszerności całego tego ustępu w dziele, jaką ważność właściwe jéj poglądy na epokę odrodzenia mają dla naszéj nowéj szkoły historycznéj i w jaki sposób wpływają na jéj zasady polityczne i na cały kierunek zapatrywań. Ze względu na tę ważność i dla rozjaśnienia kwestyi z odmiennego cokolwiek punktu widzenia, musimy tu kilka możliwie treściwych uwag dorzucić. Jest rzeczą niezaprzeczoną że wielki ruch odrodzenia musiał objąć i objął rzeczywiście wszystkie dziedziny umysłowości ludzkiéj, a za tém obok literatury, nauk i sztuki także politykę, że odbić się musiał i to bardzo dobitnie w urządzeniach politycznych. W téj sferze zarówno jak w innych dostarczał on, według słów naszego autora, „nowych wzorów i treści." Ale godzi się zapytać; jakie to były, zkąd brane wzory?" Dzieje Grecyi, Rzymu roztaczają przed nami obraz i szereg najrozmaitszych i sprzecznych z sobą prawodawstw i instytucyj politycznych. Które z nich właściwie za wzór wybrać należało lub rzeczywiście wybrano? Jakie okoliczności na wybór wpłynęły? Odpowiedź nasza na te pytania niemoże się w zupełności zgodzić z rozumowaniami p. Bobrzyńskiego. Nie możemy mianowicie przystać na przypisywanie tu jakiejś roli nowym rzekomo potrzebom ludzkości, daléj zaś uważać za takową nową potrzebę: *systematycznie prowadzoną wojnę*. Przez całe średnie wieki ciągną się wojny nieprzerwaném pasmem; jeżeli zaś u ich schyłku nastaje pewna zmiana w sposobie ich prowadzenia, wchodzą w użycie coraz bardziéj wojska zaciężne, przyczyną tego, jak wiadomo, był wynalazek prochu, który pociągnął za sobą ważne zmiany w taktyce wojennéj, wskutek czego, obok męztwa, wyćwiczenie w rzemiośle wojskowém stawało się co raz ważniejszym i cenniejszym przymiotem żołnierza. Podniesienie jednak tego, znaczącego w swéj specyalności ale drobnego, w porównaniu z naczelnemi historycznemi zadaniami, szczegółu, do wysokości nową epokę gotującéj potrzeby ludzkości usprawiedliwić się chyba żadną miarą nie da. Wzory starożytne narzucają się umysłom w dziedzinie politycznéj nie dla jakiéj szczególnéj i rzeczywistéj potrzeby społeczeństwa, ale mocą téj ponęty jaką naówczas wywierała starożytność skutkiem bliższego zapoznania się z nią i zainteresowania, a narzucają się w niejednakowym stopniu w rozmaitych krajach, lecz w miarę jak zastają grunt dla siebie przygotowanym. Jeżeli zaś czerpano wzory te wyłącznie prawie

nie zkąd inąd jak z instytucyj i tradycyj Imperium rzymskiego, łatwo się to da wytłómaczyć. Tradycye republikańskie odleglejsze ze względu na czas i pojęcia, mogły znaleść jakikolwiek odglos chyba tylko we Włoszech, gdzie liczne, potężne i kwitnące rzeczy-pospolite, nazwą i ustrojem bliższe ze starożytnémi republikańskiémi organizmami miały pokrewieństwo; lecz usiłowania wskrzeszenia owych dawnych tradycyi, przez Rienziego podjęte, a tak smutno zakończone, dowiodły, że tam nawet odpowiednich po temu żywiołów nie było.

Cesarstwo rzymskie przeciwnie wywierało zawsze jeszcze urok ogromny. Świadczą o tém wymowne w Boskiéj komedyi Dantego ustępy. Cień jego istniał do niedawna w Carogrodzie. Do dziedzictwa po niém głośne i nieustanne rościło pretensye, nazwę jego sobie przywłaszczywszy, *Święte Rzymskie Imperium niemieckiéj narodowości*, w istocie swéj wewnętrznéj jednak i urządzeniu do niego wcale niepodobne. Prawnictwo rzymskie, które coraz skrzętniéj badano i z łatwém do pojęcia zamiłowaniem uprawiano, wiązało się z tradycyami cesarstwa. Wreszcie Grecy bizantyńscy, pierwsi przewodnicy na polu odrodzenia, narzędzie przez które starożytna cywilizacya objawiała się światu, byli ostatnimi reprezentantami cezaryzmu. Cóż naturalniejszego zatém, jak że umysły interesujące się polityką na Zachodzie, że królowie, mężowie stanu, publicyści przejęli się skwapliwie zasadami politycznémi Cesarstwa rzymskiego. Zasady te zaś były jak wiadomo: na zewnątrz, nieustanne rozprzestrzenianie granic, dążność do wszechświatowego panowania, na wewnątrz, despotyzm najbezwzględniejszy i centralizacya administracyjna z hierarchią urzędów ściśle i umiejętnie spojoną, a od monarchy bezwarunkowo zależną. Gdy cesarstwo niemieckie, które dla krajów bardziéj na Zachód położonych oddawna roszczonego, wszechświatowego znaczenia nie posiadało, teraz w wieku XV-tym, na wszystkie strony umniejszenia powagi i wpływu doznało, poczęły tém bardziéj w niektórych państwach pojawiać się i rość dążności do pomnożenia w wielkich rozmiarach i czyimkolwiek kosztem swych dzierżaw, do wytworzenia z siebie, jeżeli nie zaraz wszechświatowéj, to przynajmniéj górującéj, przewagą nad innemi ciążącéj, potęgi. Dążności, o których mówimy, powstały najprzód w dwóch krajach, które przed niedawnym czasem w ciężkich bojach odzyskały były utraconą chwilowo samoistność, mianowicie we Francyi, oswobodzonéj od najazdu Anglików i w Hiszpanii, po wypędzeniu Maurów ostatecznie w jedno państwo złączonéj. Rozbudzony duch wojowniczy tu i tam szuka nasycenia w polityce zdobywczéj na zewnątrz, dla téj zaś niezbędném poparciem jest despotyzm i centralizacya na wewnątrz, wzorem zaś i pobudką postępowania, odgrzebane z niepamięci i nowym blaskiem

jaśniejące prawidła cesarsko-rzymskie. Dla udowodnienia postawionego przez nas tu twierdzenia, mającego tylko bardzo luźny związek z przedmiotem, który nas obecnie zajmuje, ramy niniejszéj rozprawki zupełnie byłyby niewystarczającemi i nieodpowiedniemi. Powołać by tu trzeba na świadectwo cały przebieg dziejów powszechnych, począwszy od schyłku wieków średnich aż do naszych prawie czasów i w nich konsekwentnie śledzić objawy powyżéj wskazane.

Ale wróćmy do przedmiotu naszego i do czasów odrodzenia, na których stanęliśmy poprzednio. Że powszechny w téj epoce ruch umysłów udzielił się także Polsce, w nieustannném zetknięciu z Zachodem będącéj, że prócz sfery humanistycznéj zawadził tu również o polityczną, jest rzeczą łatwą do pojęcia. Ale śmiemy twierdzić, że pod tym ostatnim względem, nie znalazł w niéj gruntu sprzyjającego i mniemamy, że wpływ nowych doktryn na politykę polską niezmiernie bywa przecenianym. Rady królewskich doradców, czy publicystów, swojskich zarówno jak obcych, Ostroroga, Kallimacha i im podobnych, zmierzające do przemiany ustroju politycznego, nie pozostawiły żadnych trwałych śladów. Poważnych, faktycznych usiłowań nawet w kierunku samowładztwa albo téż centralizacyi wcale nie widzimy. Ocenienie stanowiska i działalności Kazimierza Jagiellończyka, jakie w badanych autorach znajdujemy, wydaje się nam dla tego jednostronném, odważylibyśmy się prawie powiedzieć, tendencyjném. Według p. Bobrzyńskiego miał nastąpić, za jego panowania i w skutek nowych zasad, szerzonych przez humanistów, zupełny jakoby przewrót w ustroju politycznym i prawach zasadniczych Polski. Objawami owego przewrotu miały być, zdaniem tegoż autora: 1) Rozkaz królewski wydany w r. 1456 w Grudziężu w brew opozycyi rady królewskiéj, nakładający podatki na wojnę pruską (postanowienie zresztą uchylone na następnym zaraz zjeździe piotrkowskim. Szujski str. 124). 2) Pozyskane od r. 1460 a przemocą niejako na duchowieństwie a pośrednio i na stolicy apostolskiéj wymuszone prawo nominacyi biskupów przez króla. To nazywa autor pompatycznie „*złamaniem przywilejów*,“ „koniecznym warunkiem reformy ciężarów publicznych“ i reorganizacyi państwa na nowożytnych jakoby podstawach. Pomiędzy reformami, do tegoż celu zmierzającemi, podnosi „ordynacyą wojenną z r. 1477 (według Szujskiego, str. 140, był to tylko projekt, który nie wiadomo czy, i o ile wszedł w życie) w któréj... przeprowadzono zasadę, że każdy posiadacz dóbr, bez różnicy, czy jest duchowny, czy świecki... obowiązany jest na wojnę wystawić poczet rycerski, odpowiadający rzeczywiście dochodom jego dóbr, miasta zaś mają dostarczyć piechotę“ — w czém nie widzimy jeszcze nic nowożytnego, lecz zasadę na wskróś średnio-

wieczną. My z przytoczonych faktów i z uważnego przeglądu całego panowania Kazimierza Jagielończyka (o czém jeszcze niżéj), zdołamy wyciągnąć tylko ten wniosek, że „*prawdziwy ten autokrata*,“ jak go p. Bobrzyński nazywa, nie miał żadnych cech autokraty, lecz poprzestał na ukróceniu, wprawdzie dość znacznem, niezmiernie rozległych przywilejów duchowieństwa i na zrównoważeniu wyłącznéj przedtém przewagi możnowładztwa przez inny, pokrewny jednak temuż żywioł. Zgadzamy się zatém bardziéj z p. Szujskim, kiedy w swéj ocenie panowania Kazimierza wykazuje nam, że ten król „łamie... dawną hierarchii (duchownéj) przewagę, politykę Oleśnickiego wywraca, przeciw świeckiemu możnowładztwu, szuka oparcia u zjazdów prowincyonalnych szlachty. Wszakże obaliwszy arystokracyą zasad (?)... buduje możnowładztwo urzędnicze i majątkowe... ku budowie monarchii wszakże, oprócz zyskanego prawa patronatu duchownego i wskazania szlachty jako równoważnika możnowładztwa, mało pozostawia materyału.“

Nie możemy się zapuszczać w badanie wewnętrznych usposobień Kazimierza, w szczegółowe określenie jego charakteru; nie będziemy przeczyć, że początkowe jego rządy wielko-książęce na Litwie obudziły w nim dążenia do pewnego stopnia autokratyczne; niemniéj jest pewném, że przez owo, tak zwane przez naszych autorów, złamanie przywilejów, nic właściwie w kierunku spełnienia tych dążeń nie zyskał, bo prawa polityczne możnowładztwa, na skutek zmian zaszłych za jego panowania przeszły na całą szlachtę—owszem prawa te, z uszczerbkiem władzy królewskiéj, znacznie zostały rozszerzone. Przywilejem nieszawskim z r. 1454 ustanowione zostały sejmiki wraz z uroczystém zobowiązaniem, „że król istniejących praw nie zmieni i wyprawy wojennéj nie ogłosi tylko po zaciągnięciu zdania ogółu szlachty, na sejmik zwołanéj.“ To ogromnéj doniosłości ustępstwo, pierwiastkowo dla szlachty wielkopolskiéj uczynione, rozciągnięte zostało niebawem do wszystkich ziem polskich. Wkrótce z owego przywileju wywiązało się całe prawo publiczne polskie. Z początku król objeżdżał wszystkie sejmiki, starając się na każdym przeprowadzić swoje plany i zamiary. Następnie powstały sejmiki generalne głównych dzielnic: Wielkopolski, Małopolski i Rusi, do których sejmiki pojedynczych ziem wysyłały posłów—nareszcie łączyli się posłowie generalnych sejmików w jedno zgromadzenie na wyznaczoném przez króla miejscu, tworzyli *izbę poselską*, i powstał *sejm*, złożony z téjże izby, z dawnéj rady najwyższych dostojników i urzędników przemianowanéj na *senat* i nareszcie samego *króla*.

W skutek jakich bezpośrednich i głębszych powodów, jakiemi sposobami przeprowadzoną i dopełnioną została ta, w głównych za-

rysach o całéj przyszłości stanowiąca organizacya Rzeczypospolitéj Polskiéj? Pod względem treści, to jest nadania ustępstw rozszerzenia swobód, wymogła szlachta na królu odnośne przywileje w chwili zbierania się na wyprawy pruskie, zadosyć uczynienie swym żądaniom stawiając jako warunek współudziału w tych wyprawach, korzystając z okoliczności politycznych w podobny sposób jak możnowładzcy zużytkowali byli dla siebie zmianę porządku następstwa na tron. Nie widzimy jednak aby król, pomimo przypisywanego mu autokratycznego temperamentu, zbyt mocno się tym roszczeniom opierał. Dawna już tradycya udziału możnowładców w rządzie, przewaga w kierowaniu sprawami, jaką nabyli od lat blisko stu, począwszy od śmierci Kazimierza Wielkiego, powodzenie jakie państwo zawdzięczało wielkiéj i śmiałéj polityce przez nich prowadzonéj, to wszystko odbierało wszelkie widoki jakimkolwiek zachciankom despotyzmu lub centralizacyi, gdyby nawet istniały i o praktyczném urzeczywistnieniu swych idei marzyły. Lecz łatwo owszem dostrzedz, że król Kazimierz trzymał się odmiennéj zupełnie polityki. Nie chcąc pozostawać niejako na łasce możnowładców, od nich wyłącznie przy wykonywaniu swych zamiarów zależéć, sam wytrawny mąż stanu i biegły dyplomata, nosząc w swéj duszy mądre i głębokie, dla przyszłości swéj dynastyi ale zarazem i dla dobra kraju doniosłe, plany, przewidując zaś możliwe przeszkody na wzór doznanych już ze strony Zbigniewa Oleśnickiego, zapragnął on oprzéć się na nowym żywiole, miéć raczéj może pod ręką dwa, różne dotąd żywioły, za pomocą których, kolejno się niemi posługując, zręcznie je z sobą równoważąc, mógłby cele swoje, głównie zagranicznéj polityki dotyczące osiągnąć, bez wewnętrznych starć, lecz owszem przy chętném współudziale narodu. To było bezwątpienia powodem chętnego z jego strony zadosyć uczynienia żądaniom ogółu szlachty i powołania jéj do życia politycznego i udziału w prawodawstwie. Pod względem zaś form w jakie ujętą została działalność nowych czynników prawodawczych i przyczyn, które kierowały stopniowym tych form rozwojem i ostateczném ich na przyszłość ustaleniem, daje nam p. Bobrzyński jasno wyłożone szczegóły, składające się na dobitne świadectwo o królewskich zaletach Kazimierza, o niestrudzonéj jego czynności, bystrości jego poglądów i doskonaléj znajomości ludzi. Można też śmiało twierdzić, że ten monarcha wielkich rzeczy dokonał, pomimo licznych trudności z któremi walczyć musiał. Przypisywany mu przez naszych historyków rozległy plan otoczenia Polski ze wszech stron kołem państw, na których tronach zasiedliby Jagielloni, nie udał się i udać się nie mógł; niemniéj atoli znaczenie, popularność i wpływ imienia polskiego i dynastyi jagielloń-

skiéj w ościennych krajach na skutek tych zabiegów wysoko podniesionemi zostały. Ostateczne zaś pognębienie zakonu krzyżackiego i żywotne dla przyszłości Polski wcielenie ziem pruskich, wiekopomną tego króla pozostaną zasługą, a zawdzięczać je należy, daleko więcéj niż wojennym powodzeniom, owemu urokowi łagodnego rządu i poszanowania swobód, jakim Polska naówczas w północno-wschodniéj Europie jaśniała. Jako drugą niemniéj ważną zasługę uważać musimy przyprowadzenie do skutku owych urządzeń politycznych, o których wyżéj wspomnieliśmy, założenie kardynalnych podstaw przyszłego prawa publicznego Polski. Zastanowiwszy się bowiem bliżéj nad niemi, przychodzimy do przekonania, że zawierały one wszelkie warunki prawidłowego ustroju, który gdyby był pozostał nienaruszonym, zapewnił by był państwu błogą i trwałą, na współdziałaniu wszystkich zdrowych żywiołów opartą, przyszłość. Rząd, składający się z króla, senatu, do którego wchodzili, powołani przez króla, zdolnościami umysłu, sytuacyą majątkową lub wybitnemi zasługami odznaczający się dostojnicy i doradcy i izby posłów ziemskich, wybrańców licznéj klasy narodu, służącéj krajowi swemu na przemian pługiem i szablą, rząd taki nie był zapewne machiną, poruszającą się z wszelką łatwością na skinienie jednéj ręki, działającą z automatyczną precyzyą w kierunku jedną wolą wskazanym, nie był zwłaszcza machiną przydatną w celu podboju. Lecz widzieliśmy, na przykładzie Prus, że prowincye, niezbędne dla zabezpieczenia bytu i najżywotniejszych interesów Polski, same się do niéj garnęły, pociągnięte widokiem jéj swobodnych instytucyj, i uznać musimy, tego rodzaju podbój za najpożądańszy i najchlubniejszy. Ze względu zaś na sprawy wewnętrzne, nie wspominając już o korzyściach wolności, która podnosi naturę ludzką i kształci społeczeństwa, gdziekolwiek i kiedykolwiek potrzeba jéj niedwuznacznie rozbudzoną została, przedstawiała owa organizacya władzy dostateczne zabezpieczenie przeciwko nadużyciu wolności, przez należyte dopuszczenie do udziału w téj władzy, żywiołów: monarchicznego, arystokratycznego i demokratycznego, które przy odpowiedniém, a możliwém ustosunkowaniu się, mogły się wzajemnie miarkować, równoważyć i kolejno wspierać. W usprawiedliwieniu tego twierdzenia, wskażemy, najprzód na przykładzie Kazimierza, że władza królewska była dość jeszcze silną, aby przy umiejętném wspieraniu się na innych żywiołach narodowych, dokonać zamysłów, dopiąć celów dla narodu zbawiennych; przytoczymy powtóre, że senat skupiał w sobie arystokracyą zasługi i wpływu, podtrzymywaną jeszcze silnie przez wyższe duchowieństwo, które, po utracie zbyt wyłącznych przywilejów, od-

rębnych swych i sprzecznych z ogólno-społecznemi, interesów, po większéj części pozbawione, ze świeckiém możnowładztwem ściśléj łączyć się musiało; że jednak, jak powiada p. Szujski, reformy Kazimierza sprawiły „przewrót w stanowisku możnowładztwa“ przemieniając je „z reprezentującego interesa Polski na zależną do króla arystokracyą,“ tą zależnością więc z jednéj strony, z drugiéj zaś rosnącém znaczeniem posłów ziemskich, wszelkie wybryki i uzurpacye możnowładztwa paraliżowane być musiały; nareszcie zdanie nasze o demokratyczności ówczesnego żywiołu szlacheckiego poprzemy znowu ustępem p. Szujskiego, w którym opisuje: „Szlachty stan za Kazimierza,“ przedstawiając tę klasę narodu jako ubogą, zazdroszczącą lepszego materyalnego stanu mieszczanom nawet i kmieciom, mało wykształconą, obciążoną podatkami, w skutek czego wszystkiego „wyrabiała się ona na element najruchliwszy, bo najmniéj zadowolony... mogła téż... nadawać się wybornie do odegrania roli, jako czynnik monarchią wzmacniający...“ a tem samém, dodamy od siebie, niebezpieczeństwem dla władzy i porządku nie grożący, tém mniéj zaś niebezpieczny, że po całym kraju, po wiejskich zagrodach rozsiany, a we własności ziemskiéj zachowawcze dążności i upodobania czerpiący. Jeżeli zaś, dla wyżéj przywiedzionych powodów, nie mógł nastąpić stanowczy rozbrat między władzą królewską a możnowładztwém, to znowu możnowładztwo i szlachta, pomimo sprzeczności interesów w niejednym względzie, zbyt były pokrewnemi z sobą żywiołami, zbyt zbliżone do siebie pochodzeniem i tradycyami, aby zasadnicza, nieprzejednana i dla krajowych instytucyj zgubna walka mogła się między niemi wywiązać.

Ztąd téż śmiało twierdzimy, że organizacya wewnętrzna Polski, jak się była z końcem panowania Kazimierza Jagiellończyka wyrobiła, przedstawiała rękojmie zdrowego i chlubnego rozwoju, pomyślnego i trwałego bytu dla państwa i społeczeństwa. Ztąd w części tylko zgodzić się możemy na orzeczenie p. Szujskiego o tym królu gdy mówi: „Ostro sądzony przez współczesnych, nie zdradza on nadzwyczajnych zdolności i nadzwyczajnego umysłu, ale nosi na sobie piętno niepospolitéj trzeźwości, konsekwencyi i wytrwałości. Warunków na króla organizatora nie posiada, wolę rządzącego i politykę swoją dynastyczną środkami, jakie ma pod ręką, przeprowadzić umie.“ Odmówienie Kazimierzowi wszelkiego talentu czy przymiotu organizatorskiego nie jest zupełnie słusznem. Choćbyśmy tylko prawo polityczne mieli na oku, to musimy wprawdzie przyznać, że nie pozostawił on konstytucyi polskiéj zaopatrzonéj we wszelkie możebne i potrzebne prawidła, przepisy, zastrzeżenia i wskazówki postępowania, że jéj owszem bardzo wiele w tym względzie brakowało

i do dalszego uzupełnienia czasowi i zrodzić się mającemu zwyczajowi, pozostawioném zostało, bo zresztą bynajmniéj nie miał on myśli ani zamiaru konstytucyą takową z jakiejś ogólnéj, oderwanéj zasady wysnuwać, lecz w nadawaniu praw i ustępstw chwilowemi potrzebami się kierował. Niemniéj przecie wytrawny rozum, czy téż trafny instynkt polityczny dozwolił mu wynaleść odpowiednią miarę i najwłaściwszą na owe czasy kombinacyą żywiołów, przez co położył i zostawił doskonały, zdaniem naszém, zarys przyszłych instytucyj Rzeczypospolitéj, naprowadził na jedynie dobrą drogę szczęśliwego rozwoju.

Aliści niebawem zarody te pomyślnego i zdrowego ukształtowania uległy skażeniu, zaraz na pierwszym kroku wytknięta społeczeństwu droga, została niebezpiecznie i prawie bezpowrotnie skrzywioną.

(dok. nas.) *Jan Aleksander Tarnowski.*

Z nad brzegów Newy.

Bywają chwile, w których dogodniéj jest szukać w płodach piśmiennictwa, w książkach, tych pouczających wskazówek, których zwykle dostarczają bieżące fakta życia publicznego. W ten lub ów sposób potrzeby fizyczne czy umysłowe muszą być zaspokojone i jeśli, z jakiegokolwiek powodu, nie mogliśmy na targu żywności zaopatrzyć się w świeże produkta, musimy z konieczności przetrząsnąć śpiżarnię, szukając w niéj pozostałéj z czasu dawniejszego jakiéj resztki zapasów. Ten wzgląd niech usprawiedliwi korespondenta przed czytelnikami, iż w liście niniejszym zajmie się wyłącznie jedną tylko książką.

Kiedy umarł 14 listopada 1872 r. w bardzo podeszłym wieku hr. Paweł Kisielew były minister dóbr państwa rosyjskiego, a potém poseł w Paryżu; pozostałe po nim papiery oddała familia dla zużytkowania ściśle zbliżonemu z nieboszczykiem człowiekowi, któren pod Kisielewem odbywał długi i świetny zawód urzędowy, członkowi rady państwa Andrzejowi Zabłockiemu Desiatowskiemu. Ośm lat pracy poszło na uporządkowanie i opracowanie téj spuścizny literackiéj, a jéj owocem są wielkie 4 tomy pod tytułem: „*Hrabia P. D. Kisielew i jego czasy*“ (Graf P. D. Kisielew i jewo wremia. Petersburg 1882); w trzech pierwszych mieści się życiorys, w ostatnim dodatki. Talentem literackim nieodznacza się ta robota mozaikowa, pisana ciężkim stylem elaboratów urzędowych, poddająca się materyałowi, unikająca własnych samodzielnych sądów o osobie a tém bardziéj o wieku. Materyał wszakże jest niezmiernie bogaty i nadaje się do ciekawych zestawień z chwilą bieżącą i z prądami dziś panującémi w polityce. Świetny oficer z epoki wojen napoleońskich zostawał Kisielew przez długie lata zestosunkowany z tak zwanymi *grudniowcami* (dekabrzystami), owiany był podczas długiego kwaterowania w Tulczynie moralną atmosferą tego stowarzyszenia, które doprowadziło

do spisku, potém organizował on samorząd mołdawo-wołoski i pozostawił w Rumunii aż dotąd trwające dobre po sobie wspomnienia. Za panowania Mikołaja przedstawiał on, jedyną może, tolerowaną dozę bardzo niewyraźnych pojęć liberalnych i dźwigał prawie sam jeden, w obec niechętnych wszystkich innych doradców i ministrów, olbrzymi ciężar kwestyi usamowolnienia włościan, torując drogę, po którój mieli stąpać przyszli emancypatorowie, a w ich liczbie siestrzan Kisielewa, tak dobrze znany u nas Mikołaj Milutin. Na schyłku wieku, już nadwątlony i na zdrowiu i na zdolnościach, posłując na dworze Napoleona III, grał Kisielew zbyt podrzędną rolę i nie dopatrzył się zawczasu ani Kavoura i wojny włoskiéj, ani komplikacyi którą rok 1863 nasunął dyplomacyi Napoleona III. Jest jeszcze jeden rys w życiu Kisielewa dla nas ciekawy—jego stosunki domowe, jego ożenienie się w 1821 roku z Zofią Potocką córką wdowy po Szczęsnym osiadłéj już w Humaniu greczynki Zofii w pierwszém małżeństwie Wittowéj, która i drugą córkę Olgę wydała za rosyanina, Naryszkina. Na tę część obrazu rzucona przez autora z umysłu gruba zasłona, zapisano tylko kiedy się pobrali, kiedy umarło w niemowlęctwie jedyne dziecko z tego związku, że potém nie wziąwszy rozwodu, małżonkowie rozłączyli się na zawsze. Autor każe się domyślać, że linią przedziału pomiędzy nimi przeciągnęły wypadki 1830—1831 roku i narodowe antypatye. Ale natomiast wyraźnie opowiada, że mąż sprawiał się względem żony z wytworną delikatnością, że urządził jéj majątkowe interesa, zabezpieczył kapitały, wystarał się o pasport za granicę. 25 lat trwała seperacya, w ciągu którój pani Kisielewowa bawiła najczęściéj w Paryżu i na wodach zagranicznych; pod koniec życia słynęła z swojéj pasyi do rulety. W roku 1816 Kisielewa, już ministra, spotkał dziwny i niewyjaśniony dotąd wypadek. Nieznana osoba przesłała mu w portfelu 140.000 rs. przy liście bez podpisu z temi słowy: „J'ai été votre ennemi; votre faveur auprès de l' Empeureur Alexandre excita ma jolousie ou plutôt ma haine. Il allait vous faire un don pécuniaire. Je le sus. Jnstruit de ses intentions généreuses je les déjouai et j'ai reussi á me faire adjuger ce qui vous avait été destiné. Ma faute m'accable. Reprenez ce qui est á vous, ce que je vous ai indignement enlevé.“ Ponieważ list cały wyglądał na zmyślenie, i nigdy, przy całym swoim faworze, nie mógłby Kisielew otrzymać daru odpowiedniego wielkości przesłanéj sumy, wpadł przeto na domysł, że pieniądze pochodzić mogą od żony, zwłaszcza — dodaje Kisielew — że po przejrzeniu rachunków przekonałem się, iż za moją sprawą „majątek mojéj żony urosł o sumę prawie odpowiednią cyfrze 140.000 rubli.“ Zdarza się ludziom, iż w wątpliwościach swych szukają rady u konfesyonału, tam gdzie on istnieje; p. Ki-

sielew zwrócił się w swym kłopocie do przenikliwego z urzędu A. Orłowa, naczelnika korpusu żandarmów, a gdy i ten podzielał domysł wspomniony, rzecz zdawała się niewątpliwą. A przecież, jak nas zapewnia autor książki, o któréj mowa, przewidywanie nie sprawdziło się i ofiarodawca pozostał na zawsze nieznany. Sceptycyzm mimowolnie nas ogarnia, gdy pomyślimy, że i obowiązkowa z urzędu, a tyle wypróbowana przenikliwość może niekiedy zawodzić. Ale co zrobić z pieniędzmi? Kto inny, gdzieindziéj, albo by przyjął taki dar bezimienny, albo go na cele dobroczynne przeznaczył; sumienie Kisielewa nie godziło się z taką samowolnością: zatrzymał kapitał, skoro mu na to cesarz pozwolił.

W 1856 r. gdy Kisielewa uproszono, aby po zawarciu pokoju paryskiego jechał na posła do Paryża, jedną z głównych wymówek z jego strony od przyjęcia téj posady był wzgląd na bytność żony w Paryżu, na jéj „charakter dumny i nieraz rezolutny.“ „Po 25 latach seperacyi, pisał Kisielew, zbliżenie się jest niepodobieństwem i ja go sobie nie życzę stanowczo. Helena Potocka pisała do siostry Olgi (Naryszkinowéj), aby ta uprzedziła Zofię (jego żonę), że wszelki hałas z jéj strony nie na dobie, że jeżeli nie zechce do moich zdań się zastosować, będę musiał pozostawić rządowi przedsięwzięcie środków, które mi proponowano (odjęcie pasportu). Chcę aby nasze spotkania się były jak najrzadsze i tylko w obcych domach, nigdy zaś w naszych własnych“ (III,8).

Tyle tylko o życiu familijném u Zabłockiego, co do stron życia towarzyskiéj i urzędowéj, z tych pierwsza mimo wszelkie usiłowania autora nie bardzo pociąga, bo wygląda z niéj bardzo gładki, bardzo salonowy człowiek, wielki miłośnik płci pięknéj, wielki sybaryta i smakosz, skończony egoista, który nikogo nie przywiązał, nikogo nie pociągał, i jak powiadają, nawet siostrzeńców swych, Milutynów, nie protegował. Do końca życia Kisielew pozostał takim jakim go odmalował (1818) mającego lat 30 młody 19-letni Puszkin w kilku wierszach do A. Orłowa:

...na jenerała Kisielewa
Nie liczę wcale. Ani słowa,
Jest to człek miły—wielki wróg
Nieuctwa i podstępnych dróg.
Lubię z nim obok być ucztując,
Powoli smaczno obiadując,
Gotówem słuchać go do ranka...
Ale to dworak—obiecanka
Nic nie kosztuje... go.

Drugi jeszcze mniéj pochlebny wizerunek z lat późniejszych, bo z końca panowania cesarza Mikołaja podał hrabia Modest Korff

biograf Sperańskiego i Sekretarz państwa (gosudarstwennyj Sekretar). Korff nie ujmuje mu ani wymowy i zręczności, ani błyskotliwego i oryginalnego dowcipu, ałe powiada, że to człowiek zimny, nie zdolny nikogo kochać ani krewnych, ani przyjaciół, człowiek mający mózg tylko zamiast serca, powodujący się tylko własną korzyścią i nadewszystko dbający o swoje własne ja. W człeku tym są w działaniu tylko rozum, ambicya i wyrachowanie; serce zaś chłodne, mało dostępne uczuciom wyższym, każdego on wyda i sprzeda. Niewarto pod nim służyć; będzie żądał rzeczy niemożebnych, pracy nie oceni, zdusi, wyciśnie a potém odrzuci"... (IV rodział 58),

Choćbyśmy potrącili nawet dużo z tego sądu zaprawnego żółcią a pochodzącego od polityka z całkiem przeciwnego obozu, pozostanie z całego życiorysu ostateczne wrażenie lodowatego chłodu wiejącego od téj historycznéj postaci. Hrabia Kisielew nigdy nie uchodził za uczuciowego człowieka to niepodlega wątpliwości, jednak ten gładki dworak był podszyty mężem stanu. Ten mąż stanu miał swoje stałe zasady i poglądy, nie jaskrawe i nie szerokie wprawdzie, bo takich nie znosiłby duch epoki nacechowanéj głównie surowym militaryzmem i nieruchomością porządku opartego na bezwzględności panującéj woli. Zasady te były o małą odrobinę bardziéj postępowsze, nieco bardziéj ludzkie, nieco lepsze aniżeli zasady innych sług tronu stojących u steru, prawda że były one postępowsze w jednéj tylko kwestyi, ale w kwestyi naczelnéj, głównéj, w któréj spoczywała cała przyszłość społeczna i późniejsze rozwikłanie wszystkich domowych stosunków, a mianowicie w kwestyi usamowolnienia ludu wiejskiego.

Wszelkie rozumowania ludzi myślących, w tym okresie martwoty i zastoju jaki cechował czasy poprzedzające wojnę wschodnią r. 1855, poczynały się albo się i kończyły na kwestyi poddańczéj. Cesarz Mikołaj rozmyślał nad nią całe życie, ale się nie zdecydował rękę przyłożyć do podważenia tego, na czém wedle mniemania ówczesnego konserwatyzmu stała i cywilna i państwowa budowa całego ustroju społeczeństwa. Zaufanemu słudze i giętkiemu dworakowi pozwolono iść trochę naprzód i podnosić wielkie pytanie, walcząc jednemu nieraz przeciwko wszystkim. W tém szczególniejszém położeniu polega cała waga roli historycznéj, którą zgrywał Kisielew.

Jeden z dziennikarzy rosyjskich, charakteryzując poglądy i działalność hr. Kisielewa, powiada, że „był on absolutystą, ale absolutystą niezapominającym o naczelnych zasadach humanitaryzmu i wolności osobistéj; że lubo nie podniósł się do jakiéj idei politycznéj o związku między formami rządu i zarządu, stale jednak kierował się tą myślą, że wtrącanie się rządu w życie mas prostaczych nie za-

wsze i nie wszędzie może być jednakowém, gdyż winno się stosować do charakteru i dojrzałości ludu; że chociaż widział aż nadto dobrze ciemnotę i nieokrzesanie gminu, pozostawiał mu wszakże pewną nietykalną sferę samodzielnego życia społecznego, jako szkołę rozwoju i dalszego kształcenia, a wszystkie stosunki jego z ludem-pachoięciem były przeniknięte żywemi i najlepszemi życzeniami.“ Te myśli i uczucia hr. Kisielew wprowadzał w życie zręcznie i systematycznie, broniąc je od różnych napaści z energią i wytrwałością. Złożywszy jednak taki hołd zasługom statysty, dziennikarz, którego słowa przytoczyliśmy, wyznaje otwarcie, że „z budowy hr. Kisielewa nic się nie dochowało, a cały dobrobyt dawniejszy włościan rządowych zamienił się tylko we wspomnienia i ukrył w archiwach ministeryalnych.“ Tak smutne epitaphium dla pracy tyloletnéj a gorliwéj mogłoby nie bez słuszności zadziwiać. Czemże to objaśnić, że mąż stanu obdarzony zdolnością wcale nie tuzinkową, z silną wolą, dobremi chęciami, wielką pracowitością i obszerną władzą,—że dygnitarz cieszący się zaufaniem swego władcy, mający na swe posługi liczną, posłuszną i przez samego siebie dobraną armię urzędników, poświęca wiele lat życia jednéj myśli, zużywa siły na jeden cel,—a mimo to wszystko budowa przez niego wzniesiona w proch się niebawem rozsypuje? Dzienikarz rosyjski tłómaczy tę zagadkę krótko ale dobitnie. „Hr. Kisielew wierząc, że przeznaczeniem zwierzchności jest uszczęśliwianie podwładnych, że formy tego uszczęśliwienia winny być narzucone z góry, musiał zostać biurokratą, a lubo był nim w najlepszém znaczeniu tego wyrazu“, budując na piasku, nie mógł budowie zapewnić trwałości: „ogólny biurokratyzm administracyjny z wiekuistemi swemi towarzyszkami—niegospodarnością państwową i drapiestwem“ zniszczyły całą jego robotę (Poriadok 1881 r. N. 325).

Po traktacie paryskim i rozpoczęciu nowéj ery reform Kisielew nie brał w niéj czynnego udziału: był już bardzo stary kiedy zaczęły się te reformy. Misya paryska odosobniła go całkiem od Rosyi i sprawiła że przestano o nim pamiętać, a i on sam już się niepotrafił w nowéj zreformowanéj Rosyi rozpoznać, przywykł do zagranicznego życia i jego wygódek i wolał już po ukończeniu misyi wcale nie wracać do ojczyzny, która wydawała mu się niby całkiem obcą. Z życia Kisielewa w rozmaitych jego fazach da się ułożyć ciekawa i dość jednolita całość, w któréj zasługi męża stanu wpływają na podniesienie dość znaczne wartości, skąd inąd na pierwszy rzut oka mało sympatycznego, człowieka.

II.

Genealogie rodzin szlacheckich w Rosyi pod jednym względem przypominają dzieła Imci pana Bartosza Paprockiego i jego następców: jedne i drugie lubią wyszukiwać gniazda rodów poza granicami własnego kraju. Nasi heraldycy biegają w tym celu na zachód, poczynając od Czech a kończąc na Portugalii i Anglii, a gdy Europa zawiedzie ich oczekiwania, przedsiębiorą podróż do Maurytanii i krajów murzyńskich. Rodowody rosyjskie lubią także wojażować, zrzadka jednak sięgają odległego zachodu, czasem czepiają się murzów tatarskich, a pospolicie na zaludnionych rzeszą szlachecką obszarach dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj dobijają do pożądanego portu. Ktoby wierzył, że tradycye, sympatye i antypatye przodków przechodzą ze krwią na potomków, musiałby zwątpić o wiarogodności tych rodowodów, tak mało dzisiejsi przedstawiciele rodów okazują sympatyi krainie, z któréj ich przodkowie wyjść mieli. Inaczéj, atawizm Darwinowski ciężki by w téj okoliczności znalazł orzech do zgryzienia, lubo z drugiéj strony teorya akomodowania się organizmów do nowych warunków zmienionego otoczenia znajduje tu jeden więcéj dowód na swe poparcie.

Wracając do rzeczy, nadmieniamy, że i ród Kisielewów wywodzi się z tego samego pnia, z którego pochodził Adam Kisiel wojewoda bracławski a potém kijowski, słynny rozjemca między królem a zbuntowanymi pod Chmielnickim kozakami. Ojciec Pawła Kisielewa Dymitr urzędował w Moskwie, należał do arystokratycznéj części staréj szlachty i miał dom otwarty, który odwiedzali literaci Dmitriew i Karamzin. Paweł Kisielew urodził się 8 stycznia 1788 w Moskwie, wstąpił w 1805 do wojska, uczęstniczył w bitwie pod Borodino w 1814 zaliczony do świty jako adjutant cesarza, towarzyszył mu na kongresie wiedeńskim i w Paryżu przy restauracyi Burbonów. Służba to była szczególniejsza, bardzo trudna i wymagająca wielkiego rozumu i zręczności, bo przybocznych adjutantów używano do najrozmaitszych do najdelikatniejszych posług i badań; byli to pewnego rodzaju *missi dominici* w małych rangach z wielką władzą, mocni osobistém zaufaniem monarchy, którzy składali mu sprawozdania ze stanu pewnéj części kraju, albo całych gałęzi administracyi wojskowéj czy téż cywilnéj, z nadużyć gubernatorów, liwerantów wojskowych, dzierżawców monopolu szynkownego, a mieli obowiązek nietylko wykrywać złe lecz je o ile można naprawiać albo brać je w kluby.

Wielkie panowanie miało się ku końcowi, wiary w dawniejsze idealy liberalizmu z pierwszych lat XIX wieku zabrakło całkiem, górą szła owszem obawa przed budzącemi się nowemi ruchami umysłowe-

mi, obniżenie się energii i uczucie niemożliwości prawie wytępienia nadużyć. „Kisielew umiał,—powiada jego biograf—rozplątywać węzły najdelikatniejszych intryg w ten sposób, aby całość na pozór została się nietkniętą, chociaż na każdym kroku możnaby było podnosić skandale. Ten tryb postępowania podobał się cesarzowi, który chciał prawdy, lecz życzył też oszczędzać miłość własną niedawnych towarzyszów broni, na czele których przeszedł był Europę" (I. 53). „Czyż można było sądzić, pisze Kisielew w jednym z listów (1819), że stary i długi Bennigsen (główno dowodzący 2 armią) pożyczy 17000 od liweranta i że to zezna jego faktor, który w tranzakcyi uczestniczył. Są to dziwy, którym nie możnaby wierzyć, gdyby nie stały czarno na białem" (I, 108). Młody oficer zlecenia i swoje sprawozdania składane cesarzowi, dochował, i to jest może najciekawsza część jego zapisek, dla przykładu przytoczymy wyciągi z audyencyi 3 maja 1816 (I, 28—33). Kisielew skarżył się na porządki w Noworosyi pod zarządem księcia Richelieu: „dziwna rzecz, że co krok to inne ustawy i instytucye w jedném i témże państwie i u tegoż narodu. Stąd źródło niezadowoleń; wszyscy skarżą się i szemrzą. Niewszystko da się w jednéj chwili zrobić. Śmierć cesarzowéj (Katarzyny II) nie pozwoliła jéj usunąć zwyczajów azyatyckich i wielu rzeczy w rządzie. Powinniśmy dotrzymać kroku Europie, ale jednemu trudno, pomocników mało, naokół oszukaństwo... Opinia ogólna powstaje przeciwko powiększeniu wojska; pokój zawarty, a wydatki takież same i liczba wojska się powiększa. Rosya powinna utrzymywać armią równą złączonym pruskiéj i austryackiéj, nie licząc innych naszych sąsiadów. Lecz sąsiedzi wojska zmniejszyli. Moja zasada: uorganizowanéj części nie dezorganizować.—Was, w. c. mość, nie wszyscy szczędzą, opinia publiczna nie jest tém czém była przed 30 laty; wszyscy rozprawiają, sądzą głośno i weszło jakoś we zwyczaj niczém się niezadawalniać. Naprzykład mianowanie dwóch gubernatorów w Tule i Kałudze źle było przyjęte. Sądzą że w. c. mość nie kocha szlachty a nawet i Rosyan...—Niech w, c. mość każe sobie podać wiadomość o tém, ile było mieszkańców w r. 1812 w Besarabii, ilu przyszło Bulgarów i wielu odeszło przenosząc rządy tureckie nad nasze, co nabyli i jak się wzbogacili urzędnicy, nie wyłączając gubernatora."

Młody adjutant będąc jeszcze pułkownikiem porobił znajomości, które mu posłużyły na całe życie. Minister wojny (Konownicyn) miał w swém ręku tylko część ekonomiczną (intendenturę i komisoryat), dyzlokacya zaś wojsk i służba ich zawisły od naczelnika głównego sztabu P. Wołkońskiego, przy którym naczelnikiem kancelaryi był Menszykow; dyżurnym jenerałem więc zastępcą Wołkońskie-

go był A. Zakrewski, wielkie zachowanie u cesarza miał już naówczas A. Orłow. To byli przyjaciele i sprzymierzeńcy Kisielewa, we wspólnéj walce przeciwko nowym wpływom: Arakczejewowi i niemcom z Dybiczem na czele. „Tu żmija (Arakczejew) przeważa,“ pisał Zakrewski (1823), którego niebawem przeniesiono do Finlandyi i któren życzył z tego powodu ironicznie Dybiczowi długiego panowania i rozpładzania niemców (I, 191, 193). Zagrożeni przyjaciele mogli korespondować tylko przez trzecie osoby. „Kornie i bez szemrania zniósłbym wymówki od pana mego, ale otrzymywać je od Arakczejewa—to przykro. Czyliż nie smutno człowiekowi dobrze myślącemu gdy widzi jaki wpływ ma na sprawy państwa ta zgniła podpora. Niewolnik i pochlebca śmie wytykać cesarzowi, że ten a ten batalion zbyt źle wymustrowany, jak gdyby to mechanizm paradowy prowadził do zwycięstw“ (I, 84). Stan rzeczy wciąż się pogorszał; w powietrzu była reakcya. Umysł Aleksandra I-o pogrążał się coraz bardziéj w mistycyzm, za którym szedł w téż tropy obskurantyzm; rosła podejrzliwość podniecana wpływem Metternicha (I, 122). Cały ciężar przykréj sytuacyi spadał przedewszystkiém na prostego szeregowca; wypadało tak zająć żołnierza mustrą, tak podnieść wymagania co do ćwiczeń fizycznych, ażeby człowiek stał się doskonałym żywym przyrządem do najsztuczniejszych obrotów na placu parady i ażeby mu na nic innego, nie starczyło czasu. Cała oszczędność na gospodarstwie pułkowém obracana była, z ujmą innych wygód i strawy, na takie wysztyftowanie żołnierza, aby wyglądał jak lalka (I, 82). „Wszędzie słychać,—czytamy w korespondencyi,—tylko brzęk robienia bronią i słowa komendy, żadnéj innéj rozmowy oprócz o kragach, rzemieniach, tualecie żołnierskiéj i tempach maszerowania. Tyrania, jako skutek pedantyzmu frontowego i ogólny upadek ducha w wojskach, oto cechy czasu (I, 87). Gwardya upada pod każdym względem prócz jednych tylko nóg, na które zwrócona szczególniejsza uwaga“ (I, 124). Oto jeszcze kawałek z listu Zakrewskiego z r. 1823: „Porządek w naszém państwie nigdy się nie polepszy, trudno więc zostawać na służbie uczciwym ludziom dbającym nie tylko o swoję korzyść lecz i o dobro ojczyzny. Aczkolwiek źle jest, daj Boże, aby cesarz nas wszystkich przeżył. Bez niego cóż za nadzieja i co może spotkać Rosyą?“

W r. 1817 Kisielew użyty był do bardzo delikatnéj misyi zbadania istoty zatargów pomiędzy głównodowodzącym 2-gą armią hr. Bennigsenem a intendentem Żukowskim. Skutkiem badania było podanie się do dymisyi Bennigsena, którego miejsce zajął ks. Wittgenstein. Wróciwszy z kongresu Akwisgrańskiego cesarz Aleksander I mianował Kisielewa, mimo woli i nawet niezważając na niejaki

opór ze strony Wittgensteina, szefem sztabu tego ostatniego. Armia konsystowała w Besarabii i guberniach południowych, kwaterę główną miała w Tulczynie. Sprawdziło się to co pisał do Kisielewa Zakrewski (I, 71): „rozumny jesteś, zwłaszcza umiesz do każdego się zastosować;“ jakoż wkrótce stanęło dobre porozumienie z Wittgensteinem, zwłaszcza że Kisielew bardzo sobie upodobał mającego na Wittgensteina wpływ stanowczy adjutanta jego *Pestla*. Darmo ostrzegał Zakrewski, że to człek niebezpieczny, w podejrzeniu u cesarza zostający. „Z całego sztabu—odpisywał K.—to jeden, ale co się nazywa jedyny człowiek, mogący być z korzyścią użyty, chwalę go nie za przymioty duszy, ale za rozum i użyteczność. To koń doskonale wyjeżdżony, ja nań włożyłem uzdeczkę tak zręcznie, że on do niéj przywykł i słucha.“ Oprócz Pestla otaczało Kisielewa mnóstwo ludzi należących do związku politycznego *Sojuz Błagodienstwija*; do takich należeli adjutant Kisielewa Burcow, Basargin i inni.

Dużo mieli ci ludzie dobrych chęci, marzyli o kształceniu żołnierza za pomocą metody szkolnéj wynalezionéj przez Lankastra. Nieliczne i z samych tylko oficerów złożone było towarzystwo w Tulczynie ale myślące i poważne. Zbierano się wieczorami, dyskutowano o kwestyach bardzo nieraz oderwanych i filozoficznych; w rozprawach tych górował Pestel rozumem i ostrym sądem (I,100). Naczelnik sztabu trzymał raczéj z młodzieżą aniżeli z pedantami, ale miał przeciwko sobie wielu niechętnych z pomiędzy starszyzny, zazdroszczących szybkiego awansu i powodzeń. Wielki takt i umiarkowanie isielewa nie ochroniły go od niespodzianek, zbieg okoliczności doprowadził go do przykrego pojedynku z jenerałem Mordwinowem, który zachwiał na chwilę całą karyerą utalentowanego sztabowca. Zajście jest wielce charakterystycznêm dla wojskowych obyczajów epoki.

W końcu 1822 r. oficerowie Odeskiego pułku piechoty, znienawidziwszy swego dowódcę, ciągnęli na losy kto z nich ma go przed frontem obić. Los wypadł na jednego z nich, który za to skazany został do ciężkich robót na Syberyi. O zamierzonêm wypoliczkowaniu dowódcy półkowego wiedział dniem przedtêm naczelnik brygady Mordwinow. Gdy to wykrył Kisielew, sprawił, że Mordwinowowi odjęto brygadę i przeniesiono go do innéj dywizyi. Aczkolwiek cała kolizya wynikła ze stosunków ściśle urzędowych, Mordwinow, podniecony przez dowódcę korpusu Rudziewicza, posłał Kisielewowi wyzwanie na pojedynek. Miano za złe Kisielewowi, że nie zażądał przed pojedynkiem podania się Mordwinowa do dymisyi. Nie chcąc ani chwili zwlekać, Kisielew odpowiedział lakonicznie Mordwinowowi: z urzędu działałem jak się należało; gardzę wyrzutami i gotowem

dać żądaną satysfakcyą. Pojedynek odbył się na pistolety, o 40 wiorst od Tulczyna w Ładyżynie; ponieważ Mordwinow nie przywiózł sekundanta, obu pojedynkującym się sekundował adjutant Kisielewa Burcow. Strzelano o 8 kroków à la barrière. Kula Mordwinowa przeszła koło saméj skroni Kisielewa; Kisielew mierzył w nogę, ale trafił w brzuch, zranił przeciwnika śmiertelnie (I,180). Natychmiast po wypadku Kisielew zdał swój urząd jenerałowi dyżurnemu i doniósł o pojedynku listem do Cesarza, którego główny motyw zawierał się w tych słowach: j'ai cru devoir, non me refugier sous la protection des lois, mais aller au devant de la provocation et prouver que l'honneur de l'homme publique n'est jamais séparable de celui de l'homme privé. Skutki wypadku nieodpowiedziały oczekiwaniom nieprzyjaciół Kisielewa. Aczkolwiek Cesarz oświadczył, że wolałby gdyby pojedynek odbył się za granicą, jednak pozwolił Kisielewowi stawić się podczas przejazdu swego w Orle, a potém po odbytym przeglądzie 2-giéj armii w Tulczynie w Październiku 1823 r. obdarzył go szczególniejszemi łaskami i mianował jenerał-adjutantem.

Po rewii cesarz kazał mu towarzyszyć sobie do Wozneseńska i podczas objazdu osad wojskowych, zaprowadzonych przez Arakczejewa. Tu zaszła między dwoma generałami następna utarczka na języki. „Mówił mi Najjaśniejszy, jakeś mu pan dogodził. Tak jest zadowolniony, że chciałbym się nauczyć od pana jak dogadzać J. C. Mości; nieźle by było, gdybyś pan na czas pewien wziął mię do siebie do 2-giéj armii na adjutanta.“ Na te słowa Arakczejewa, Kisielew odparł: „I owszem, bardzo proszę; rad byłbym gdybyś w 2-giéj armii, panie hrabio, znalazł rzeczy przydatne dla osad wojskowych. Co się tyczy adjutanctwa, przepraszam, ale nie mogę; potém pan chciałbyś zapewne, abym i ja podał się na adjutanta pańskiego, a ja tego nie życzę.“ Arakczejew przygryzł wargi i odszedł. Potrzeba przywieść sobie na pamięć jaką to potęgą był podówczas Arakczejew, jaką grozą otoczone było jego imię i jak on gospodarował w osadach wojskowych, aby żądło tkwiące w odpowiedzi Kisielewa należycie ocenić.

III.

Daleko krytyczniejszą niżeli po pojedynku chwilę przebył Kisielew we dwa lata późniéj, w 1825 r. po śmierci cesarza Aleksandra I-go. Dnia 11 Grudnia przybył z Taganroga do Tulczyna generał-adjutant (późniejszy minister wojny) Czernyszew z papierami od naczelnika głównego sztabu Dybicza i z rozkazem aresztowania w 2-giéj armii wykrytych już spiskowców, członków towarzystwa tajnego. 13 Grudnia, na jeden dzień przed katastrofą petersburską, Czernyszew z Kisielewem udali się do Liniec pod Lipowcem dla przyaresztowania

wania Pestla, uwięziono nadto 22 oficerów. Kisielew nie tylko nie należał do związku ale nie wiedział nawet o jego organizacyi. Pomimo to, jego stanowisko względem dawnych znajomych, względem uwięzionych własnych adjutantów było wielce przykre. Z drażliwego położenia wywiązał się o ile można z godnością i taktem. Oto co pisze w swoich pamiętnikach spiskowy Basargin. — Należycie do tajnego towarzystwa, rzekł przywoławszy mię generał, zaprzéć się nie możecie, rząd wié wszystko: radzę szczerze przyznać się. Obraziły mię ton i z naciskiem powtarzany wyraz „wy“ w liczbie mnogiéj. — Chciałbym wiedziéć ekscelencyo, jak mię pan zapytujesz, czy jako szef sztabu czy jako Paweł Dymitrowicz, z którym przywykłem być otwartym. — Rozumie się, jako szef sztabu. — W takim razie proszę mi dać pytania na piśmie, bo przykro i boleśnie rozmawiać z panem jako z sędzią i jako z osobą urzędową. — K. się zamyślił, po czém rzekł: otrzymacie pytania.—Skłoniłem się, lecz gdym odchodził, usłyszałem słowa całkiem już innym tonem powiedziane: przychodź że na obiad do nas liberalisto, dawno cię nie widziałem.— Kiedy wieczorem przyszedł Basargin do naczelnika nie zastał go w domu, a tymczasem żona (z domu Potocka) z rozmów męża z Czernyszewem biorąc assumpt zaklinała Basargina, aby wszystko, co wiedział, wyznał o towarzystwie.—Pani mi radzisz rzecz wstrętną dla sumienia i poniżającą.—Je m'attendais à cette réponse, odrzekła, vous périrez, mais vous périrez en honnête homme, et croyez que mon éstime pour vous n'en sera qu'augmentée. Nie umiemy zdać sobie sprawy z logiki téj pani, która dopiéro co zagrzewa gorąco do czynu, a wnet potém wstręt do niego okazany nazywa uczciwością. Nie wiemy, co przemawiało ustami córki Szczęsnego: spółczucie rzeczywiste, czy grzeczność salonowa. Ale taką widać była ówczesna frazeologia, bo i Kisielew, gdy miał wyjeżdżać do Petersburga, żegnając się, rzekł do Basargina: „Przyjacielu, nie wiém o ileś zamieszany, pomódz ci w niczém nie mogę; nie wiém, jak sam przyjęty będę w Petersburgu. Mogę cię tylko zapewnić o moim dla ciebie szacunku, który się nie zmieni bądź-co-bądź“ (I,254). Spiskowiec mniéj od nas był wymagającym, gdyż nie widać z jego pamiętników, aby zapewnienia szacunku, gdy nie był pewnym życia, wydały mu się niestosownemi.

Jakkolwiek tłómaczył się Kisielew, że „głową swoją odpowiada za wierność armii, na którą nie mogły podziałać intrygi kilku „niecnych marzycieli“ i jakkolwiek liczba aresztowanych była stosunkowo niewielka, lecz w liczbie aresztowanych oficerów 2-giéj armii znaleźli się organizatorowie i główni przywódcy spisku; stanowisko téż Kisielewa zachwiało się. Jeździł do Petersburga w Styczniu 1826 r.,

tłómaczył się z „nieokreślonych“ podejrzeń, prosił o sprawiedliwość, w osobném podaniu do cesarza i—na miejscu dawniejszém pozostał, mimo niejakie ostygnięcie łaski, które dawało się czuć przez lat parę, aż je zatarły wypadki wojny tureckiéj 1828 r. gdy otrzymał rangę generała-lejtenanta za przeprawę przez Dunaj i szpadę z brylantami za utarczki pod Szumlą, i gdy zjednał sobie wziętość i imię doskonałego administratora. Kiedy w początkach 1829 r. Wittgenstein otrzymał dymisyą, Dybicz zaś został głównodowodzącym, Kisielewowi dano dowództwo korpusu kawaleryi, który stał w Bulgaryi, forpocztami docierał do Szypki i miał zająć Sofią, gdy dalszy jego pochód został wstrzymany w skutek zawarcia traktatu pokoju w Adryanopolu. W końcu 1829 r. włożono na Kisielewa ważny obowiązek prezydowania w obu dywanach Wołoszczyzny i Mołdawii w charakterze komisarza rządu rosyjskiego, to jest kazano mu być Solonem-prawodawcą téj urodzajnéj, ale ździczałéj krainy.

Aktem dodatkowym do artykułu 5 traktatu Adryanopolskiego, Porta zobowiązała się przyjąć i zatwierdzić te instytucye, dotyczące wewnętrznéj organizacyi, które dla otrzymujących pół niezależności hospodarstw, zajętych tymczasowo przez wojska rosyjskie, miały być wypracowane zgodnie z życzeniem tych krain, wyrażonem przez zgromadzenia miejscowych notablów. Położenie to z wielu względów było podobne do tego, jakie przed kilku laty widzieliśmy w Bulgaryi. W obu razach okupacya wojskowa dawała organizatorom ogromną przewagę; i po téj i po tamtéj stronie Dunaju wypadło stwarzać i zaszczepiać nowe instytucye na gruncie mało uprawianym i przez wieki wyzyskiwanym systematycznie. Jak w Bulgaryi tak i w Rumunii spodziewano się oporu ze strony klas zamożniejszych, więc tam postanowiono zgruchotać czorbadżiów, tu podkopać potęgę bojarów. W obu razach zaimprowizowani prawodawcy wprowadzali reformy, które mogli znać tylko z książki, gdyż nigdy ich przedtém w praktyce nie mieli sposobności wypróbować.

Obok jednak tylu podobieństw zachodziły i różnice nie małe, z różnicy czasów i okoliczności wynikłe. Na południowym brzegu Dunaju chciano zjednoczyć prowincye niebotycznemi przecięte górami, na północnym brzegu wolano utrzymać w odosobnieniu krainy, których nic nie rozdzielało. W Bulgaryi, pozbawionéj od XIV wieku bytu politycznego, gdzie panowanie tureckie zostawiło niemal *tabulam rasam*, łatwiéj było układać projekta i próbować ich wykonania *quand même*; Wołoszczyzna, która zawsze miała pewną odrębność i wyrobiła sobie tém samém pewne właściwości ustroju społecznego, przedstawiała więcéj trudności. Jeśli Bulgarom można było powiedzieć, że ich obowiązkiem jest słuchać rozkazów, nie zaś

życzenia swe wypowiadać, to w postępowaniu z bojarami rumuńskiémi, dążąc do zamierzonego celu, należało zachowywać przynajmniéj *decorum* zewnętrzne. Tém kłopotliwsza téż praca, ale tém większa téż zasługa przypadła na udział Kisielewa; uznając to w zupełności, nie powtórzymy jednak słów, które komuś podobało się powiedziéć, że Kisielew został praojcem teraźniejszéj kostytucyi rumuńskiéj, organizatorem, który kładł podwaliny pod dzisiejszą monarchią konstytucyjną nad dolnym Dunajem, równie jak Napoleona I lub Talleyranda nie nazwiemy praojcami Gambetty. Cenić pożyteczną działalność jednostek należy, ale przeceniać ją—jest błędem. Wedle naszego widzenia, podwalin dzisiejszéj konstytucyi rumuńskiéj szukać należy w kilkowiekowéj samoistności Wołochów, którą ożywczy powiew zachodu nowym natchnął duchem.

Pomimo przewagi, opartéj na siłach zbrojnych, reprezentant Rosyi tak jednak musiał manewrować, aby statuty organiczne dla hospodarstw nie wyglądały jako narzucone ludności i nie zdradzały, nie tyle w obec Porty, ile w obec Europy i najgłówniéj zainteresowanéj w losach rumuńskich krain Austryi, myśli zaborczych i zamiarów anneksyi. Stosunki społeczne były pełne zamętu, tém trudniejsze do rozwikłania, że możne klasy i osoby były zainteresowane w utrzymaniu krzyczących nadużyć. Demoralizacya panowała zupełna. Nowy z ramienia Rosyi regent pisał do przyjaciół (I,338): „Kazano mi tu zostać i prowadzić wojnę z gorączkami, dżumą i z szachrajami (płutami) i miejscowymi i naszymi... Mój poprzednik (Żełtuchin) chciał krajem rządzić jak gubernią i uzbroił przeciwko sobie wszystko i wszystkich. Tu wszyscy biorą *kubany* albo grabią bez wstydu. U wszystkich i starszych i niższych jeden cel tylko: zaćmienie prawdy i przeszkodzenie wszystkiemu, co prowadzi do uporządkowania i systematycznéj organizacyi." Ton listu nasuwa nam myśl, że rola Katona, mianowicie na obczyznie, nie jest bez pewnego pociągającego uroku. Stara to i wielce przez wzory kaligraficzne Oleszczyńskiego spopularyzowana prawda, że łatwiéj w cudzém oku dojrzeć proszek aniżeli belkę w swojém własném. Mieliśmy sposobność przekonać się o niéj własnym kosztem, gdy w trzydzieści pięć lat po Katoniewuju, Kato-siostrzeniec malował nasze społeczeństwo w swych listach, nieżałując także czernidła. Proceder ten zresztą stale jest w niektórych krajach praktykowany przez obejmujących władzę nowych administratorów: instynktownie odgadują oni, że na sztucznie przyciemnioném tle tém jaśniéj osoby ich odbijać będą.

Nie znaczy to wszakże, abyśmy faktom przytoczonym przez Kisielewa zaprzeczać chcieli. Inaczéj bowiem nie mogło być w krajach, w których przez długie lata urzędy hospodarskie były wydzier-

żawiane w Carogrodzie przez fanaryotów. Z 6.800.000 piastrów dochodu państwowego na Wołoszczyznie przed 1828 rokiem, 1.800.000 szły na utrzymanie hospodara, który brał jeszcze oprócz tego 2 miliony na wydatki nadzwyczajne w Carogrodzie, tak iż w rękach jego tonęło około 56% dochodu państwowego. Dzierżawca-hospodar wydzierżawiał wszystkie niższe urzędy zwykle na rok jeden, z czego łatwo można wnosić o zdzierstwie tych urzędników, potrzebujących wynagrodzić sobie koszta na zdobycie posady poniesione. Policyi i milicyi przewodniczyli na Wołoszczyznie—spatar, w Mołdawii—ketman, mający pod komendą pułkowników i kapitanów, którzy rozkazywali ściąganym za pomocą poboru *katanom* czyli milicyantom z wieśniaków. Bogatsi chłopi odkupywali się od tej służby. Milicya ciągnęła zyski z rozbojów i kradzieży, działając na spółkę ze złodziejami i dzieląc się z nimi zwyczajem uświęconą „zeczujałą" czyli dziesięciną z odebranych złodziejom rzeczy. Wszystkie władze były pomieszane. Głównym ministrem był „wistyary," naczelny poborca podatków, któren trzymał w każdym powiecie 2 sprawników: ci trudniąc się poborem podatków, byli zarazem sędziami. Każda sprawa mogła dochodzić drogą skargi, za pomocą kubanów, do hospodara, któren chętnie wyrokował na nowo w sprawach, rozsądzonych już przez jego dwóch poprzedników. Środkami zwyczajnemi i wciąż używanemi były: kara śmierci, obcinanie członków i tortura. Poborcy podatków rozkładali je na lud wiejski w najniesłuszniejszy sposób, wpisując do jednéj *ludary*, czyli jednostki podatkowéj, jednakie liczby albo najbogatszych albo najbiedniejszych rodzin. Odrazu przy pierwszém rozpoczęciu działań komisyj lustracyjnych, których uorganizowanie nakazane zostało przez Rosyan, wykryto 36.000 rodzin uchylających się od wszelkiego podatku.

Przeciwko zniesieniu tych nadużyć poborowych reklamowała Austrya, któréj poddani mieli niby zapewnione sobie traktatami prawo wolnego handlu w hospodarstwach. Pod tym pretekstem 6 tysięcy rodzin z Austryackich ziem przybyłych zajmowały się handlem nic nie płacąc. Wyższe klasy: bojarowie i duchowieństwo rade by ograniczać władzę hospodarską, lecz zainteresowane były najmocniéj, aby nie dochodziły żadne radykalne reformy, któreby wywróciły ich przywileje. Bojarowie obawiali się głównie zniesienia poddaństwa to jest wyzwolenia tak zwanych *sokotelników* czyli poddanych czynszowników i *posłuszników* czyli poddanych pańszczyznianych, a liczono obu gatunków tych niewolników w obu księstwach 120 tysięcy rodzin, należących do 2.000 rodzin bojarskich. Takie były stosunki w chwili, gdy Kisielew przyłożył energicznie siekierę do nadużyć i rękę do bardzo stanowczych ulepszeń.

W każdém z obu księstw-hospodarstw istniały dywany czyli przyboczne rady hospodarskie z wyższych urzędników, duchowieństwa i bojarów i były już przez dywany wybrane z pośrodka nich komisye, celem ułożenia statutów organicznych, które miały stanowić o przyszłéj organizacyi krajów. Prezydujący komisarz dywanów przywodził zarazem korpusowi okupacyjnemu rosyjskiemu i miał przy sobie mogącego go wyręczać zastępcę w osobie byłego konsula rosyjskiego *Minczaki*, dobrze obznajmionego ze stosunkami krajowemi. Należało przedewszystkiém, nawet przed ułożeniem statutów, pozbyć się najbardziéj krzyczących nadużyć, znieść sprzedajność i wydzierżawianie urzędów, znieść bezprawne pobory, opodatkować uchylających się od tego albo uprzywilejowanych. Kisielew powołał do czynności w życiu publiczném szlachtę drobniejszą, stojącą dotąd na uboczu, i wprowadził ją w znacznéj liczbie do tak zwanych lustracyjnych komisyj powiatowych, które miały na celu wykrycie i sprostowanie nadużyć; otworzył on jéj jeszcze szerokie pole służby w milicyi ziemskiéj i korpusie tak zwanych „dorobańców," mogących stanowić zawiązek narodowéj siły zbrojnéj (I,335—336). Przy pomocy drobnéj szlachty dokonano zniesienia poddaństwa i zaliczenia do stanu wolnych rolników tych, którzy służyli bojarom na czynszu albo na pańszczyznie pod nazwą sokotelników i posłuszników. Bojarów-właściciele wynagrodzono za stratę rocznemi dożywotniemi wypłatami ze skarbu. Żydom wzbroniono dzierżawić grunta. Ustanowiono stały kurs monety rumuńskiéj odnośnie do dukata holenderskiego, który miał odtąd stale liczyć w sobie 31½ lewów krajowych. Zniesiono karę śmierci i torturę. Ustanowiono porządny proces sądowy.

Wszystkie te zmiany, jedna po drugiéj, szły doraźnie i szybko przed ułożeniem jeszcze statutów, mimo hałasu i krzyków, i w téj myśli, że „trzeba krajowi narzucić dobrodziejstwo porządnéj administracyi, zanim ludność oceni jéj korzyść" (I,353). Kisielew przewidywał opór, któren muszą napotkać wszelkie wprowadzane reformy: szlachta traci poddanych, swój współudział w rozdrapywaniu dochodów rządowych i wpływ na sprawy administracyjne i sądowe; duchowieństwo—część swych dochodów i wpływ na sprawy cywilne; kupcy i przemysłowcy będą opodatkowani i podciągnięci pod pewne prawidła. Statut określi i ograniczy władzę hospodarów i urzędników. Austrya bezpośrednio jest zainteresowaną w utrzymaniu dawniejszego porządku rzeczy i popiera nie biedniejsze klasy, lecz jedynie tylko szlachtę, któréj przyrzeka korzystanie z dawniejszych nadużyć (I,353). Dla przezwyciężenia tych przeszkód, Kisielew używał zręcznie metody, która później, gdzieindziéj,

przy mniejszych trudnościach, z mniejszém téż umiarkowaniem zastósowana, sławioną była jako coś niby wcale nowego i wielce genialnego. Oczywista przecież, że prawo wynalazku należy do Kisielewa, nie zaś do jego naśladowców. Powołał on do pomocy wielu urzędników rosyjskich: w każdéj komisyi lustracyjnéj był z nich jeden w charakterze prokuratora. Rachował téż komisarz na wychowanie: rozumiał bowiem, że przez wychowanie młodych rumunów i rumunek w rosyjskich zakładach naukowych, zdoła wpłynąć na wprowadzenie zwyczajów i obyczajów ze społeczeństwa rosyjskiego pochodzących. Łatwiéj mu szło na Wołoszczyźnie aniżeli w Mołdawii, gdzie szlachty było więcéj i szlachty burzliwszéj i gdzie górowały sympatye austryackie.

Przewidzenia w znacznéj części sprawdziły się, opór klas zainteresowanych w nadużyciach został złamany, drobniejsza szlachta, kupcy i przemysłowcy zasmakowali w zmianach i poparli nowy stan rzeczy. Projekty statutów już były gotowe, trzeba je było poddać rozpoznaniu zgromadzeń niby prawodawczych czyli tak zwanych *rewizyjnych*, poczém dopiéro przyjęte i poprawione statuty miały otrzymać w Konstantynopolu sankcyą sułtana. Zgromadzenia obradujące nie miały najmniejszéj cechy przedstawicielstwa, były to ciała złożone z wyższych urzędników i z notablów wyłącznie ze stanu bojarów 1 albo 2 klasy, których miał zamianować sam pełnomocny komisarz-prezydujący ze spisów, ułożonych przez dywany. Te ciała obradujące miały: 1) przejrzéć i uchwalić statuty, 2) obrać hospodarów. Kisielew wszelkich starań użył, aby rozdzielić obie funkcye i przeprowadził, że obiór hospodarów nastąpi późniéj w nowém zgromadzeniu i dopiéro wtedy, gdy same statuty zostaną już przez sułtana zatwierdzone. 10 Marca 1831 r. odbyło się z przepychem i ostentacyą w Bukareszcie zagajenie przez Kisielewa zgromadzenia rewizyjnego dla Woloszczyzny. Mowa jego przy zagajeniu ułożona była w stylu przypominającym Napoleońskie odezwy, więc mocno podniecała narodowe uczucia Wołochów: „Potomkowie chrobrego narodu! Przodkowie wasi mieli rząd narodowy, który ustąpił miejsca innemu obcemu, słabemu i przypadkowemu. Gdy ludy europejskie szły drogą postępów, narody zamieszkujące te kraje pozostawały nieruchome. Dziś, wzywane przez cywilizacyą, już nie mogą dłużéj się uchylać od swego powołania. Podziękujmyż niebiosom, że ta zmiana któréj zwykle towarzyszą gwałtowne przewroty i klęski, odbędzie się spokojnie dzięki woli téj dynastyi, która od Piotra Wielkiego wciąż opiekowała się ziemiami naddunajskiemi.“

Statut został przyjęty z bardzo małemi zmianami. Ustanawiał on wielkie zgromadzenia narodowe nadzwyczajne ze 190 osób dla obioru hospodara dożywotnio, z wyższego duchowieństwa, bojarów i deputowanych od własności gruntowéj i od miast; małe zgromadzenia zwyczajne, doroczne, z 43 członków, dla uchwalenia budżetu na przyszłość, obrachowania sprawozdań i przedstawiania potrzeb kraju; sprawy bieżące miała załatwiać rada administracyjna z ministrów.

Sąd oddzielony został od administracyi i złożony z 3 instancyj. Hospodar sam sądowych spraw nie rozpoznawał, mógł tylko poddawać ostateczne wyroki nowemu dywanowi rewidującemu, złożonemu napoły z sądowych napoły z administracyjnych urzędników. Gładko rzecz cała poszła w Bukareszcie, daleko z większemi trudnościami odbyły się tegoż rodzaju obrady w Jassach w końcu 1831 roku. Oto co pisał w poufnym liście do Buteniewa (z 1832, IV, 83) Kisielew. „Mam tu twardą przeprawę z brodaczami mołdawskimi; są to najbardziéj wichrzący intryganci z pomiędzy tych, co się roją pod mycką niebieską... Bojarstwo to zawsze dbało tylko o jedno: o uciskanie klas niższych... Żaden hospodar im nie podoła. Jeżeli nie zmienimy składu zgromadzeń zwyczajnych, będziemy mieli w Jassach drugą małą Warszawkę, i to za dwa lata co najdaléj. Wołochowie są tysiąc razy spokojniejsi i łatwiejsi do prowadzenia od Mołdawian.“ Statuty dla księstw zostały natychmiast w wykonanie wprowadzone we wszystkich punktach krom obioru hospodarów, zanim jeszcze nastąpiło zatwierdzenie sułtańskie, na które trzeba było bardzo a bardzo długo czekać.

IV.

Porta zwlekała jak za zwyczaj: fanoryaci, Ormianie, bojarowie czorbadżyje, co się tuczyli na urzędach, szukali w Konstantynopolu sposobów unieważnienia statutów. Nadzieje te podtrzymywało powstanie w królestwie polskiem r. 1831. Wedle traktatu Adryanopolskiego, po spłaceniu przez Turcyą pewnéj części kontrybucyi wojennéj (z 11 milionów już zredukowanéj do 9 na mocy konwencyi z r. 1830), powinna była ustać okupacya wojskowa księstw naddunajskich; po ustaniu okupacyi, gdyby do tego czasu statuty nie zostały zatwierdzone, rząd turecki mógłby odmówić zatwierdzenia, a wtedy znalazłaby się możność zniesienia od razu wszystkich reform i powrócenia do dawnego przed wojną stanu. Kasy sułtańskie były puste i trudności wielkie zachodziły w wypłacaniu kontrybucyi, lecz zawikłania dyplomatyczne i kłopoty przy zwalczaniu powstania polskiego dawały Porcie otuchę, że może i bez tego warunku rząd rosyjski wyrzecze się okupacyi księstw i wojska swoje wycofa by dogodzić za-

chodnio-europejskim mocarstwom i zwiększyć siły bojowe rozporządzalne. Zajęty głównie losem księstw i ukonsolidowaniem nowego stanu rzeczy, Kisielew radby był widział przeciąganie się tego *interim* jak najdłuższe z warunkiem okupacyi, lecz w tym punkcie rozmijał się znacznie w zdaniach z osobami wpływowemi w gabinecie petersburskim, jak to można wnioskować z następnych urywków korespondencyi jego z kanclerzem państwa. 29 września r. 1831 pisał do Kisielewa Nesselrode: „Co się tyczy gwarancyi, jaką nam przedstawia okupacya księstw, daje ona powód do krzyków w Europie. Turcy zamiast płacenia kontrybucyi mogą poprostu zrzec się zwierzchnictwa nad księstwami, już dziś będącego pozornêm tylko i jałowêm. Co zrobimy? jaka stąd będzie korzyść? Objawimyż ich przyłączenie do cesarstwa? W zamiary najjaśniejszego pana nie wchodzi po sunięcie granic naszych do Dunaju, a têm mniéj budzenie przez to niespokojności w sprzymierzonych z nim i potwarzy ze strony wrogów. Bardzo nam chodzi o to, aby co najprędzéj księstwa były uorganizowane, hospodarowie osadzeni na swoich stolicach, a wojska gotowe do opuszczenia księstw" (I, 396). Kisielew odpowiadał, że nie myślał wcale o przeciąganiu okupacyi po za spełnienie przez Turcyą zobowiązań, ale sądził że trzeba aż do wiosny 1832 zajmować imponującą dla Turcyi pozycyą nad Dunajem, korzystając z opieszałości Porty. „Co się tyczy przyłączenia księstw, nie uważałem go, pisał, nigdy za dogodne dla Rosyi, nawet w przypadku, gdyby Porta wyrzekła się całkiem swego nad niemi zwierzchnictwa."

W r. 1832 zmieniły się widoki. Rosya już się załatwiła z powstaniem w Polsce, natomiast Turcyi zagroził basza egipski Mehmet Ali, którego wojska zajęły Syryą. Dla dyplomatów rosyjskich, a w téj liczbie i dla Kisielewa, otwarły się niezmiernie nęcące i niemal olśniewające perspektywy protektoratu nad Turcyą celem jéj ocalenia, a przytêm zajęcia dla bezpieczeństwa swego jakiéjkolwiek forteczki nad Bosforem. By dopiąć tego celu, snadno można było obiecać i odroczenie konstytucyi i pomoc wojskową i flotę (I, 401). Te różowe przewidywania i nadzieje były bardzo bliskie spełnienia 21 Stycznia 1833. Gdy syn Mehmeta, Ibrahim Basza, z Konieh kierował się na Achszer i doszedł do Karahissar, zmierzając wprost na Konstantynopol, reis-effendi prosił rząd rosyjski za pośrednictwem Buteniewa o co najprędsze przysłanie do Konstantynopola floty i wojska od 25 do 30 tysięcy. Flotę można było sprowadzić z Sewastopola. Wojska mógł dostarczyć tylko chyba Kisielew z księstw naddunajskich. Wybór cesarza Mikołaja padł w istocie na Kisielewa; kazano mu, zmobilizowawszy siły zbrojne, być w gotowości do przejścia przez Dunaj i pochodu do Konstantynopola. Wiadomość tę Kisielew przyjął ze szczegól-

niejszém namaszczeniem i entuzyazmem, marząc o otwierających się dla Rosyi niezmierzonych widokach świetnéj przyszłości, o błogosławieństwie nieba, o misyi prowidencyalnéj (I, 407). Poraz pierwszy w życiu wypadłoby mu prowadzić wielką wojnę samoistnie i w pierwszorzędnéj roli. Tęskne oczekiwania zawiodły, rozkazu do wymarszu za Dunaj nie otrzymał, ponieważ 15 Marca 1833 Porta w piśmie doręczoném Buteniewowi prosiła gabinet petersburski, na kilka dni przed pojawieniem się w Bosforze floty rosyjskiéj z 10 tysiącami śpiesznie zebranego w Odesie wojska, ażeby się z dalszemi krokami powstrzymano, ponieważ rzeczy z Mehmetem Alim wzięły już inny obrót i nachylają się ku ugodzie. Porta ustąpiła przed baszą egipskim dając mu wszystko czego chciał, nietylko Syryą, lecz i Adanę. Daremnie wysłany przez cesarza Mikołaja poseł jego Orłow proponował sułtanowi cofnięcie ustępstw i prowadzenie daléj wojny, posiłkując się siłami zbrojnemi Rosyi lądowemi i morskiemi. Sułtan odpowiedział, że jest u siebie panem, może gdy zechce ustąpić chociażby połowę państwa (I, 414). Wojska i okręty rosyjskie opuściły Bosfor, a owocem wypadków r. 1833 były tylko tajemny traktat obronnego aliansu na przyszłość w Unkiar-Skelessy z d. 26 marca 1833 i misya do Petersburga ulubieńca sułtańskiego, dowódcy gwardyi jego, Achmeta baszy, z którym załatwiono ostatecznie w Petersburgu w listopadzie r. 1833 kwestyą księstw naddunajskich. Porta zobowiązała się zatwierdzić statuty organiczne i ogłosić to sankcyonowanie w osobnym hatti-humajumie. Tryb mianowania dożywotnich hospodarów zmieniono, zamiast wybierania ich przez wielkie zgromadzenia narodowe, postanowiono, że Porta wybierze na hospodarów osoby ze spisu kandydatów, jaki jéj będzie podany przez rząd rosyjski. Po objęciu rządów przez hospodarów miała nastąpić ewakuacya księstw przez wojska rosyjskie. Achmet basza wracał do Konstantynopola przez Jassy. W Jassach Kisielew podał mu spis kandydatów. W kwietniu r. 1834 Porta mianowała z tego spisu hospodarami wołoskim Ghikę i mołdawskim Sturdzę. Wnet potém 11 kwietnia 1834 Kisielew opuścił księstwa, zostawiając po sobie kraj urządzony, dobrze zagospodarowany, kasy rządowe pełne pieniędzy z przewyszek dochodów nad wydatkami. Ludność mołdawska przeprowadzała go tłumnie z Jass aż do Skulan nad Prutem. O wiele lat późniéj, bo w marcu 1842, zgromadzenie narodowe wołoskie uchwaliło mu indygenat krajowy i posąg w Bukareście, z których to darów pierwszy został przyjęty, od drugiego Kisielew uchylił się. Pamięć o nim trwa dotąd bardzo wdzięczna i żywa w Rumunii. Z powrotem Kisielewa do Petersburga zamknął się dlań na zawsze zawód wojskowy i rozpoczął się nowy niemniéj ważny administracyjny, o którym powiemy w przyszłym zeszycie. (*Dok. nast.*)

ODCZYTY PRZYRODNICZE

W RESURSIE KUPIECKIÉJ

W listopadzie i początkach grudnia r. z., podobnie jak w zaprzeszłym, komitet Resursy Kupieckiéj urządził szereg popularnych prelekcyj przyrodniczych, które choć materyalnych korzyści nie przyniosły, a nawet wiele poświęcenia ze strony urządzających odczyty i prelegentów wymagały, jednakże pozwoliły kasyerowi związać koniec z końcem i uzyskały sobie kółko słuchaczy, które i nadal może im byt zapewnić. Ukształcona publika przyjęła je bardzo sympatycznie i spodziewać się należy, że komitet resursy w następnych latach nie zaprzestanie dostarczać umysłowego pokarmu zastępowi słuchaczy, składającemu się w znacznéj części z członków resursy i ich rodzin.

Urządzający odczyty powzięli nader racyonalną myśl nadania odczytom łączności. Rzeczywiście ze zwykłych naszych prelekcyj publicznych daleko więcéj dałoby się osięgnąć korzyści umysłowéj, gdyby temata ich nie były ztąd i z owąd wyrwane, ale stanowiąc całość indywidualną, sumowały się jednak i tym sposobem dążyły do wykazania jakiejś prawdy ogólniejszéj, przedstawiały jakiś obszerniejszy ustęp z nauki. Zbytecznóm byłoby dowodzić, że takie odczyty nietylko wspomagałyby się w wyjaśnieniu kwestyi, ale nawet w utrwaleniu głównych rezultatów w umysłach słuchaczy. Zrozumieli to promotorowie odczytów w resursie kupieckiéj, i w roku zaprzeszłym dość szczęśliwie, jak na początek, udało im się to zadanie przeprowadzić. Zachęceni przez publiczność i prasę, które z wielką sympatyą, przyjęły tę reformę, postanowili iść dalej tym torem w dopiéro co minionym sezonie.

Przez szereg odczytów zeszłorocznych przewijał się jak nitka złota w tkaninie—pierwiastek węgiel. Co za wyborny temat! Jakaż

szerokość i doniosłość w rezultatach naukowych, jakaż głębokość w wnioskach ogólnych, jakaż różnobarwność i malowniczość w częściach pojedyńczych! Doprawdy, że trudnoby wybrać przedmiot ciekawszy, bardziéj pouczający i bardziéj ponętny.

W wyobraźni naszéj powstaje wspaniały, odwieczny, dyszący wszechpotęgą i wszechmądrością obraz metamorfoz węgla. Idziemy za tém niepozorném ciałem po śladach stworzenia: widzimy go w ciałach niebieskich, wstępujemy do głębin ziemi, szukamy w związkach z rozmaitemi ciałami, w rozmaitych postaciach; badamy jego zmiany, jak z dwutlenku węgla rozproszonego w powietrzu, staje się ciałem roślin a potém zwierząt, aby znów przejść w stan gazowy, uciec w powietrze lub do głębin ziemi i dokonywać potężnych zmian geologicznych, dopóki znowu rośliny nie wciągną go z powietrza w nieskończony kołobieg życia organicznego!

Zobaczmy jak został rozwinięty ten temat, jak skorzystano z jego głębokości i szerokości w obecnym szeregu odczytów.

W pierwszym odczycie prof. Trejdosiewicz mówił o formacyi węglowéj poprzedzając rzecz długim wstępem o formacyach geologicznych, podziale skał, minerałach węglowych itd. Przeszedłszy bardzo krótko warunki fizyczne i chemiczne tworzenia się pokładów węgla, zakończył swój odczyt uwagami przemysłowemi.

P. Znatowicz powrócił w drugim odczycie od odmian węgla, skonstatował w nich jeden i ten sam pierwiastek chemiczny, zaznaczył jego obecność w roślinach i zwierzętach i zajął się przeważnie dwutlenkiem węgla.

W trzecim p. Milicer zacząwszy od wykazania różnicy pomiędzy składem ciał roślinnych i zwierzęcych, skonstatował w tych ostatnich obecność azotu, scharakteryzował ten pierwiastek, wspomniał o ammonie i przeszedł do cyanu jako grupy, występującéj w charakterze pierwiastku, daléj do kwasu pruskiego, błękitu berlińskiego i zastosowania jego w przemyśle farbierskim.

Odczyt p. Lepperta miał na celu nauczenie słuchaczy, że związki organiczne mogą powstawać z pierwiastków je składających, na zasadzie sił tych samych jakie działają w świecie nieorganicznym. Skończył kilku słowami o związkach białkowych, nad któremi jeszcze chemia nie zawładnęła ale ma nadzieję zawładnąć.

Piąty odczyt, dra Mayzla, miał za przedmiot zjawiska życiowe białka, zasadnicze objawy życia. Z powodu nagłéj niedyspozycyi prelegenta odczyt ten nieudał się i z téj przyczyny w uwagach naszych tylko uboczne miejsce zajmować może.

Tematem szóstego odczytu p. Edmunda Jankowskiego było odżywianie się roślin. Prelegent wrócił do dwutlenku węgla, wykazał

jego znaczenie dla życia roślin, jako materyału pokarmowego, i rozebrał stosunek światła do assymilacyi dwutlenku węgla w roślinach.

Wreszcie p. Slósarski w ostatnim odczycie, mówił o oddychaniu i organach oddychania.

W tak krótkiém streszczeniu musi się z natury rzeczy, z powodu koncentracyi, uwydatniać jako tako idea przewodnia. Lecz w odczytach ginęła ona w masie faktów i zaznaczona jedynie bywała wzmiankami dalekiémi i jakby mimochodem wypowiedzianémi. Poszukajmy jéj szczegółowo w planie i treści odczytów.

W odczycie pierwszym główny nacisk był położony na geognostyczną budowę skorupy ziemskiéj oraz stanowisko węgla w naszym przemyśle. Proces tworzenia się pokładów węgla, stosunek z jednéj strony do węgla kosmicznego a z drugiéj do organicznego, był bardzo mało przez prelegenta uwzględniony.

Odczyt drugi znajdował się całkowicie na linii idei przewodniéj, ale został rozpoczęty jako odczyt oddzielny, niepołączony ściśle z poprzednim.

Odczyt trzeci miał tylko o tyle prawa bytu w tym szeregu, że była w nim mowa o grupach występujących w charakterze pierwiastków, oraz krótka charakterystyka azotu. W każdym razie niewłaściwie znalazł się tuż za odczytem drugim. Nadto, zaznaczona kwestya rodników złożonych, nie była już w dalszych odczytach przeprowadzoną i z pewnością zupelnie została straconą dla sluchaczy. Czyż nie byłby na tém miejscu właściwszym, czyż nie dałby szerszego pola do nauczenia publiczności temat o węglowodorach?

Czwarty odczyt, podobnie jak drugi był w bezpośrednim związku z ideą przewodnią. Był jednak zanadto abstrakcyjnie opracowany.

Piąty ze względu na temat, był zupełnie na swojem miejscu, ale jakeśmy już wspomnieli temat nie został rozwinięty.

Po téj luce, która wielki cios ciągłości odczytów zadała, nastąpił odczyt szósty, najzupełniéj odpowiedni w tym szeregu, ale położenie głównego akcentu na światło odwiodło uwagę od linii prostéj.

Nareszcie odczyt siódmy byl tylko o tyle z poprzednim połączony, że prelegent zaznaczył przelotnie antytezę pomiędzy asymilacyą i oddychaniem.

I, biorąc rzecz ogólnie, tylko lekkie wzmianki jakieśmy wspomnieli stanowiły łączność pomiędzy jednym a drugim odczytem, naturalnego zaś wypływu jednéj kwestyi z drugiéj, widocznego dla słuchaczy bez żadnych określeń, nie było wcale, albo też co najwyżéj zarys łącznéj idei tak był delikatny i rozproszony, że uchwycić go mogły tylko bardzo bystre umysły.

Stało się więc to, co się staje z maszyną o częściach dobrych lecz nie skompletowanych i niedopasowanych. Skutek nie został osiągnięty. Indywidualność odczytów była prawie niczém nie ograniczoną, nie uczyniła należnych ustępstw zbiorowości i—mieliśmy tylko pojedyńcze odczyty.

A szkoda wielka, że się nie udał plan tak znakomity.

Zastanówmy się teraz nad odczytami wziętemi każdy z osobna.

Najogólniejszém zdaniem jakie o nich wyrazić można jest: że były dobre, pouczające, zajmujące, mające wysoką wartość w porównaniu ze zwykłém poziomem naszych odczytów. Na tém zdaniu moglibyśmy i powinnibyśmy poprzestać, gdyby recenzya nasza przeznaczona była dla szerokich kół publiczności. Ale Ateneum ma najpoważniejszych czytelników, a pomiędzy nimi wielu takich, którzy albo nauczają, albo w przyszłości nauczać będą z katedry publicznéj. Z drugiéj strony większość prelegentów, którzy się dali słyszeć w Resursie, ma według naszego przekonania wszelkie dane do zostania wybornymi nauczycielami publicznymi. Czyż obowiązek recenzenta nie nakazuje mu w takim razie użyć najczulszéj wagi surowéj krytyki. Czyż jakakolwiek pobłażliwość nie byłaby w podobnych warunkach ujmą dla krytykowanych? Czyż bezstronna krytyka poprzestaje na *stopniu równym*, czyż nie powinna zawsze pobudzać bezwzględnie do *najwyższego?*

Sądzimy, iż tylko stosowanie takiego kryteryum do oceny faktów pozwoli nam wejść na drogę postępu i zrównania się ze społeczeństwami zachodniemi. Stosujemy je tutaj bezwzględnie i przystępujemy z kolei rzeczy do wykazania usterek, jakieśmy w większości odczytów zauważyli, usterek które nie pozwalają prelegentom zająć należnego im stanowiska na polu popularyzacyi nauki.

Podobnie jak w szeregu odczytów, w każdym odczycie oddzielnym powinien być punkt środkowy, około którego wszystko się układa, do którego wszystko dąży. Nie powinno być nic nie mającego z nim blizkiego związku, nic takiego coby mogło odciągnąć od niego uwagę. Wobec tego jasno wytkniętego i określonego środka ciężkości, wszystko powinno być *podrzędném* nie zaś *współrzędném*. Inaczéj odczyt przyrodniczy staje się kalejdoskopem faktów.

Lecz podobnie jak w całym szeregu, tak téż w każdym odczycie oddzielnym, okoliczność ta nie była dosyć uwzględnioną. Nie było punktów ciężkości a przynajmniéj prelegenci nie dość je uwydatniali, nie dość silnie na nich akcent kładli. Części odczytu miały charakter współrzędności, to téż najczęściéj publika wynosiła tylko kilka wiadomości oderwanych, co prawda bardzo pożytecznych, ale

korzyści tój bynajmniéj nie można uważać za proporcyonalną do zasobu nauki i pracy przygotowawczéj prelegentów.

Przyczyną téj usterki był przedewszystkiém nadmiar materyału przeznaczonego do wykładu, widoczny niemal na każdym odczycie. On to rozrywał uwagę prelegenta, on nie pozwolił wyosobnić się środkom ciężkości, on wreszcie mieszał niekiedy prelegentów, gdy w ciągu lekcyi spostrzegali, iż ze względu na czas wypada pewną część faktów opuścić...

Lecz dla czego prelegenci z góry nie ustosunkowali materyału do czasu rozporządzalnego?

Stało się to wskutek zgrzeszenia przeciwko maksymie *ne quid nimis*. Przesadzili w dobrém. Wychodząc ze słusznéj zasady, że odczyt przyrodniczy powinien być objaśniany wielu i to świetnemi doświadczeniami i okazami, przygotowali ich o ile można najwięcéj. Doświadczenia rozszerzyły temat i tym sposobem ową szkodę spowodowały.

Lecz czyż omyłka podobna byłaby możliwą przy uprzedniém opracowaniu stylowém i ostateczném wykończeniu wykładu? Z pewnością nie, bo łatwo wymierzyć czas potrzebny na przeczytanie, a, w razie wątpliwości, z góry już przeznaczyć jakiś ustęp na opuszczenie, zabezpieczywszy jednocześnie ciągłość odczytu od szkody jakaby stąd wyniknąć mogła. Tymczasem przygotowania prelegentów ograniczyły się tylko na obmyśleniu materyału, ogólnego planu i doświadczeń—całą stronę stylową powierzyli swym zdolnościom improwizacyjnym, pod natchnieniem doświadczeń i okazów. Jedni wyszli z téj umyślnéj trudności wcale dobrze, inni miernie, lub nawet źle, zależnie od indywidualnych zdolności oryentowania się, wrodzonéj wymowy i praktyki pedagogicznéj. Lecz ileżby zyskały na swobodzie, płynności i elegancyi, nie mówiąc już o wartości wewnętrznéj, odczyty prelegentów nawet najwięcéj utalentowanych, gdyby zostały przed lekcyą ostatecznie wykończone!

Nie podobna nie wspomnieć, że znaczenie pedagogiczne odczytów poniosło szwank z tego powodu. Dla publiczności, trzeba mieć przygotowane wyrazy i wyrażenia, albo przynajmniéj objaśniać w sposób odpowiedni termina, z któremi nie jest osłuchaną. Lecz ścisłych a każdemu dostępnych wyrażeń naukowych nie podobna tworzyć *stante pede*. Trudno téż ciągle zostawać na stanowisku obserwacyjném i pilnować, aby się nie wymknął jakiś wyraz, jakiś frazes i przy największéj nawet łatwości dobierania wyrazów i składania frazesów podczas improwizacyi, całość bezwarunkowo cierpieć musi na tém zajęciu części uwagi—dla sprawy najpodrzędniejszéj. Potknięcie się w tym wypadku jest bardzo możliwe i wywołuje często nieproporcyonalnie wielkie następstwa.

Piszemy te słowa w przekonaniu, że nie przebrzmią one bez skutku. Po prelegentach, którzy dali tyle dowodów dobréj woli, że nie tylko bezinteresownie podjęli się uciążliwéj i kłopotliwéj pracy, ale nadto jeszcze własnym nakładem urządzali doświadczenia, po prelegentach ożywionych miłością i zapałem dla nauki, nad którą zupełnie panują, po osobach mających najszczerszą i najgorętszą chęć udzielenia swych wiadomości publice, śmiało spodziewać się można, iż nie pożałują w przyszłości jeszcze kilkunastu godzin pracy, dla nadania swym odczytom tych cech, których im brakło dotychczas.

Wykończenie, którego postulata wyżéj nakreśliliśmy, jest dla nich drobnostką, dla publiczności zaś jest ono czemś, czego ani gruntowną nauką, ani przygotowaniami, ani nawet często talentem zastąpić nie można.

I przekonani jesteśmy, że przy talencie nie wielkim zachodem mogą osiągnąć to, co jest ideałem odczytu, a mianowicie, zawładnąć sztuką doprowadzenia słuchaczy do tego, żeby opuszczając odczyt pomyśleli: nauka—to nic trudnego i nic łatwiejszego, jak ułożenie podobnego odczytu.

Bronisław Rejchman.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Książki dla młodzieży.

1. Kwiaty rodzinne. Wybór poezyi polskiéj ułożony przez Narcyzę Żmichowską. Warsz. 1882. str. XV, 488. — 2. Bitwa pod Raszynem. Powieść historyczna dla młodzieży przez Walerego Przyborowskiego. Z 6 rycinami podług rysunku W. Gersona. Warsz. 1881. str. 200. — 3. Z przeszłości. Powieści historyczne skreślone dla młodzieży przez Teresę-Jadwigę. Z 5 rycinami rysunku W. Gersona. Warsz. 1882. str. 307 i II. — 4. Mayne-Reid. Młodzi żeglarze czyli Przygody myśliwskie w Ameryce Północnéj. Przełożyła z angielskiego M. J. Zaleska. Z dwunastoma rycinami. Warsz. 1882. str. 296. — 5. Ludwik Jacolliot. Tajemnice Afryki. Ostatni statek niewolniczy. Bohater puszczy. Stolica stepu. Przełożył z francuskiego Karol Jurkiewicz. Ozdobione 32-ma ilustracyami. Warsz. 1882. str. 530 i III. (Wszystkie wyliczone tu książki wyszły nakładem pp. Gebethnera i Wolffa).

Przez czas bardzo długi sprawozdawca z ruchu pedagogicznego utyskiwać musiał na brak utworów oryginalnych w zakresie belletrystyki dla młodzieży. Jeszcze przed czterema laty, oprócz przedruków dziełek dawniejszych, nie było prawie wcale rzeczy swojskich; wydawcy ogłaszali same przekłady, które naturalnie i łatwiéj i taniéj dostawali. Zwykłą ich wymówką bywało narzekanie na niemożność otrzymania dobrych, zajmujących powieści i opisów odnoszących się do własnego kraju.

Zdaje się, że powoli zaczynamy z tego smutnego stanu się dźwigać. Zrozumieliśmy już dostatecznie, że karmienie umysłu dzieci i młodzieży treścią obcą ma wpływ bardzo zbliżony do tego, jaki wywiera uczenie języka obcego wprzód niż ojczystego, zobojętnia względem rzeczy i stosunków krajowych, które jako nie opisane i nie opowiedziane mogą być uważane za niewarte opisu i opowiadania.

I talenta zaczęły się ukazywać. Ci, co pisywali z mniejszém lub większém powodzeniem dla starszych, spróbowali swych sił w tworzeniu opowiadań dla dziatwy; próby się udały i zachęciły do pracy dalszéj. Pani Marrené napisała trzy powiastki bardzo dobre; p. Walery Przyborowski przerabiał podania fantastyczne ludowe i utworzył zajmujące opowiadanie z czasów Księstwa Warszawskiego. Zrobiono też dopiero co próbę zastosowania do użytku młodzieży dzieł staréj naszéj literatury: obrobiono Pamiętniki Paska. Wreszcie dały się poznać nowe talenta pań: Dzieduszyckiéj, Teresy-Jadwigi, Zuzanny Zajączkowskiéj. Już wydawcy nie mogą zasłaniać się brakiem jednostek uzdolnionych do pracy na niwie powieściowéj dla młodzieży.

Te pomyślne dla naszéj literatury pedagogicznéj okoliczności nie wyrugowały wprawdzie przekładów i nie wyrugują ich całkowicie nigdy, ale skłoniły wydawców najprzód do staranniejszego wyboru i książek obcych i tłómaczów, a powtóre do wydawania utworów oryginalnych. Ani objętością ani stopniem talentu nie wyrównywają te utwory lepszym dziełom literatury obcéj, ale zaspakajają potrzebę najnaglejszą; nie są artystycznie piękne, lecz są w każdym razie pożyteczne.

Przegląd kilku najświeższych publikacyj będzie usprawiedliwieniem słów powyższych.

Najpierwsze wspomnienie należy się zmarłym. Ukochana przez parę pokoleń nauczycielka, niepospolita poetka, Narcyza Żmichowska, przesyła młodzieży z po za grobu niejako upominek, który nie w treści wprawdzie, ale w układzie myślą własną przejęła. Jeżeli kto u nas mógł zrobić dobry wybór utworów poetycznych, to niewątpliwie Gabryella, tak delikatnym smakiem artystycznym obdarzona i tak dobrze znająca uczucia, skłonności i wymagania dzieci, których wychowaniu i wykształceniu największą część życia poświęciła.

Jak się dowiadujemy z dopisku umieszczonego po przedmowie do „Kwiatów rodzinnych,“ jeszcze w r. 1875 Spółka księgarzy warszawskich zawezwała Żmichowską do ułożenia książki zawrzéć mającéj wybór poezyj polskich. Wezwanie to autorka „Poganki“ przyjęła, ale w wykonaniu napotkała ważne trudności. Nie mogąc planu szerzéj nakreślonego wykonać, ponieważ nie miała pod ręką wszystkich potrzebnych wydawnictw, ograniczyła się w szczuplejszym zakresie.

Przedmowa napisana 6 Lipca 1875 r. daje nam poznać myśl, która kierowała Gabryellą w wyborze i układzie książki. Spowiada się tu najprzód ze swego usposobienia względem wszelkich zbiorów poezyj: nigdy nie miała cierpliwości podobnych kolekcyj od pierwszéj do ostatniéj kartki przerzucić: widziała, że inni z tego powodu

nieraz rzeczy istotną wartość mające przeoczali. „Kilkanaście arkuszy, choćby samych najpiękniejszych utworów bez ładu, razem, w jednę książkę zebranych, zawsze robią niemiłe wrażenie.“ Zaradzić temu jedynie może podział stosowny do celu, w jakim książka ta ma być wydana. Celem tego zbioru poezyj, którego układem zająć się miała Żmichowska, nie była nauka, więc o podziale naukowym myśléć nie mogła. Zbiór swój obliczyła wyłącznie i jedynie na „upodobanie“ czytelników. A ponieważ „upodobanie zależy od wrażeń chwilowych,“ za najwłaściwszy zatém uznała podział „zastosowany do zmienności usposobień duszy, w których przypuszcza się, że poeci pisali, a czytelnicy odczytywać sobie lubią“ pewne ich utwory.

Gabryella odznaczyła dwanaście takich usposobień i uszykowała je w następnym porządku: 1-o chwile religijnego nastroju; 2-o chwile wspomnień historycznych; 3-o chwile poranne; 4-o przy świetle słońca, trochę dydaktyki; na dnie powszednie, trochę opisów natury; 5-o o zmroku, rozmyślania i psychologiczna liryka, pod kolorem téj chwili zdjęte niektóre krajobrazy; 6-o koło północy, fantazye, ballady, legendy; 7-o chwile smutku; 8-o chwile zapału i uniesienia; 9-o chwile żartu i ironii; 10-o głosy zniechęcenia; 11-o głosy rozpaczy; 12-o głosy nadziei.

Z wyliczenia tego widać, że podstawa podziału łamie się w zygzaki; rozpocząwszy bowiem od istotnie psychicznego stanu duszy przechodzi następnie do zakresu zewnętrznych stosunków tj. różnych części dnia, ażeby przejść znowu do nastroju i usposobienia. Ale ponieważ zabawa i „upodobanie“ nie troszczy się o podział ściśle logiczny, nic zatém na téj niekonsekwencyi umysł czytelników nie straci.

Nie o samo jednak uszeregowanie utworów chodziło Gabryelli, ale także o ich twórców. „Chciałabym—powiada—dla zapewnienia czytelnikom trochę rzeczywistéj korzyści, dla przejęcia ich, o ile to możebném się okaże, duchem poezyi całego narodu, zaprowadzić dość ściśle przestrzegany porządek w szeregowaniu autorów.“ Przedewszystkiém ograniczyła się tylko do poetów bieżącego stulecia; starała się, ażeby wybrane poezye, choćby z dzieł autorów najbardziéj upowszechnionych, były jak najmniéj spowszedniałe przez przedrukowywanie ich w zwykłych wypisach; obok tych utworów usiłowała do zbioru swego wprowadzić jak najwięcéj mało znanych poetów, jeżeli ich utwory zasługiwały rzeczywiście na upamiętnienie. Rzecz naturalna, że Gabryella uwzględniała głównie takie poezye, które w latach młodości splotły się z najżywszemi jéj uczuciami i wrażeniami, ale mimo to nie zaniedbała autorów doby najnowszéj. Na kilka dni przed śmiercią myślała jeszcze o swoim zbiorku i skarżyła się, że brakowało jéj mnóstwa takich poezyj, które dla niéj osobiście

wiele miały uroku i wdzięku: „druk ich—powiada—zaginął, a pamięć nie zachowała;“ „z tych wszystkich pieśni tyle nieledwie zaginęło, ile ich uratowanemi zostało.“

Gabryella nie zdołała wykończyć swego zbioru; gdy niemoc coraz bardziéj ogarniać ją zaczęła, powierzyła przyjaznéj ręce dopełnienie rzeczy brakujących, wskazując gdzie je pomieścić wypadnie. P. Marya B. zajęła się spełnieniem jéj ostatniéj woli—i oto mamy piękny zbiorek poezyj, mogący być nadzwyczaj miłym dla wszystkich, a szczególniej dla młodzieży upominkiem.

Mówiąc o ogóle wybranych utworów przyznać należy, iż czyni zadość wymaganiom estetycznym i pedagogicznym. Pomieszczono tu utwory 67 poetów; z czego każdy widzieć może, iż podrzędnych nawet nie pominięto, ale z tych właśnie wybrano prawie zawsze to, co się albo myślą piękną, albo formą przynajmniéj odznacza i na zachowanie zasługuje. W szczegółach możnaby porobić zarzuty; możnaby np. było bez szkody wyrzucić ze zbioru dwa wierszyki Żyglińskiego, a zostawić tylko jeden (*Witanie Wiosny*); możnaby było również dać pokój gawędzie staroszlacheckiéj o *Boruchu* obitym przez Sasa i Lasa, gdyż lichéj treści nie opłaci rym nawet najpiękniejszy. Pyłek Bohdana *Żeby*, niepoprawny gramatycznie a nic szczególnego nie zawierający w treści mógłby również pozostać w dziełach poety. Ze Słowackiego zbyt mało wybrano, a *Arabem* niezbyt właściwie zapełniono miejsce, któreby się innym prześlicznym, a bardzo mało znanym lirykom tego wieszcza należało.

Wydanie jest bardzo piękne; szkoda tylko, że nie dopilnowano korekty; są tu wielce rażące błędy: opuszczenia wyrazów (str. 5 w strofce ostatniéj, str. 9 zaraz w 3-im wierszu); są takie sens zmieniające omyłki jak *mi* zam. *nie*, *tam* zam. tu-m (w ułamku Glosy ś. Teresy) itp.

P. Walery Przyborowski, znany jako powieściopisarz dla dorosłych, próbował już i dawniéj sił swoich w dziedzinie nowellistyki dziecinnéj ale z małém powodzeniem; rzecz osnuta na tle fantastyczném nie zalecała się ani pedagogicznemi ani artystycznemi przymiotami. Obecnie na tle niedawnéj przeszłości dał opowiadanie przygód dziesięcioletniego chłopca, dość zręcznie prowadzone i zajmujące. Książkę swą nazwał „Bitwą pod Raszynem“ zapewne dlatego tylko, żeby w samym napisie uwydatnić okres czasu, w którym przygody owe umieścił, i tym sposobem zachęcić młodego czytelnika do zaznajomienia się z niemi. Pobieżny opis bitwy pod Raszynem zajmuje w książeczcę nie więcéj jak jeden rozdział, resztę—a jest ich ogółem 16—zapełnia autor innego rodzaju wypadkami.

Janek, sierota, wychowany z łaski przez niezbyt czułych krewnych, wcześnie musiał radzić sam sobie i dlatego rozwinął się nad

wiek swój znacznie. Przyjaźnił się ze starym Marcinem, zapewne Kościuszkowskim wiarusem, który mu wiele o księciu Józefie naopowiadał, i przez to stał się mimowolnym wprawdzie ale stanowczym sprawcą postępku, z którego wysnuł się cały szereg interesujących zdarzeń. We wsi Łęgonice, opuszczonéj przez właścicieli z powodu wieści o wojnie, zakwaterowali się w kwietniu 1809 r. Austryacy, a we dworze obok pokoiku Janka, zostawionego na łaskę losu i służby, zamieszkał generał. Razu pewnego Janek posłyszał, jak generał ten naradzał się z rotmistrzem co do porwania księcia Józefa, bawiącego wtedy w Nadarzynie z półplutonem ułanów zaledwie. Posłyszał także wymienione nazwiska wsi, przez które dostać się można najkrótszą drogą do Nadarzyna. Śmiały zamiar ostrzeżenia księcia Józefa opanowuje duszę 10-letniego chłopca. Zaczyna go rezolutnie przyprowadzać do skutku. Zobaczywszy mapę, na której podkreślone były owe wsie, zabrał ją jak nie mniéj list zaadresowany do jakiegoś Szulca w Warszawie, o którym przypuszczał, że musi być zdrajcą. Ale gdy z taką zdobyczą miał z pokoju wychodzić, zostaje zatrzymany i jako mały ale niebezpieczny złodziéj osadzony w piwnicy pod strażą mrukliwego, lecz dobrodusznego Franca. Znając doskonale wszystkie zakamarki domu Janek wydostaje się lubo z trudem przez loch, gdzie walczy dzielnie ze szczurami i omija zdradliwe jamy, a następnie dosiadłszy kucyka pędzi bez przestanku siedem mil do Nadarzyna. Przed samą wioską kucyk pada, a Janek przerażony widzi huzarów austryackich tuż za sobą. Nie traci jednak odwagi i szczęśliwie dobiega przed pałac, gdzie ks. Józef z oficerami swobodnie rozmawiał. Ostrzega księcia o niebezpieczeństwie, widzi zaciętą walkę, a gdy ułani cofnęli się w porządku przed siłą przemagającą, szuka schronienia, w którém go odnajduje Franc. Dostaje się więc do niewoli, lecz w czasie nowéj utarczki Polaków z Austryakami ucieka, błąka się zgłodniały w lesie, rozciąga opiekę nad biednym pieskiem, który miał zgruchotane tylne łapki, dostaje się wreszcie do obozowiska cyganów, którzy zabierają go z sobą chcąc wydać Austryakom w nadziei sowitéj nagrody. Raz ucieka, ale zostaje dopędzony; drugi raz powodzi mu się szczęśliwiéj, bo zyskuje starszego i przebieglejszego towarzysza, młodego cygana. Z nim tedy, po różnych przygodach, goniony przez „króla“ cygańskiego dostaje się na plac bitwy pod Raszynem, zabija rotmistrza austryackiego, zabiera do niewoli Franca, zyskuje pochwałę i krzyż od ks. Józefa.

Przygód, jak widzimy, jest dużo, może nawet zadużo na jednę powiastkę. Obrachował je autor na zaciekawienie czytelnika i dopiął swego; ale upośledził stronę psychologiczną, rysunek charakterów, czego pisząc dla dzieci zaniedbywać niepodobna. Wszystkie

owe przygody odbywają się w ciągu jednego tygodnia, doznaje ich 10-letni chłopak, który pomimo, zastrzeżonego przez autora, wyjątkowego rozwinięcia wydaje się figurą nieprawdopodobną w kilku stanowczych chwilach, a mianowicie też na polu Raszyńskiém. Gdyby był autor uczynił go choć o kilka lat starszym, rzecz sama nie straciłaby na zajęciu, a zyskałaby na prawdzie. Niemile także uderzają przesadne epitety, któremi w samym początku obdarza postępowanie swego małego bohatera, nazywając je „szlachetném," „świętém" nawet, gdy przecież owo ściągnięcie mapy i listu mogłoby być wytłómaczone jako środek obrony, ale z postępowaniem szlachetném i świętém nie ma nic wspólnego.

Opowiadanie jest żywe i potoczyste; ale brak mu jędrności a często bardzo i barwności; natomiast gadatliwość, naumyślna jak się zdaje, razi tu i owdzie. Zamało ufając pamięci czytelników, autor zupełnie niepotrzebnie powtarza na początku rozdziału to, co w końcu poprzedniego powiedział; zrozumiéć to można, kiedy się pisze powiastkę rozdziałami do pisma tygodniowego, ale w książce niecierpliwi. Niektóre morały wydają się jakby dopisane na chybił-trafił, aby tylko były... Język jest wogóle poprawny; zauważyłem tylko w dwu miejscach niewłaściwe użycie zaimka *swój*: „I trzebaż jeszcze, że go to wszystko spotkało prawie tuż przy Nadarzynie, prawie u celu *swéj* podróży" (str. 55); podobnież str. 167. Słowo *pobłądzić* w znaczeniu błąkać się nie wydaje mi się właściwém. „Dobywać *ostatek* sił" (str. 53) jest wyrażeniem niepoprawném; a frazes: „Myśląc o tém, włosy mu powstały na głowie" (str. 89) jest niemiłym galicyzmem. Nie sądzę téż, aby pomieszczanie łamanéj polszczyzny w ustach cudzoziemca na pochwałę zasłużyć mogło. Wprawdzie środka tego używano i nadużywano dawniéj a i dziś jeszcze wywołuje on uśmiech u niewybrednych czytelników, z estetyką wszakże w dosyć nieprzyjaznym zostaje stosunku. Gdyby zaś chciał go kto usprawiedliwiać ze stanowiska realistycznego jako naśladowanie rzeczywistości, tobym zauważył, że w „Bitwie pod Raszynem" realistycznie przeprowadzonym nie jest. Franc, któremu autor każe mówić pociesznemi frazesami jest podniemczonym wprawdzie ale bynajmniéj nie zniemczonym Słowakiem; niepodobna tedy, ażeby mówił: „mala Polak", „szeby" itp.

Wobec „Bitwy pod Raszynem" zbiorek powieści dziejowych, zatytułowany „Z przeszłości" dosyć blado i jednostajnie się przedstawia. Więcéj tu niewątpliwie i myśli rozumnych i uczuć serdecznych, więcéj staranności w opracowaniu opowiadania, ale mało życia, mało rozmaitości. Wszędzie panuje nastrój poważny, czasem nawet uroczysty; nigdzie nie ma wesołości, śmiechu a choćby uśmiechu tyl-

ko swobodnego. Nie należę bynajmniéj do tych, coby wszelką myśl poważniejszą, wszelki surowszy dydaktyzm chcieli od dzieci i młodzieży trzymać zdala, ale niepodobna się nie zgodzić na zdanie pedagogów, że śmiech w młodości tak jest niezbędny do zdrowego normalnego rozwoju ducha, jak świeże powietrze, jak promień słońca dla zdrowia ciała. Umiejętne, należyte ustosunkowanie w użyciu obu tych ważnych środków pedagogicznych jest wielkiém zadaniem wychowawców zarówno w dziedzinie praktyki jak i nowellistyki.

Imię autorki powieści „Z przeszłości" nie jest już obcém czytelnikom *Ateneum*. W końcu r. 1880 ocenione były w naszém piśmie dwa jéj zbiory powieściowe. Jest-to p. Teresa-Jadwiga. O ile z dotychczasowych jéj utworów wnosić można, jest-to umysł usposobiony poważnie, zadający sobie trudne pytania życiowe do roztrząśnięcia jeżeli nie do rozwiązania. Lubuje się wprawdzie w obudzaniu uczuć rzewnych i umie je budzić; ale nie można jednakże zrobić autorce zarzutu, jakoby sentymentalność w sercach zaszczepić pragnęła. Owszem prąd rozumowy oddziałał na nią dość silnie i uchronił od zatonięcia w morzu łez.

Zrobiono spostrzeżenie, że autorka swobodniéj się obraca w świecie marzeń aniżeli rzeczywistości, że stara się jednak rzeczywistość tę studyować. Obecny zbiorek jéj powieści świadczy istotnie o znacznych usiłowaniach w tym kierunku. P. Teresa-Jadwiga tak dalece nawet dbała o wierność względem faktów rzeczywistych, przynajmniéj zewnętrznie, iż opowiedziawszy jakąś scenę z powieściowego toku wynikłą, dodaje w przypisku, że scena ta historyczną nie jest. Muszę to uważać za zbytek gorliwości. Wobu razach, kiedy autorka to czyni, uwaga powyższa zupełnie nie była potrzebna ze względu na prawdę, a przedstawia się całkiem niewłaściwą ze względu na czytelnika. My nie znamy i znać nie możemy wszystkich przejażdżek Jana Zamojskiego po kraju, we wszystkich latach jego czynnego życia; więc nie ma najmniejszéj potrzeby powiadać czytelnikom, że ta właśnie przejażdżka, którą autorka opisuje, nie jest historycznie udowodnioną. Możnaby nawet rzucić wątpliwość: kto wie?... Drugi raz opowiadając, jak w czasie wojny szwedzkiéj Czarniecki wysłał list do króla przez kobiétę, również doznaje autorka wyrzutu sumienia i zadość mu czyni, dodając w przypisku, że i ten fakt historycznym nie jest. A czyż to jeden list musiał Czarniecki jakimkolwiek sposobem królowi przesłać, choć o tém historycy milczą; wszak historycy nie są wszechwiedzami... A ze względu na czytelnika takie dodatki zupełnie rozpraszają złudzenie i mimowoli zapytać się on musi: więc pocóż było to opisywać, kiedy to według samego autora nieprawda? W powieści historycznéj nie można przeinaczać faktów

głośnych a choćby tylko dokładnie znanych; ale wypadki drobne, małego znaczenia, które na przebieg dziejów wpłynęły nieznacznie; może powieściopisarz stwarzać ile mu się podoba, byleby pozostał wiernym prawdzie wewnętrznéj i kolorytowi wieku.

Powiastki ułożone są chronologicznie. Pierwsza p. n. „Litwinka“ przedstawia nam na przykładzie losu jednéj rodziny straszne skutki napadów krzyżackich na Litwę, co służyć ma za prolog, wystawiający czytelnikom konieczność dziejową połączenia się Litwy z Polską. Córka wymordowanéj przez Krzyżaków rodziny zagrzewa ziomków do walki i sama walczy, skłania Jagiełłę do pogodzenia się z Witołdem, zostaje kapłanką i ma wiernych skinieniu wykonawców swéj woli. Przywiązana do staréj przodków wiary, usłyszawszy o przejeździe Jagiełły do Wilna z celem nawracania ludu na chrześcijaństwo, postanawia bronić starych bogów, z drużyną swoją napaść na Wilno i prawdopodobnie wyrznąć apostołów nowéj wiary a może i świeżo poślubioną parę królewską. Wtém staje przed nią Jadwiga i słowami zarówno uczucia jak rozwagi miękczy twardą Litwinkę, która do nóg jéj upada i przyrzeka dać odpowiedź przed zachodem słońca. Gdy się królowa oddaliła, Marti pogrążyła się w zadumę, a potém do zebranych rycerzów swoich przemówiła gorąco, żeby chrzest przyjęli, żeby wierni byli Jagielle i Polaków całém sercem ukochali, bo tego szczęście Litwy wymaga. Sobie zaś każe przygotować stos, na który spokojnie wstępuje. Jadwiga wróciwszy po odpowiedź znalazła zgliszcze a wkoło niego rycerzy, którzy poszli za nią do Wilna. Nie myślę kwestyonować kroku Jadwigi, choć to dwukrotne chodzenie królowéj do Marti wielce mi się nieprawdopodobném wydaje; nie będę nawet kwestyonował faktu spalenia się Marti obok namawiania wiernéj drużyny do przyjęcia chrztu, bo to wytłómaczyć się może faktem, że już nie miała dawnego celu życia przed sobą a nowego stworzyć sobie nie potrafiła;—ale idzie mi o wrażenie, jakie odniesie młody czytelnik lub czytelniczka. Czy to jest dobra nauka dla młodzieży: wybierać dla siebie wytrwanie przy dawnéj wierze, a innym doradzać jéj zmianę; czy to nie fałsz duchowy? Autorka przed dwoma laty w „Spóźnionym gościu“ niewłaściwą podała krytykę przeszłości i zaleciła związki z „silnemi.“ Tu mamy coś przeciwnego; mamy uidealizowanie przywiązania do przeszłości napół ślepego i fanatycznego a napół obłudnego. Autorka widocznie nie przyszła pod tak ważnym względem do jasnego wniosku, a jednak chce go już spopularyzować w powieści dla młodzieży...

Druga powiastka „Jakób Zyndram“ z początku XVI w. przedstawia los uczonego Husyty, którego tłum za czarnoksiężnika poczy-

tując prześladuje, a chociaż w razach choroby ucieka się do niego i niejednokrotnie dobrodziejstwa przywrócenia zdrowia doznaje, nie czuje wdzięczności najmniejszéj. Nienawiść względem ojca przechodzi i na syna, który jednak nie ugiął się wobec okoliczności i choć w biedzie wsparty łaską i opieką Zygmunta Starego i Jana Tarnowskiego w ślady ojca wstąpił. Myśl téj powiastki: przeciwstawienie wewnętrznéj religijności zewnętrznemu tylko spełnianiu praktyk religijnych, przyczém można najgorszemi kierować się pobudkami, jest dobrą i rozumną; szkoda tylko, że wykonanie mało barwności posiada.

Trzecia powiastka, z końca XVI w. „Moje spotkanie pod Byczyną“ jest z początku dość już zużytym obrazem prześladowanéj wdowy, w dalszym zaś ciągu daje naukę wykonaną w praktyce, jak należy nieprzyjaciołom przebaczać. Syn owéj skrzywdzonéj przez dumnego starostę wdowy, wzięty w opiekę przez Jana Zamojskiego, w dzień bitwy pod Byczyną, widzi tego starostę w szeregach stronników Maksymiliana i wrze uczuciem zemsty. Gdy mieli się zetrzéć, starosta spada z konia, młodzieniec przypomina sobie naukę matki, że ma nieprzyjaciołom przebaczać, więc podnosi upadłego i puszcza go swobodnie nie wymagając nawet przyrzeczenia, żeby już daléj nie walczył. Przeciwko saméj nauce moralnéj nie mam nic do nadmienienia; szkoda tylko, że ją autorka uzewnętrzniła w tak skomplikowanym stosunku, w którym cnota osobista stać się mogła powodem klęski publicznéj; bo gdyby więcéj się takich przebaczających znalazło, nie miałby Zamojski możności wzięcia Maksymiliana do niewoli.

W czwartéj powiastce najobszerniejszéj i najbardziéj urozmaiconéj, p. n. „Rogalińscy“ mamy historyą dziewczynki, która nie doznając miłości ze strony ojca wdowca, w sobie się zamyka, nabiera chętki do poznania tego, czego brat jéj się uczy, pokryjomu ćwiczy się w jeździe konnéj, w strzelaniu z łuku, w robieniu bronią; a gdy wybucha wojna szwedzka, ona opuszcza słabego ojca i w męskiém przebraniu do Czarnieckiego się dostaje, chcąc służyć mieczem ojczyznie. Dopiero przez Czarnieckiego na właściwą naprowadzona drogę, pielęgnuje rannych, oddaje przysługi wodzowi w charakterze posła do króla i w końcu wraz z bratem, który cały czas wojny rycersko się sprawował, wraca do domu, gdzie (na szczęście końcowego wrażenia) zastaje ojca zdrowego. Myśl zasadnicza powieści, że i wśród niewiast niejedna jest dusza bohaterska, że i kobiéty są obywatelkami kraju, że i kobiétom potrzebna jest nauka, że córki nie są karą nieba, zupełnie jest trafna, ale i tu muszę zrobić uwagę, że obowiązkiem najpierwszym córki było pielęgnować chorego ojca. Możnaby było wprawdzie wytłómaczyć postępek jéj tą uwagą, że widok jéj drażnił tylko

rodzica, że jako osoba niemiła łatwo znaleść mogła zastępczynię w pierwszéj lepszéj słudze; ale tłómaczenia takiego autorka nie przeprowadza i mimo jéj woli bohaterka przedstawia się jako kapryśnica, która na swojém postawić pragnie.

Ostatni utwór „Oczerniony“ z czasów Augusta II przeprowadza tę bardzo piękną myśl, że sprawy prywatne ustępować powinny publicznym. Kalinowski naraża się na dotkliwe żarty i przymówki za to, że zajęty interesami kraju w sprawie odebrania Kamieńca, nie przyjmuje pojedynku, dopóki Kamieniec nie wróci do Polski. Rzecz się kończy pojednaniem przeciwników. Rażąca bo wcale niehistoryczna jest tyrada końcowa bohatera: „Uważam pojedynek za zwyczaj pozostały nam z czasów barbarzyńskiéj ciemnoty, za bezprawie, które my, oświeceni, powinniśmy usunąć, boć w niém człowiek tylko dzikiéj zemście dogadza“ itd.

O ogóle powiastek tych powiedzieć można, że przeważają w nich typy nie zaś charaktery i to typy nie fizyczno-duchowe, ale tylko moralne; są-to cnoty lub wady uosobione, nie zaś ludzie z krwi i kości. Nie wiem czy-to wypływa z zasady, czy téż z wczytania się w dawniejsze wzory nowellistyki, ale zaznaczyć muszę, że ta typowość odbiera życie osobom. Gdzie nie ma rozwoju psychicznego gdzie każdy doskonałym jest, jak tylko podrósł od ziemi na łokieć, tam zainteresowania się doskonałością taką trudno wymagać. Dodać jednak winienem, że w porównaniu z dawniejszemi powiastkami, obecne wykazują znaczne już wyrobienie się talentu autorki. Opowiadanie toczy się gładko; styl jest naturalny, prosty, nierozwlekły; język poprawny bardzo. Zwróciłbym jedynie uwagę autorki, że wyrażenie „gryźć ziemię“ ma odcień humorystyczny; stąd dobrze jest użyte na str. 273, ale w opowiadaniu spokojném i poważném jak na str. 227 wcale nie uchodzi.

O przekładach rozszerzać się nie będę. Jeden z nich samém nazwiskiem autora, Mayne-Reid'a zaleca się dostatecznie. Autor to dobrze już znany dziatwie naszéj. Opowiada nadzwyczaj zajmująco o rzeczach ciekawych i nauczających. W „Młodych żeglarzach“ zapoznaje młodych czytelników z „krainą pięknych futer“ z samą północą Ameryki Północnéj, gdzie, jak powiada, „są jeziora tak wielkie, że mógłbyś w nich całą Anglią zatopić lub pomieścić wygodnie pod postacią wyspy.“ Czterech chłopców wyprawia się do téj krainy na wiosnę łódką wyładowaną najrozmaitszemi podróżnemi przyborami. Płynąc zaznajamiają się z fauną i florą przebywanych okolic, zapisują swoje spostrzeżenia, nauczają się wzajem, doznają rozlicznych przygód, walczą z żubrami, łowią ryby pod lodem, rozbijają się,

budują sobie nową łódkę z kory itp. Właściwie mówiąc jest-to nauka zoologii i botaniki w nadzwyczaj interesujący sposób przedstawiona, bo ożywiona opowiadaniem losów tych młodych, a tak dzielnych, tak roztropnych, tak doświadczonych, tak umiejących z podróży korzystać żeglarzów. Atoli książkę tą potrzeba umiéć czytać. Zwykle u nas praktykowane przebieganie oczyma całego dzieła bardzo mało przyniesie pożytku. Tu wypada czytać powoli, rozdział za rozdziałem (jest ich 39), wypada naśladować owych młodzieńców w łódce, co sobie szczegóły zauważone notują; a wtedy przestudyowawszy książkę, czytelnik nauczy się bardzo wielu ważnych wiadomości.

Mniéj trudu ze strony czytelnika wymaga książka Jacolliota, u nas bardzo mało znanego, ale w ojczyznie swojéj słynnego popularyzatora etnografii i geografii. Jest to książka obszerna, mogąca zająć zarówno młodych jak i starych. Odkrywa nam „Tajemnice Afryki“ w trzech ustępach. Pierwszy p. n. „Ostatni statek niewolniczy“ zapoznawszy nas z samą galiotą „Osa“ i z jéj pasażerami opisuje przygody morskie, kreśli szkic geograficzny Bengueli, pustyni Congo, i w żywym wykładzie stawia przed oczy obrazy życia tamecznych mieszkańców. W ustępie drugim „Bohater puszczy“ przebywamy ciągle jeszcze w Congo, rozszerzając swoje wiadomości przez wycieczki w różne strony Afryki środkowéj. W trzecim wreszcie „Stolica stepu“ poznajemy Marokko i okolice. Całość ujęta jest w jasném, barwném opowiadaniu.

Oba wymienione tu utwory są przetłómaczone bardzo starannie. Nazwiska tłómaczów, pani Zaleskiéj, która niejednę już pożyteczną książkę literaturze dziecinnéj przyswoiła, i profesora Karola Jurkiewicza są dostateczną rękojmią dobroci przekładów.

Ryciny, któremi ozdobione są książki dla młodzieży, nie wszystkie zalecają się prawdziwie artystycznemi przymiotami. Widocznie robiono je pośpiesznie, lekceważąc trochę „robotę dla dzieci.“ Nie ma tu wprawdzie bohomazów, nie ma krzyczących błędów, jak to dawniéj nieraz się zdarzało; ale zamało jeszcze wydawcy przywiązują wagi do tych ilustracyj, pomieszczając rzeczy dość słabo wykonane. A przecież trzeba pamiętać, że zmysł piękna najłatwiéj w dziatwie wyrobić, bo ona doznaje wrażeń najżywszych; trzeba jéj podawać rzeczy istotnie piękne, choćby w zmniejszonéj ilości. Pedagogika stawia pod tym względem wymagania, które wydawcy książek dla dzieci i młodzieży spełniać powinni gorliwie.

Piotr Chmielowski.

Johann III, König von Polen, Sobieski, in Wien. Mit Hineinverwebung einer Geschichte der sieben Königinnen von Polen aus dem Hause Oesterreich. Ein Erinnerungsbuch an 1683 für 1883 zum 200 jähringen Jubilaeum der Befreiung Wiens von der Tuerkenbelagerung, von Georg Rieder, Pfarrer am Rennweg. Wien 1882, Wilhelm Braumueller, 8-o, str. 400.

Dwóchsetna rocznica zwycięztwa wiedeńskiego, która przypada w roku 1883 i która uroczyście w Wiedniu obchodzoną będzie, upamiętni się nie jedną i nie paru zapewne pracami także i na polu niemieckiéj literatury historycznéj, jak mogę sądzić choćby z tego, że za jednym ze mną stołem w tajném cesarskiém archiwum domu dworu i państwa siedzą uczeni, studyując dokumenty z owéj epoki i zaglądając do już wydanych przez Krakowską Akademią Umiejętności. Chociaż do dnia jubileuszowego (12 Września 1883 r.) jeszcze prawie dwa lata, szereg literackich utworów (jeżeli w danym razie godzi się użyć tego wyrazu), poświęconych wspomnieniu najświetniejszego w nowszych czasach czynu oręża, już się rozpoczął: w tych dniach wydaną została na widok publiczny książka pod przytoczonym wyżéj tytułem. Należy jednak żałować, że ten pierwiosnek co do swéj wartości stoi niżéj krytyki pod każdym względem i zasługiwałby na pominięcie go zupełném milczeniem, gdyby nie ta okoliczność, że z wielu powodów, których, by nie naśladować Jowialskiego, wymieniać nie potrzebuję, musimy wiedzićć przynajmniéj o tém, co się w danéj kwestyi (bez względu na to, czy rzecz ma jakąś wartość lub nie) w Niemczech pisze i pisać będzie w najbliższym czasie. Powodowany tém, pospieszam zdać krótką sprawę z dzieła Rieder'a, tém bardziéj, że pojawiające się w dziennikach (galicyjskich) pobieżne wzmianki (pisane po przeczytaniu tytułu i przedmowy) chwaląc je, mogą kogoś zachęcić do kupienia i czytania dzieła, co gdyby uczynił, przyzna że stracił czas i pieniądze.

Powiedziałem, że książka Rider'a stoi niżéj krytyki pod każdym względem i na dowód wystarczyłoby przytoczyć to tylko, że jéj autor nie zna ani jednego dokumentu, ani jednego nowszego opracowania, niemieckiego lub zagranicznego, dziejów owéj epoki. Opowiada on nie tylko pogrom Turków pod Wiedniem, ale całe dzieje Sobieskiego i jak tytuł wskazuje losy siedmiu królowych polskich z domu Habsburgów, a jedynemi źródłami jego w tym względzie są tylko trzy następujące: Coyer'a (Geschichte des Johann Sobieski, 1762), Bronikowskiego (Geschichte Polens, 1827) i Bothmer'a (Geschichte von Polen, 1833) (1): z tych tylko robi wyciągi i zlepia je razem bez żadnego

(1) Raz tylko cytowane są następujące dzieła: Turlaja—Corona Australis, Vilnae 1764, Witzleben'a - Geschichte Polens z 1831 r. Bronikowskiego—Johann III und sein Hof z 1849, Wurzbach'a - Die Kirchen in der Stadt Krakau z 1853 i Caro—Geschichte Polens z 1862 roku.

porządku lub systematu, uzupełniając podobnemiż wyciągami z wielu innych dzieł i to o osobach lub wypadkach nie będących wcale w związku z główną treścią jego książki; wypisywane nadto przezeń dzieła nie są nowemi lub mającemi jakąś naukową wartość, ale przestarzałemi i oddawna zapomnianemi, jak np. Neues biografisches *Hand*—wörterbuch aller Personen z 1798 roku, Geschichte Ungarns *für Schule und Haus* z 1858 r. lub też Versuche über die Geschichte der Menschen im rohen und gesitteten Zeitalter, Dumbar'a z 1781! Jaki w książce panuje chaos i najniemożebniejsze połączenie rozmaitych rzeczy, można widzieć z treści pierwszego zaraz rozdziału. Zaczyna się on, jakby parodya początku średniowiecznéj kroniki w następujący sposób: „Za panowania Zygmunta III w Polsce, Ludwika XIII Sprawiedliwego we Francyi, nieszczęśliwego Karola I w Anglii, zwycięzkiego Gustawa Adolfa w Szwecyi, Chrystyana IV przez 52 lata w Danii i Filipa IV w Hiszpanii, przyszedł na świat w roku 1629 Jan Sobieski i t. d.,“ poczém opowiedziawszy według Coyer'a niektóre szczegóły o rodzinie Sobieskiego, nauce i podróżach za granicą jego i jego brata, autor ni ztąd ni zowąd powiada: „pierwéj nim będziemy daléj śledzili koleje życia obu braci, chcemy zadosyć uczynić zadaniu naszego dzieła i zacząć historyą królowych z Habsburskiego domu, tudzież owych arcyksiążąt, którzy w Polsce królować mieli“.. i traktuje historyą małżeństwa i pożycia Zygmunta Augusta z Elżbietą i stosunku téj ostatniéj do Bony, daléj opowiada śmierć Zygmunta Starego, małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą, historyą Katarzyny Rakuszanki, wraca znowu do lat młodzieńczych Zygmunta Augusta i Barbary, wylicza wszystkie 15-cioro dzieci Ferdynanda I-go z różnemi szczegółami i datami, następnie rozpowiada o kardynale Commendone, przechodzi do śmierci Zygmunta Augusta przepowiedzianéj przez astrologa, co mu przypomina, że Wallensztein również miał astrologa, który przepowiedział śmierć Gustawa Adolfa i opowiada przebieg bitwy pod Lützen, a następnie najrozmaitsze rzeczy o Wallensztein (najprzód o śmierci a potém co robił za życia) i stosunkach jego z polakiem Wengerskyim, poczém, pochwaliwszy dynastyą Jagiellonów cudzemi słowami, która wymarła na Zygmuncie III (sic!), ponieważ w bezkrólewiu występował arcyksiąże Ernest jako kandydat do tronu, uważa się autor za obowiązanego opowiedzieć wprzód o Jadwidze, arcyksięciu Wilhelmie, Rudolfie IV i jego żonie, Władysławie Jagiełło i dopiéro potém o pierwszém bezkrólewiu, wybraniu Henryka, jego ucieczce i postanowieniu zjazdu Warszawskiego w 1574 r. Takich pięknych i bogatych w treść rozdziałów jest aż 12 a w każdym z nich, zawsze i wszędzie, autor jest tylko bezmyślnym wypisywaczem, który bez żadnéj krytyki albo jakiegokolwiek

nawet zrozumienia rzeczy kopijuje, co mu się gdzie podobało, który powtarza często jedno i to samo różnemi ale zawsze nie swojemi słowami, który przytacza sprzeczne z sobą o jednéj i tejże rzeczy wyjątki z dzieł dwóch pisarzy, który nie dba zupełnie o to, czy dany sąd lub fakt jest słuszny, możebny albo prawdziwy. Ile wskutek tego spotykamy tam sprzecznych z prawdą, śmiesznych i zastarzałych zdań i poglądów, ile mylnych dat lub fałszywie podanych nazwisk, o tém nie ma co mówić, bo każda niemal stronica dosyć ich zawiera. Przytoczę jeden przykład. Autor poważnie zupełnie (nie mówiąc w danym razie za kim) opowiada, że przy owém sławném spotkaniu się Sobieskiego z cesarzem już po zwycięztwie „królewicz Jakób *z uszanowaniem pocałował cesarza w rękę*“ a „pewien polski wojewoda z niewolniczego służalstwa chciał przy tém spotkaniu *pocałować cesarza w but*, ale Sobieski zabronił mu tego, mówiąc: tylko żadnych uniżań, prosimy bardzo, wojewodo“ (tak! wyraźnie stronnica 198). Najciekawsza rzecz jednak, że pomimo tego wszystkiego autor, który jakby przespał 40 lat i teraz się dopiéro obudził, by świat tak znakomitém obdarzyć dziełem, o sobie samym i o niém bardzo wysokie ma pojęcie, powiada bowiem w przedmowie, że postanowił napisać dzieje Jana III, biorąc assumpt z 200 rocznicy oswobodzenia Wiednia od Turków, doniosłość którego to faktu uznaje, historyą zaś królowych polskich dla tego tu wplótł, ażeby odpowiednie drogocenne notatki jego nie przepadły marnie,—notatki, na zebranie których potrzeba było „pilności i znajomości literatury historycznéj!!!“ Daléj znowu tamże mówi: „Wiele dzieł, przytoczonych w téj książce a przez nieuwagę przy składaniu nie zacytowanych, znajduje się w dużéj i spożytkowywanéj bibliotece historycznéj autora i niektóre tylko brane były z publicznych zakładów, dla częstszego odwiedzania których brakło potrzebnego czasu, z powodu odległości miejsca i licznych zatrudnień powołania. Z wielu, wielu (tak!) książek autor zrobił nową!“ Że p. Rieder (proboszcz jednéj z parafii w Wiedniu!) jest tak grubo naiwny, to można pojąć, dziwić się należy tylko temu, że znany powszechnie nakładca odważył się dać swoję firmę takiemu dziełu, które wstyd przynosi niemieckiéj literaturze, będąc tylko, żeby je trafnie i krótko scharakteryzować, wielkim koszem wiórów, nastruganych bez ładu i składu ze starych i zbutwiałych drewien.

Teodor Wierzbowski.

Liv-Est-und Curländisches Urkundenbuch. Begründet von F. G. v. Bunge, im Auftrage der baltischen Ritterschaften und Städte fortgesetzt von Hermann Hildebrand. Band 7. 1423 Mai—1429 Mai. Riga, Moskau, Verlag von J. Deubner 1881 (str. 608 in 4-o).

Wydany obecnie siódmy tom inflancko-estońsko-kurlandzkiego kodeksu dyplomatycznego należy do rzędu tych źródłowych wydawnictw zagranicznych, bez których się historyk polski obyć nie może; gdyż mieszczą w sobie materyały nietylko pośrednio, lecz nawet bezpośrednio nas obchodzące. Wytrawny badacz i gruntowny znawca historyi ziem nadbaltyckich, zwłaszcza XV i XVI wieku, dr. Hildebrand w ciągu ośmioletnich blizko podróży naukowych po Europie (1872—1880) zgromadził tak obfite zasoby źródeł do téj epoki dziejów inflanckiéj konfederacyi (aż do r. 1561), że jak sam mówi w przedmowie, zaledwie je pomieści w dziesięciu tomach równie olbrzymich jak niniejszy. Do części już ogłoszonéj korzystał z trzydziestu dziewięciu przeważnie archiwalnych zbiorów, między któremi wymienia archiwum książąt Cartoryskich w Krakowie i metrykę litewską w Petersburgu; zawarł zaś w niéj z górą ośmset numerów dokumentów.

Ogrom przygotowanych do druku zapasów tłómaczy nam dostatecznie, dla czego dopiéro po upływie lat dziewięciu przystąpił dr. Hildebrand do publikowania rezultatów swych niezmordowanych poszukiwań, a niepospolite zalety edycyi budzą w czytelniku najżywsze uznanie dla uczonego Inflantczyka, który licznemi uzupełnieniami tekstu, wybornemi przypiskami, obszernemi i znakomitemi regestrami z aktów drukowanych i ekscerpowanych złożył wymowny dowód, że po mistrzowsku zapanował nad trudnościami, jakie mu się nasuwały, z ważnego téż zadania wywiązał się ze wszech miar wzorowo.

Najciekawsza i najcenniejsza część dokumentów odnosi się do wewnętrznych zatargów, które w trzecim dziesiątku XV stulecia szarpały ziemię inflancką, a mianowicie do nieustającéj walki zakonu z kościołem. Zakon dąży systematycznie do upokorzenia biskupów i uczynienia z nich powolnych narzędzi dla swych widoków, kościół zmierza do zupełnéj niezawisłości; dla tego to już od początku XIII wieku, to jest od pierwszych niemal lat osiedlenia się nad Baltykiem Kawalerów mieczowych, zwanych wtedy *fratres militiae Christi*, trwają między temi dwoma potęgami krajowemi ciągłe waśnie i walki, przerywane tylko od czasu do czasu zawieszeniami broni i kompromisami, które nie mogły sprowadzić trwałego pokoju, bo nie znosiły zasadniczego antagonizmu, tkwiącego w idei podobnego dualizmu. Obiedwie strony poruszają niebo i ziemię, aby pozyskać dla siebie stolicę apostolską, któréj służyło prawo rozsądzania gorszących spo-

rów pomiędzy duchownemi instytucyami; obiedwie probują wszelkiego rodzaju intryg dla zwalczenia przeciwnika, przekonane, że się nawzajem obok siebie ostać nie mogą, że jedna z nich koniecznie musi ustąpić.

Pycha, nieposkromiona żądza władzy i zepsucie zakonu, popchnęły już dawno biskupów do proszenia o pomoc nietylko Rusi ale i pogańskiéj Litwy, a zwłaszcza dwu rzeczypospolitych: Pskowa i Nowogrodu; błogim owocem tych stosunków był nieznaczny wprawdzie, lecz niemniéj przeto niezaprzeczony wzrost oświaty w tych ziemiach. W porze, z któréj pochodzą źródła tomu siódmego, wpada mistrz na wyborny pomysł ubezwładnienia przeciwnika: usiłuje obsadzić stolice biskupie swemi kreaturami i członkami zakonu, opierając się na bulli Bonifacego IX z r. 1394, dozwalającéj zakonowi podobnych reform. Ale prałaci, zasiadający wtedy na arcybiskupstwie ryzkiém, na biskupstwach: dorpackiém i ozylijskiém stawiają tym dążeniom niezłomny opór, uzyskują suspensę rzeczonéj bulli i pomimo ciągłéj zmienności poddającéj się często sprzecznym wpływom kuryi, tyle dokazują, że przeciwnicy napróżno się kuszą przekonać papieża o potrzebie odwołania suspensy. Nawet śmierć dzielnego arcybiskupa, Jana Habundi, nie przynosi im spodziewanych korzyści: następcą jego zostaje kandydat kapituły ryzkiéj, Henning Scharpenberg, biskupem ozylijskim prałat tegoż samego kierunku, Chrystyan Kubant, ponieważ zaś i Teodoryk, biskup dorpacki należał do stanowczych wrogów zakonu, przeto jèdynym przyjaznym mu księciem kościoła był biskup kurlandzki, prokurator zakonu, Tiergart.

Henning przechyla szalę zwycięztwa na stronę kościoła, wyjednawszy od papieża Marcina V rozporządzenie, uwalniające poddanych miasta Rygi od przysięgi, złożonéj zakonowi, a zalecające im arcybiskupa jako jedynego pana, któremu winni wiernopoddańcze posłuszeństwo (ob. nr. 280). Aby emancypacyą kościoła uczynić zupełną, pozwala papież arcybiskupowi i kapitule nosić strój reguły św. Augustyna i wzywa Witołda (554), aby jako obrońca praw i wolności arcybiskupstwa, osłaniał je od napadów niewiernych. Wypadek ten daje hasło do wojny dyplomatycznéj, prowadzonéj zarówno w Rzymie, jak na dworze króla Zygmunta, a W. Książę Litwy spełnia godnie przeznaczoną sobie rolę; szkoda tylko, że na podstawie tego zbioru nie możemy zajrzéć bliżéj w jego plany.

W ogólności zgromadzone tu starannie dokumenta dają wiele cennych wskazówek, lecz nie rozwiązują ostatecznie kwestyi; to téż nic dziwnego, że szanowny wydawca w przedmowie mylnie pojmuje stosunek mistrza zakonu inflanckiego do Litwy i Witołda. Cóż pytamy, zyskał na tem zakon, że ratyfikował pokój Melneński i że usta-

lono granicę od strony litewskiéj wedle woli W. Księcia? Czyż dr. Hildebrand sądzi, że Witołd starał się wtedy ująć zakon objawami szczeréj przyjaźni? Szczególnego to rodzaju przyjaźń, gdy w. książę staje otwarcie po stronie biskupów przeciw mistrzowi, gdy ten co chwila obawia się Pskowian i Nowogrodzian, a o ustaleniu wpływu na te rzeczypospolite ani marzyć nie śmie, co się przebija jaskrawo w jego liście do króla Zygmunta (nr. 544, str. 375). Podobno Rutenberg z przykrością znosił uciążliwą zależność od potężnego władzcy Litwy i chciał ją stargać, gdy odwołując się do pokoju z Pskowianami, odmówił mu posiłków na wojnę pskowską (list mistrza do w. księcia z 3 lipca 1426 r.), podczas gdy biskup dorpacki przystawił obiecane posiłki.

Wpływ polityki polskiéj i litewskiéj najsilniéj występuje na jaw w udziale, jaki przyjmują w domowych walkach inflanckich Witołd i Jagiełło. I tak Kubant, kandydat na biskupstwo ozylijskie, liczy na króla polskiego i w. księcia Litwy, (str. 73), kapituła ryzka utrzymuje w tajemnicy śmierć Habundiego, aby tymczasem wyprawić posłów do Jagiełły i Witołda z prośbą o poparcie jéj planów w Rzymie (str. 113, 135), Witołd prosi króla Zygmunta, aby przedłużył termin przyjęcia hołdu lennego od arcybiskupa i biskupa dorpackiego (str. 121). Fakta, że mieszkańcy Dorpatu postępują w myśl polityki biskupa (C.), zamiast się kierować interesami Hanzy (215), że kupcy hanzeatyccy zwracają się do w. księcia, gdy chodzi o wstawienie się u Nowogrodzian (245) i t. p. i t. p. pozostawiają liczne ślady wpływu polityki Jagiełły, głównie zaś Witołda na Inflanty.

Pośrednio do historyi Polski i Litwy nie brak tu ciekawych dokumentów. Przypominamy, że od r. 1423 do 1429 ciągną się leniwie długie pertraktacye pomiędzy Zakonem Krzyżackim a Polską i Litwą w kwestyi wykonania warunków pokoju Melneńskiego, zawartego 29 Września r. 1422. Zakon podżegany przez Luksemburczyka, ociąga się z uregulowaniem granic, opieczętowanie dokumentu odkładane ze zjazdu na zjazd—częste poselstwa krążą pomiędzy zakonem pruskim a inflackim, pomiędzy Jagiełłą a Witołdem. Mistrzowie donoszą sobie wzajemnie o skutkach legacyi, w. mistrz daje podwładnemu mistrzowi inflanckiemu szczegółowe wskazówki, coby należało czynić w takim lub innym wypadku, coby wypadało odpowiedzić na to albo owo żądanie Polaków lub Litwinów (nr. 54, 66, 99).

Wszakże z ogłoszonego przez dr. Hildebranda zbioru nie można nabrać dostatecznego wyobrażenia o całym przebiegu pertraktacyi, albowiem mistrz inflancki dopełnia warunków pokoju Melneńskiego już latem r. 1426, a o dalszych sporach Polski i Litwy z pruskimi krzyżakami nie ma już mowy w tym kodeksie dyplomatycznym. *K.*

-÷- Rozpoczęte jeszcze w roku 1873 wydawnictwo **Panteonu wiedzy ludzkiéj** *Bronisława Trentowskiego*, zawieszone w roku następnym, niedawno dopiéro doprowadzoném zostało do końca. P. Żupański, który się podjął nakładu dzieła tego, nie mogącego bynajmniéj liczyć na rozpowszechnienie, nie zważając na straty, jakie niewątpliwie poniósł i poniesie, nie chciał zrobić zawodu nielicznym prenumeratorom swego wydawnictwa, nie chciał pozostawiać największéj tj. najobszerniejszéj pracy naszego myśliciela w ułamkowym kształcie; i ogłosił tom trzeci „Panteonu" stanowiący kopułę całego gmachu wiedzy. Trudno utaić, że mozolna ta, wiele czasu i trudu pochłaniająca robota „ojca Bronisława" przychodzi zapóźno; i usposobienie umysłów i metody badań naukowych i samo pojęcie filozofii ogromnym uległy zmianom od czasu, kiedy Trentowski, przed laty dwudziestu, pracę swą wykończył; a i wtedy nawet, gdy ją spisywał, już w wielu kwestyach pozostawał po za postępowym ruchem poszukiwań umiejętnych. Mimo to, mimo że dzisiaj chyba już nader nieliczne niedobitki zwolenników „ojca Bronisława" życiem się jeszcze cieszą, nie można z lekceważeniem odtrącać jego ostatnéj pracy. Bądź-co-bądź Trentowski był jednym z najznakomitszych przedstawicieli i obrońców myśli swobodnéj u nas; z całą siłą zapału walczył przeciwko obskurantyzmowi i niewoli ducha a przez to oddał niewątpliwe zasługi w sprawie oświecenia narodu. Nie rezultaty, do których doszedł, nie metoda, którą się w ich osiągnięciu posługiwał, ale gorąca miłość prawdy, ale nieustraszona chęć szerzenia światła wiedzy niepodległéj, ale budzenie samodzielności myśli w czytelnikach stanowią istotne tytuły do wdzięcznéj względem Trentowskiego pamięci. Z tego właśnie tytułu zasługuje i „Panteon" na rozbiór szczegółowszy, którego téż podać nie zaniedbamy. Tymczasem jako zawiadomienie bieżące podamy najogólniejszą treść tomu trzeciego (str. 860). Mieści się tu najprzód dokończenie działu drugiego, tak zwany przez Trentowskiego „pean trzeci Kosmopei" zajęty wyłącznie przedstawieniem jednéj-jedynéj nauki: Etyki. Następnie idzie dział trzeci Panteonu a zarazem ostatni, obejmujący Filozofią czyli „nauki odnoszące się do tamtego i tego świata zarazem." Wykazawszy tu na wstępie ważność filozofii wogóle a szczególniéj dla czasów naszych, zbiwszy uprzedzenia względem téj „umiejętności mistrzowskiéj" w Polsce rozwielmożnione i określiwszy pojęcie téj umiejętności, przedstawia trzy „numenologiczne" stanowiska i roztacza przed czytelnikami trzy filozofii dzielnice: 1° *teozofią* to jest filozofią Boga i tamtego świata czyli „saméj istoty rzeczy"; 2° *ktyzeozofią* to jest „przejście tamtego świata, lub istoty w jaw, słowem stworzenie świata"; 3° *kosmozofią* to jest „pojrzenie transcendentalnym wzro-

kiem w świat ten i okazanie na dnie jego wszędy tamtego świata.“ Każda z tych dzielnic ma naturalnie swoje powiaty i gminy trójkami uszeregowane, których tu wyszczególniać nie będziemy, dodając tylko, że „ojciec Bronisław“ lubiąc przedewszystkiém symetryą, nie mógł poprzestać na przedstawieniu geografii owych trzech dzielnic, ale jak na samym ich początku umieścił „numenologią“ tak na ich końcu wystawił „filozofią filozofii“, tak nazwaną przez siebie *Petrozofią*; czyli mówiąc obrazowym językiem naszego myśliciela: „Numenologia jest jeden a Petrozofia drugi we stropie niebios tkwiący *hak boży*, na których zawieszon zostaje Filozofii łańcuch“ (str. 831). Treść *Petrozofii* tak T. ujmuje: „Jedna jest tylko prawda najściślejszego i najwłaściwszego znaczenia, lub prawda wszech prawd, prawda bezwzględna. Imię jéj zwyczajnie Bóg. Ale prawd względnych, rozlicznemi prawdy téj naczelnéj odblaskami będących, ma się nieskończoną moc. Bóg jest jeden i jedyny; ale wiernych, i we wszechistnieniu i w umiejętności, a coraz to innych jego wyrazów jest wiele. Wszystkie zaś takie prawdy względne schodzą się i kupią w niezbyt wielkiéj liczbie prawd głównych, które zowią się *Prawdy zasadnicze*. Prawdy zasadnicze zatém, o których tu rzecz, są *kamieniem mądrości* i *kluczem do Niebios*. Wyprowadzić je na widocz i oznaczyć bliżéj— Petrozofii zadanie i praca. Petrozofia przeto jest *Całokształt prawd zasadniczych*, sprawujących Istnienia i Filozofii każdéj *Pierwiastki*.“ Można się uśmiechnąć z tych terminów i z tego ducha systematyczności nadmiernéj; ale byłoby niesprawiedliwością odmawiać Trentowskiemu polotu myśli i inwencyi. Inwencya ta możeby się na niewiele przydała; ale T. umiał zawsze, nawet przy wykładzie rzeczy najbardziéj oderwanych, ożywić umysł czytelnika zwrotami do praktyki i przez to osiągał najczęściéj skutek najlepszy. I w wykładzie filozofii są takie świetne ustępy, których treść dzisiaj jeszcze nic a nic nie utraciła ze swego znaczenia, bo są wymownym wyrazem swobody myślenia. Czytelnikom radziłbym odczytać i rozważyć ustęp obszerny od str. 255—345; a mam nadzieję, że przyznają mi słuszność.

= **Opowiadania i roztrząsania historyczne** (pisane w latach 1875—1880) przez *Józefa Szujskiego* (Warsz. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1882, str. 414). Jest-to druga serya tego zbioru szkiców i studyów, którego seryą pierwszą oceniono pokrótce w *Ateneum* z r. 1877 (tom I str. 223, 224). Zawiera ona ogółem dziewięć artykułów, z których dwa: *Ludwik węgierski i bezkrólewie po jego śmierci* (str. 67—183) oraz *Kraków aż do początków XV wieku* (str. 184—287) urosły do zakresu rozpraw i obejmują więcéj niż połowę całéj książki. W innych, o wiele krótszych, znajdujemy: „Charakterystykę Kazimierza W.“, opowieść o „Maćku Borkowiczu i pierwszéj konfederacyi rycerskiéj“,

rzecz o „Warunkach traktatu kaliskiego r. 1343, o „elekcyi w epoce Jagiellonow“, o „stanowisku Długosza w historyografii europejskiéj“, o „wypowiedzeniu posłuszeństwa“ (*de non praestanda obedientia*), wreszcie szereg aforyzmów „o młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju.“ Wszystkie są nadzwyczaj interesujące i nader cenne; wszystkie zasługiwałyby na rozbiór, którego podać obecnie nie mogąc, z ostatniego jedynie artykułu, zawierającego zresztą znane już skądinąd poglądy naszego historyka na przyczyny naszego upadku politycznego, wyjmujemy cytatę z niedrukowanego listu Zygmunta Krasińskiego mogącą w wysokim stopniu zainteresować czytelników. W liście tym poeta, który napisał w „Przedświcie:“ „Ty nie szukaj w ojcach winy“, poeta który w Polsce widział cnoty „nadeuropejskie“, tak pisze do ojca: „Byliśmy najniepewniejszym, najbłędniejszym, najbledszym, że tak powiem, narodem w historyi i ludzkości. Nic nigdy organicznego, zupełnego, całego w nas nie było, ani arystokracyi, ani mieszczaństwa, ani ludu... Że wojen religijnych u nas nie było, to tylko dowód, że nikt w nic nie wierzył mocno... Naród polski bywał zawsze leniwym do wojny, lubił wygódki, ale zato fanfaron wielki, bo ten tylko chełpi się, kto czuje niedostatek rzeczy, z której się chełpi. Chełpliwość i naśladownictwo, to nasze dwa znamiona, a naśladuje ten, co nie ma nic własnego... Dlatego téż my najmniéj naturalni z ludzi, dlategośmy często wystawni dla widzów, skąpi w domu; namiętni dla widzów, zimni w sercu. Dlatego krzyczymy, a nie myślimy; dowodzimy bez przekonania... Jedyną tradycyą była u nas swawola...“ Jak w apoteozie tak w krytyce poeta nasz nie umiał utrzymać miary. P. Szujski twierdzi, że wielu wad zauważonych przez Krasińskiego pozbyliśmy się; brak nam jeszcze zmysłu politycznego, ale i ten wyrobić się może, bylebyśmy „nie importowali go z zagranicy. Ten „swojski, prosty i zdrowy zmysł“ powie nam, „że nie masami, natchnionemi samowolą uczucia, ale zgrupowaniem ludzi około zastępu posiadającego silne przekonania i dobrą wolę stoją społeczeństwa... że nie w bezbarwności, chcącéj się przypodobać wszystkim, ale w walce raczéj zdań o środki do celu, nie w krzykliwéj i płytkiéj demonstracyjności, ale w zachowaniu się męskiém, spokojném a czynném, szukać należy haseł prawdziwiéj siły wewnętrznéj.“

= **Z wydawnictw Elizy Orzeszkowéj w Wilnie** ukazały się nowe tomiki 15 i 16. Jeden z nich zawiera powieść saméj wydawczyni p. n. *Widma*, gdzie w sposób obrazowy i zajmujący kreśli przyczyny i pobudki powstawania zarodków socyalistycznych w sferze towarzysko położonéj wyżéj aniżeli ta, którą przedstawiła w *Sylwku Cmentarniku*. Podpatrywanie stron nowych w życiu społecznem, ruchy

w niém wytwarzających, bystra obserwacya zastosowana do kwestyj nadzwyczaj ważnych, wskazywanie złego w jego początkach: oto zalety, które odrazu uderzają w niepospolitym talencie Orzeszkowéj. Niektóre sceny i dwie główne postacie oddane przepysznie—z prawdą i artyzmem.—Drugi tomik jestto broszurka napisana przez Antoniego Skórkowskiego p. n. *Matki i karmicielki.* Wykazuje tu autor warunki pożywienia noworodków, podaje skład chemiczny mleka różnych ssących i przedstawia nieodbitą porzebę karmienia dzieci przez własne matki kładąc nacisk na to, że karmienie to sprzyja własnemu ich zdrowiu i... piękności, gdy uwolnienie się od tego obowiązku bez słusznéj przyczyny pociąga za sobą różne niemoce tak fizyczne jak i psychiczne. W Wilnie także, ale już nie w szeregu wydawnictw Orzeszkowéj, wyszły jeszcze trzy broszury. Jedna jest-to „List otwarty P. T. Jeża o książce Dra Piotra Chmielowskiego i jego krytykach“ wymierzony głównie przeciwko zdaniom wypowiedzianym przez p. Henryka Sienkiewicza. Druga są-to dwa wiersze: „Wilia i Na grobie lirnika“ napisane przez p. F. Łopatyńskiego, nader skromnéj wartości, bo wiersze te (nie *poemata* jak tytuł opiewa) niewolne są od gramatycznych nawet błędów; jedyną ich zaletą jest uczucie serdeczne i rozsądne myśli tu i owdzie rzucone. Trzecia wreszcie broszura to „Cerber“, zbiór rysunków i artykułów humorystycznych; jest kilka ustępów bardzo udatnych, ale są téż i rzeczy niesmaczne (jak na str. 22: *Historya Lota*, *Niezła pociecha*).

= **Frycz Modrzewski i najświeższa ocena jego działalności,** rzecz historyczno-krytyczna. Napisał Edmund Dylewski (Warsz. 1881, str. 78). Broszurę tę wywołała rozprawka a raczéj pamflet ks. Władysława Knapińskiego, który pisząc rzecz o Modrzewskim jako teologu dotknął całéj działalności naszego znakomitego publicysty i nie znalazł dla niego lepszéj w świecie naukowym pozycyi nad pogardliwą rolę „projektowicza.“ P. Dylewski od roku przeszło pracował (jak powiada) nad obrobieniem studyum o Modrzewskim; a oburzony lekceważeniem, z jakiém ks. Knapiński traktuje znakomitego pisarza, i znalazłszy wiele niedokładności, błędów, a nawet nieznajomość przedmiotu we wspomnianéj pracy, wystąpił ze szczegółową jéj krytyką. P. Dylewski nie włada dobrze piórem, stąd krytyka jego nie ma zwięzłości i dosadności, ale świadczy o wielkiém oczytaniu w dziełach Modrzewskiego i prawie zawsze trafnością się zaleca.

= Z dziedziny **belletrystyki** zaznaczyć tu wypada rokiem 1882 oznaczone powieści. „Krzyżacy 1410, obrazy z przeszłości przez *J. I. Kraszewskiego*“ nie są bynajmniéj rzeczą świeżo napisaną; jest-to przedruk z „Kłosów,“ które powieść tę przed 7 laty ogłosiły. Zwykłym sobie trybem tworzenia powieściopisarz nasz nie tyle kreśli tu w wielkich

zarysach świetne chwile dziejowe, ile w drobnych rodzajowych obrazkach stara się odtworzyć szczegóły potocznego życia, które się przed wiekami rozwijało w stosunkach Polaków z krzyżakami. Potężna, wiekopomna bitwa pod Grunwaldem zajmuje tu stosunkowo mało miejsca; daleko dosadniéj oddane są chwile po zwycięstwie, z którego Polacy korzystać nie umieją i oddają się spokojnemu używaniu żywota. Toruń gra tu rolę Kapuy. Witołd usunięty na drugi plan: uwydatniony natomiast Jagiełło.—Jako pierwociny pracy powieściopisarskiéj wspomnieć należy szkic p. *Henryka Glińskiego* p. n. „Tylko doktór!“ Parę rysów, z natury zapewne podpatrzonych, jak rozcinanie kartek w książkach przed przybyciem gości na znak, że się je choć przeglądało, albo epizody z życia studenckiego, zdają się wskazywać, że autor szkicu potrafi obserwować; ale jak dotąd nie udało mu się utworzyć charakterów, które albo przechodzą w karykaturę (sędzia i jego żona) albo są bezbarwne (jak reszta osób); wyjątek stanowi sylwetka studenta, który peryodycznie niemal dla braku funduszów musi opuszczać uniwersytet, aby się udać na guwernerkę, lecz nigdy nie traci energii i wraca do przerwanych studyów. Nie umie téż autor ułożyć opowiadania w jakąś szykowną całość; przerywa ją i plącze, przez co nie tylko nie pobudza ciekawości, ale odstręcza od czytania. Najgorszą jednak rzeczą w jego książce jest język skażony rusycyzmami jak np. „postąpił na wydział medycyny;“ „*powodem* sprzeczki... *posłużyła*... prośba,“ oraz styl pretensyonalny: „nowobudowana pończocha;“ „wykrystalizować pracę;“ „list zaszeleściał, dając tém dowód najlepszy, że rzeczywiście jest *materyą*“ i t. p.

— Z pomiędzy **przekładów** zasługuje najprzód na wzmiankę *Historya literatury powszechnéj* Jana Scherra w tłómaczeniu p. Bronisława Zawadzkiego. Wydawnictwo to, jak wiadomo, jest zeszytowe. Niedawno wyszedł zeszyt trzeci kończący tom pierwszy; mamy tu skreślone dzieje literatury francuskiéj i włoskiéj. Dość liczne są przypiski tłómacza dopełniające wiadomości w tekście zawarte.—Powtóre interesujące są dwa wydawnictwa Spółki Nakładowéj warszawskiéj: jedno daje w przekładzie dzieło Edgara Quineta p. n. „Duch nowy;“ drugie zaś znaną a wielce zajmującą pracę Włodzimierza Spasowicza, pomieszczoną po rosyjsku w „Historyi literatur słowiańskich“ Pypina. Praca ta wyszła pod napisem: „Dzieje literatury polskiéj. Przełożyli z rosyjskiego St. Czarnowski i A. G. Bem“ Warsz. 1882, str. VI i 627. Dzieło to wypełniające nadzwyczaj dotkliwy brak historyi literatury rozpatrywanéj w ścisłym związku z polityczno-społecznemi zmianami, mogące zatém służyć za wyborne dopełnienie dotychczasowych podręczników téj nauki, które zewnętrzną głównie stronę piśmiennictwa uwzględniają, niewątpliwie było

nam potrzebne. Szkoda tylko, że przekład w drugiéj części zeszpecony rusycyzmami i tak fatalnemi błędami jak to: że Kraszewski mieszkał w Gubinie (tj. Hubinie), i że wydanie bardzo zaniedbane pod względem korekty.

= Z licznych *prospektów*, jakie się zwykle przed Nowym Rokiem ukazują, wspomnimy tu o tych tylko, które zapowiadają wydawnictwa nowe albo téż odnowione. W Warszawie dwa pisma codzienne zmieniły wydawców i redaktorów. „Nowiny," wychodzące 360 razy na rok, przeszły na własność p. Finkelhausa a pod redakcyą p. Filipa Sulimierskiego. W odezwie swojéj redakcya wyraża, że „jakkolwiek dokładnie widzi konieczność prowadzenia gazety w taki sposób, żeby ona czyniła zadosyć codziennym potrzebom informacyjnym czytelników i żeby uwzględniała nawet potrzebę bawienia umysłów; to jednakże na pierwszém miejscu stawia służbę idei przewodniéj," chcąc „służyć społeczeństwu według własnego przekonania a nie według czyichśkolwiek widoków lub względów na własną korzyść." Ze szczegółów odezwa ta zaznacza dwa punkta ze sfery zasad społecznych; redakcya chce wykazać, że mniemany chaos kultury spółczesnéj rozjaśnia się, gdy go oświeca gwiazda przewodnia ludzkości, *wiedza*, że ponad wszelkiemi środkami wiodącemi do celów społecznych górować winien „jeden wielki i jedyny nieomylny środek: oświata." — „Kuryer codzienny" również zmienił wydawców, a redakcya zapowiada liczne ulepszenia, a co do kierunku obiecuje być postępową, przekonana, że ludy dążą ku ideałom społecznego dobra, każdy wedle swych uzdolnień i pragnień: „Opierając się—powiada—na podwalinach wytworzonych przez odrębność plemienną i historyczną, winien każdy naród zapożyczać się od innych w tém wszystkiém, co dlań jest potrzebném do życia i do rozwoju postępowego. Zasklepienie się w ciasnym obrębie swych wyłącznych celów i przekonań wytworzyć może tylko zastój a za zastojem martwotę. Ciągły ruch, ciągłe posuwanie się naprzód jest koniecznym, niezbędnym warunkiem życia." — W Krakowie zapowiedziano wydawnictwo nowéj gazety p. n. „Reforma." Prospekt podpisali: Adam Asnyk, Jan Czerwiński, Mieczysław Pawlikowski, Tadeusz Romanowicz, Tadeusz Rutowski. Kilka charakterystycznych ustępów da poznać czytelnikom kierunek, w którym ma pójść ten dziennik, który stać się może przeciwwagą jednostronnego „Czasu." Przedewszystkiém redakcya stać chce na podstawie czysto-narodowéj, opierać się na gruncie historycznych praw i właściwości naszego społeczeństwa i obejmować cały zakres jego potrzeb i dążeń; pragnie „iść naprzód drogą rozważnego a trwałego postępu, w zgodzie z powszechnym ruchem ludzkości i bronić wszędzie sprawy wolności i cy-

wilizacyi, o ile ta wolność i ta cywilizacya nie są kłamliwemi maskami chytrze użytemi dla tém skuteczniejszego gwałcenia praw narodowych i swobody sumienia.“ Co do wewnętrznych stosunków Galicyi „Reforma“ za jedno z najgłówniejszych zadań uważać będzie poprawę społecznych, ekonomicznych i administracyjnych stosunków; w sprawach „rozdzierających społeczeństwo,“ jak kwestya ruska i żydowska obstawać będzie „przy zasadzie jedności kraju, dążąc do zgody i porozumienia na podstawie wolności i sprawiedliwego rozkładu praw i obowiązków.“—Wszystkim tym trzem pismom, mającym na celu szerzenie światła i służenie idei postępu, wyrażamy ze swéj strony szczere życzenia jak największéj owocności pracy, dla dobra kraju podjętéj.

= Znakomitego dzieła *Hipolita Taine'a*: „Les origines de la France contemporaine“ wyszedł tom trzeci pod szczegółowym napisem: **La conquête jacobine** (Paryż, 1881, str. 486). W przedmowie autor określa ogólny charakter swéj pracy, jako „historyą władz publicznych,“ nie wdając się w dzieje dyplomacyi, wojny, finansów i kościoła. Zgodnie z tak pojętém zadaniem przedstawia Taine w 12 rozdziałach po kolei: utworzenie się nowego organu politycznego, uformowanie się partyi jakobinów, jéj składowe pierwiastki, stowarzyszenia, jéj poglądy na swobodę pracy, jéj ognisko. Następnie opisuje dostanie się partyi téj do władzy przy wyborach z r. 1791, i w szerokich rysach daje nam obraz zarówno składu jak działalnośc Zgromadzenia prawodawczego, opowiada o stanie wewnętrznym departamentów i Paryża, w jaskrawych barwach przedstawia rozpasanie się anarchii i kończy historyą wypadków r. 1793 do dnia 2 czerwca. Rządzących naówczas tak nam wystawia: „Wskutek całego szeregu dystylacyj w znaczeniu odwrotném, ze stronnictwa pozostały męty; z wielkiego wylewu r. 1789 tylko piana i błoto; reszta albo się usunęła albo ją usunięto, najprzód klasa wyższa, duchowieństwo, szlachta i byli członkowie parlamentu, następnie klasa średnia, przemysłowcy, kupcy i mieszczanie, nakoniec wybór klasy niższéj, mali właściciele, dzierżawcy, majstrzy; słowem wszystko co było znaczniejszém w każdym zawodzie, położeniu, stanie lub rzemiośle, wszystko co miało jakiś kapitał, jakiś dochód, jakiś zakład, wszystko co miało punkt honoru, poważanie, wychowanie, kulturę umysłową lub moralną. Dla utworzenia stronnictwa, w czerwcu r. 1793, są tylko robotnicy niestali, włóczędzy miejscy i wiejscy, uczestnicy zajęć podejrzanych, motłoch upośledzony i niebezpieczny, wykolejeni, przewrotni, wszelkiego rodzaju niedobitki. W Paryżu zaś, skąd całym

krajem rządzi, wojsko jego rekrutuje się z pomiędzy tych wyrzutków ludzkich, co zarażają stolice, z pomiędzy tłuszczy epileptycznéj i skrofulicznéj, która, odziedziczywszy krew zepsutą i zepsuwszy ją jeszcze bardziéj własném życiem, wnosi do cywilizacyi wybryki, niedołęstwo i szaleństwo swego zwątlonego temperamentu, swych wstecznych instynktów i źle ukształtowanego mózgu.“

= Młody a wielce płodny, trochę i u nas znany ze studyum o kobiecie pisarz niemiecki *Edward Reich* wydał niedawno ciekawą książkę p. n. **Das Leben des Menschen als Individuum**. *Die Leibes-und Seelen-Beschaffenheit der menschlichen Persönlichkeit und deren Beziehung zu Gesundheit und Wohlfahrt im gesellschaflichen Zusammenleben* (Berlin, 1881, str. 368). Rzecz swoję nazywa także autor „Fizyologią osobistości ludzkiéj“ rozumiejąc przez tę nazwę „naukę o naturze tych własności i stosunków, które znamionują jednostkę ludzką.“ Zwykle fizyologia „zdaniem Reicha, przedmiotem tym nie zajmowała się specyalnie starając się wynaleźć normę życia wogóle i odkryć podstawy bytu widzialnego i dotykalnego. Fizyologia zaś osobistości ludzkiéj bada stosunki charakteryzujące w całości swojéj każde indywiduum; a więc wiek, płeć, skład ciała, temperament; śledzi człowieka w jego życiu cielesném i duchowém i usiłuje odkryć zachowanie się jednostki w społeczeństwie. Tym sposobem poznajemy nici łączące z sobą umiejętności antropologiczne i moralno-polityczne. Reich kreśli właśnie zarys takiéj fizyologii. Po wstępie wykazującym znaczenie indywiduum, mówi najprzód o *życiu* wogóle i roztrząsa takie kwestye, jak długość życia, energia życiowa i koniec życia, a następnie rozpatruje *różnice osobiste* pod względem wieku, płci, konstytucyi ciała, usposobień duchowych tj. temperamentów zarówno w jednostkach jak i w grupach narodowych. Zastosowując spostrzeżenia swoje, dotyczące jednostki, do narodów całych widzi w nich podobne jak w jednostkach różnice wieku, składu ciała i temperamentu i dodaje, że każda grupa narodowa w wielkim koncercie ludzkości podobną odgrywa rolę, jak indywiduum w rodzinie. Państwo zatém jest osobistością ogólną, którego natura i trwanie zależy od osobistości pojedyńczych, które je składają; im lepsi i zdrowsi są ludzie osobno wzięci, tém lepszém i zdrowszém jest państwo. A stąd z konieczności wynika, że każde państwo uciskające swych członków prawami i instytucyami przeciwnemi ich naturze, tém samém gorliwie na swój upadek pracuje.

ZAMIAST KRONIKI.

Pod wrażeniem opłakanych wypadków, zaszłych w dni świąteczne na ulicach Warszawy, każdy szuka przyczyn i powodów téj burzy, która tak niespodzianie spadła na nas, i każdy téż zapytuje się trwożnie: Czy to już koniec, czy się podobne sceny powtórzyć nie mogą? W bliskiéj przyszłości, zapewne że się nie powtórzą; w obec oburzenia opinii publicznéj silnie zamanifestowanego i kary, która spotkać powinna winowajców, spokój publiczny na dzisiaj zabezpieczony będzie. Ale czy społeczeństwo może się czuć bezpiecznem od powtórzenia się kiedykolwiek, przy nowéj zdarzonéj okoliczności, ulicznych grabieży i napaści na obywateli spokojnych, za to nikt zapewne nie zaręczy.

Obecnie wielu ludzi stara się pocieszać tém, że burdy, gwałty, niszczenie mienia cudzego, dokonywane były przez uliczników, wyrostków i przez znanych wykwalifikowanych złoczyńców. Dla nas stwierdzenie tego faktu pociechą być nie może. Rzecz oczywista, że ludzie uczciwi, a nawet roztropni tylko, nie pójdą napadać na niewinnych, ani zabawiać się, chociażby pod wpływem silnego w danéj chwili podrażnienia, wybijaniem okien, wyłamywaniem drzwi zamkniętych, rabowaniem szynków, niszczeniem odzieży i pościeli biedaków. Widzieli to wszyscy, że pierwsze okrzyki, pierwsze rzucone kamienie były dziełem swawolnych niewiast i ulicznych łobuzów, że na te hasła zbiegała się hałastra wszelkiego rodzaju, i dopiéro pod naciskiem silnych jéj pięści i ramion łamały się rygle, pękały drzwi żelazem okute. Jak każdemu wiadomo, wszędzie w wielkich miastach bywa dużo złych ludzi, którzy chciwie czatują na każdy nieporządek, ażeby przy téj zręczności zająć się skrzętnie rabunkiem. Ale, jeżeli ulicznicy i złodzieje stanowią jeden z nieuniknionych elementów ludności miejskiéj, niemniéj są oni cząstką a bodaj i produktem téj ludności, a społeczeństwo, które widzi ich plądrujących otwar·

cie i narażających spokój obywateli, nie tylko oburza się na to do głębi serca, ale i występuje czynnie przeciwko nim we własnéj swéj obronie. W tém rozproszkowaniu na jednostki, w jakiém, na nieszczęście, społeczeństwo nasze się znajduje, nie mając możności nawet doraźnego skupienia wszystkich dobrych i energicznych żywiołów społecznych ku ratowaniu porządku i spokoju, liczyć możemy zaledwie na przypadkowe wpływy dzielniejszych indywiduów, lubo te wpływy w chwilach rozbujania i swawoli zwykle mało skutecznemi się okazują. Dla tego też tém bardziéj obowiązani jesteśmy zapytywać siebie o prawdziwe przyczyny zaszłych w Warszawie gwałtów.

Faktem jest, że niechęć pomiędzy ludnością żydowską a chrześciańską w kraju naszym istnieje i z łatwością w wybuchy gwałtów przechodzi. Czy stosunki ekonomiczne grają w tém tak wielką rolę, jak niektórzy utrzymują? Nie zdaje się. Stosunki ekonomiczne zresztą dla ludzi nieoświeconych mało są zrozumiałe, działają one zwolna, rzec można, niewidzialnie; zmiany, jakie pod ich wpływem wytwarzają się, nie dają powodu do gwałtów ulicznych. To pewna, że w ostatnich nieporządkach przyczyny ekonomicznéj niedopatrzy, a jeśli możemy to twierdzić stanowczo, to staje się oczywistém, że gdzieindziéj szukać trzeba źródła złego, które w tak szkaradnéj postaci się objawiło.

Różnice plemienne, a bardziéj jeszcze obyczajowe, ciągle biją w oczy, one na każdym kroku ludzi od siebie odsuwają i odstręczają; w wyższych sferach towarzyskich różnice te nie są widoczne, zagładza je i wyrównywa wykształcenie, nauka, obyczaj jednostajny, tolerancya religijna, a jednak i tam różnice te odczuwają się do tyla, że pomimo najszczerszych chęci nie łatwo idą w zapomnienie. Każdy z nas widział, że lud daleko łatwiéj wchodzi w stosunki towarzyskie z żydami, aniżeli klasy wykształcone, że w czasach spokojnych żyje z nimi najlepiéj i obcuje po przyjacielsku, a pomimo to, zawsze dla prostaczka chrześcianina żyd jest czemś inném od niego, tak samo jak dla żyda chrześcianin jest istotą obcą. Skądże to pochodzić może, jeżeli nie z odmiennego ubioru, obyczaju, mowy i nawyknień? W naszym kraju, gdzie żydzi w tak wielkiéj liczbie mieszkają od tak dawna, wyróżnienie to jest dotąd pierwiastkiem jątrzącego fermentu, łatwo dającym się rozdmuchać w wybuchy namiętne. Jeżeli publicyści rosyjscy, którzy żydów tylko z daleka widzą i tylko niewiele o nich słyszą, mogą stawić sobie kwestyą: co zrobić z żydami w państwie? jak uregulować ich stosunki z ludnością chrześciańską?—my takiego pytania nawet stawiać nie możemy. Ani wygnać żydów z kraju nie można, ani ich na chrześcian przerobić nikt nie potrafi, pozostanie

więc jedno zadanie—jak z żydami razem żyć spokojnie, jak tego dokazać, ażeby ich dobre skłonności i talenta szły na korzyść całego społeczeństwa, aby ich wady nie były narodowi szkodliwe?

Jedyna do tego droga—asymilacya, na sprowadzenie której z obu stron wytężyć należy usiłowania najgorętsze. Sprzeczki i bójki z żydami, niechęci i zatargi zdarzały się u nas nieraz, ale nigdy nie trwało to długo, ani téż było ogólne, i jedynym skutkiem było to, że z obu stron ludzie rozumniejsi znajdowali w nich pobudkę do głębszego zastanowienia się nad wzajemnym stosunkiem, do serdeczniejszego poczucia tych węzłów, które łączą z konieczności ludzi zrodzonych na jednéj ziemi, na ziemi, w któréj prochy ich ojców przez dziewięć wieków składano, téj ziemi któréj dobra i zła dola z dolą osobistą i przyszłych pokoleń najściśléj jest związana.

Pamiętamy wszyscy, jak przed dwudziestu laty, po dość żywym, chociaż z błahych powodów powstałém nieporozumieniu, nastąpiło serdeczniejsze zbratanie, a wynikła z niego agitacya doprowadziła do równouprawnienia w życiu publiczném. Dla nas, co to pamiętamy, dla nas, którzyśmy to za wielką zdobycz uważali, rozboje obecnie dokonane, są fatalną anomalią, klęską, a bodaj czy nie cofnięciem się wstecz. Widać, że żydzi i chrześcianie od lat dwudziestu małe bardzo zrobili postępy na drodze wykształcenia społecznego, na drodze owéj pracy cywilizacyjnej, która w sercach ludzkich potęguje poczucie sprawiedliwości, jeżeli jeden okrzyk zwalający winę oczywiście przypadkowego nieszczęścia, zdarzonego w dzień biały i pod otwartém niebem, wystarczył na to, aby rozbudzić wśród tłumu najgorsze instynkta i ubezwładnić chwilowo dobre chęci ludzi uczciwych i rozumnych.

Dzisiaj nie chcemy zwracać mowy do żydów, jako do tych, którzy ucierpieli, którzy pod wpływem, nietyle szkód materyalnych, ile przerażenia i boleści na widok publicznie w ciągu dwóch dni znęcających się nad ich współwyznawcami szubrawców ulicznych, cierpią już dosyć i do rozwagi i rozmyślań sami się uciekają; ogólnie tylko zaznaczyć musimy, że powinniby w dziesięćkroć pomnożyć usiłowania swe około rozwalenia muru oddzielającego ich od ludności chrześcijańskiéj, że w imię przywiązania do zakonu swego powinni oczyszczać praktykę życia od wszystkich naleciałości szkodliwych, i użyć wpływów, jakiemi rozporządzać mogą, ażeby wszelkiemi drogami wprowadzać nowożytne pierwiastki cywilizacyjne wśród ciemne tłumy swego proletaryatu; ażeby wzmocnić ten związek obywatelski, na jaki się przez tyle lat pracowało. A że tak zadanie swoje pojmują najinteligentniejsi izraelici, dowodem tego jest artykuł w Nr. 50 „Izraelity“ zakończony témi pięknemi, do współwyznawców zwróconemi, słowa-

mi: „My, mimo wszystkiego i wbrew wszystkiemu, pokażmy, iż cnotę wytrwałości, którą z takim skutkiem ujawnialiśmy przez tyle czasów dla zachowania naszéj wiary, umiemy także skutecznie stosować, dla zachowania naszych uczuć obywatelskiéj solidarności.“

Chrześciańskiéj ludności przypomnieć wypada, że kto się szczyci mianem chrześcianina, obowiązany pełnić prawo miłości, a obok tego pamiętać o szkodliwych skutkach, jakie dla społeczeństwa wynikać muszą z żywienia w sercu niechęci ku tak wielkiéj masie obywateli wspólnéj ojczyzny.

Gwałtów na ulicach dopuszczali się złodzieje, swawolą zabawiali się ulicznicy i młodsi terminatorowie. Dlaczego okrzyk „żydzi zabijają naszych w kościele“—znalazł tak łatwo wiarę wśród tłumu, że pod pierwszém wrażeniem téj wieści mało kto odważył się zaprzeczyć jéj głośno i stanowczo na miejscu wypadku? Czy nie dla tego, że wszyscy mniéj więcéj przywykli sądzić, iż ludność żydowska może się dopuszczać wszelkiéj niecnoty? Dla czego my, którzy z tak szlachetném oburzeniem powstajemy na Niemców i innych sąsiadów naszych, skoro oni nieoględność, nieporządek, brak zastanowienia lub przezorności, albo inne jakie usterki, przez którego z Polaków popełnione, składają na karb narodowości polskiéj i obwiniają o nie cały naród,—dla czego czując na sobie samych całą niesprawiedliwość podobnych sądów, i czując tém dotkliwiéj, że w położeniu naszém nie zawsze możemy się bronić od nich głośno i otwarcie,—dla czego każdą winę żyda, składamy na ogół żydowski i powiadamy zwykle „to żydzi zrobili?“ Czy lud nasz słyszał od ludzi wykształconych, że sprawiedliwość niepozwala składać na ogół win ludzi pojedyńczych? Czy wśród rzemieślników majstrowie, czy panowie wśród sług swoich, czy starsza bracia wśród młodszéj nie odezwała się nigdy o żydach w sposób pogardliwy i podejrzliwy?—Dla czego?—„Okpił mnie“—odpowie ktoś. — Alboż i między chrześcianami nie ma oszustów?

Niechęć więc nie wyradza się z oszustwa, ale raczéj z tych cech odmiennych, które tak jaskrawo biją w oczy. Przeciwko niéj nic nie działa, ku jéj podbudzeniu zbiega się mnóstwo okoliczności czysto zewnętrznéj natury, ani z uczciwością ludzi, ani z ich użytecznością społeczną nic wspólnego niemających. Jeżeli niechęć wśród ludzi cywilizowanych jest odczuwana i wyraża się w sądach niesprawiedliwych o całéj ludności żydowskiéj, to niedziw że wśród prostaków objawia się ona w połajankach i przekleństwach. Za przekleństwem przy nadarzonéj zręczności i silniejszém podbudzeniu, łatwo idzie bójka, za bójką zawziętość i chęć zniszczenia, a za tém wszystkiém gorsza jeszcze pokusa skorzystania z tego zajścia i przywłaszczenia sobie cudzéj własności. Filiacya popędów złych

w sercu ludzkiém bardzo prosta: łatwo z jednego wyradza się drugi i prędko człowiek potrafi stoczyć się po téj pochyłości w samą głębię występku i zbrodni. Wszyscy moraliści twierdzą, że złe skłonności w człowieku łatwiéj się wzmagają i potęgują aniżeli dobre, i że jeżeli trudno stać się bohaterem cnoty, to zbrodniarzem stosunkowo dość łatwo. Nie darmo też serce ludzkie zwie się przepaścią bezdenną, któréj tajniki badają psychologowie z dawien dawna, i nieznaleźli jeszcze dna stałego, któregoby nowy jakiś wybuch namiętny nie zdołał przebić. Nawet w sercu człowieka moralnie wykształconego żyją ciągle zarodki złych skłonności, a cóż dopiéro w sercach ludzi mało kształconych, lub, co gorsza, zupełnie zaniedbanych. Dlatego to, kto ma w sobie poczucie szlachetne, nie może ustawać nigdy w baczności nad własnemi słabościami i w pilności około szerzenia zasad, które za słuszne uznaje.

Słyszeliśmy o kilkunastu wypadkach usiłowań ludzi uczciwych i wysoko wykształconych, którzy czy to pojedyńczo, czy w grupach z kilku osób złożonych, starali się powstrzymać zapędy rozhukanéj tłuszczy na ulicach Warszawy, ale się one wszystkie nie powiodły, a przynajmniéj znacznych skutków nie odniosły; dla czego? Gdyby uczciwi rzemieślnicy i wyrobnicy, dzieci ludu warszawskiego, chcieli dopomódz tym ochotnikom dobréj sprawy, niewątpliwie łatwiéj-by poszło powstrzymanie rozswawolonéj hałastry, i sprawa nie rozrosłaby się w katastrofę publiczną. Ale uczciwi rzemieślnicy i wyrobnicy zachowywali się biernie, przypatrywali się wybrykom i gwałtom, nie brali w nich udziału, jednak nie stawili im oporu. Kto dzisiaj ocenić potrafi, kto obliczyć jest wstanie, w jakiéj ilości obojętnych spektatorów grały i rozpalały się złe żądze? czy widok bójki,—ostatecznie wcale nie wstrętny dla człowieka,— czy tak bardzo zaraźliwa wśród masy ludzi chęć do niszczenia, nie zostawiły w ich sercach zarodków pociągu do nowych awantur? Czy zresztą sami tylko żydzi są celem niechęci a może zawiści ubogiéj wyrobniczéj ludności? Na te pytania odpowiedzieć nie jesteśmy w stanie. Zresztą chodzi głównie o to, ażeby każdy człowiek myślący zechciał je sobie postawić i sam na nie szukał odpowiedzi. Wspomnieć tylko możemy, że historya nas uczy jak wielkie ruchy ludowe z małych na pozór przyczyn powstają i rosną, jak wśród nich coraz to inne przedmioty stają się celem pożądliwości i coraz szersze koła biorą w nich udział.

Baczność obywatele! — zawołać więc musimy. Pomimo całéj szczupłości zakresu, w jakim działalność nasza jest zamknięta, działać trzeba. Zwróćmy więc wszelkie starania, ażeby łagodzić niechęci plemienne, ażeby usunąć jeden z motywów do nienawiści w sercach ludu, bo skoro ona tam zapanuje nie będziemy pewni ani dnia, ani

godziny, w któréj bezpieczeństwo publiczne jedynie od bagnetów i karabinów zależéć będzie.

Po tych właśnie nieszczęsnych wypadkach, powinniśmy wszelkich starań dołożyć, ażeby nie ginęło między ludźmi wykształconemi a prostaczkami owo porozumienie co do potrzeb społeczeństwa, którym zadość uczynić może jedynie rozumne, spokojne i wytrwałe działanie. Nie można zamykać się w dumie delikatnych sentymentów i twierdzić, iż nic wspólnego nie mamy z tłuszczą i motłochem; zapewne że odpowiedzialności osobistéj za cudze postępki brać na siebie nikt nie jest obowiązany, ale odpowiedzialność społeczna, za czyny dokonane wśród społeczeństwa, spadać będzie właśnie na tych, którzy stojąc na wyżynach cywilizacyi, do moralnego kierownictwa są obowiązani. Jeżeli zechcemy zamykać się w sobie, jeżeli biernie zachowywać się będziemy wśród gorączkowego ruchu innych warstw społecznych, to osierocimy je z tych dobrych pierwiastków, jakie w sobie czujemy. A gdy my wypuścimy wodze z ręku, przyjdzie inny kierownik i poprowadzi ciemne tłumy tam, gdziebyśmy widziéć ich nie chcieli.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**

Przegląd Techniczny. Łącznie z zeszytem tego czasopisma za listopad i grudzień, otrzymujemy następującą odezwę redakcyi,—którą życzliwéj uwadze czytelników polecamy:

„Pomimo podniesienia w roku ubiegłym ceny przedpłatnéj, wydawnictwo dotąd nie pokrywa kosztów, z przyczyny niedostatecznéj liczby przedpłatników, stanowiącéj małą tylko część ogólnéj liczby inżynierów, budowniczych i innych techników w naszym kraju. Że zaś Przegląd Techniczny jest *jedynêm* u nas pismem, wydawanêm *wyłącznie dla techników* i na poparcie innych czytelników liczyć nie może,—przeto Redakcya, zapraszając do przedpłaty na rok 1882, *odwołuje się do poczucia solidarności kolegów w zawodzie technicznym.* Wobec niepowodzenia usiłowań, mających na celu założenie w Warszawie Towarzystwa Technicznego, najwłaściwszym środkiem zespolenia i wyrobienia naszych sił technicznych jest organ specyalny. Tylko wszakże *czynny spółudział wszystkich techników* nadać może temu organowi potrzebną doniosłość i byt jego utrwalić. Redakcya, w nadziei że praca jéj, dążąca do *zjednoczenia techników naszych* na polu naukowêm, pozyska ich uznanie i poparcie, podejmuje ją jeszcze na rok 1882.

NOWE KSIĄŻKI

nadeslane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Grudnia 1881 r.

---

1. **Le Passé de la Russie,** depuis les temps les plus reculés jusqu'à la paix de San-Stefano, 1878, p. *M. de Bulmerincq.* — Brucxelles, F Cloossen. 1881.
2. **Król reporterów.** Operetka w pięciu obrazach.
3. **O cxsfordzkim projekcie** prawa wojny lądowej, p. *D-ra Gustawa Roszkowskiego.* Kraków 1881.
4. **Projekt uposażenia szkół** wiejskich gruntami, opracował *Roman Andrusikiewicz.* Lwów 1881.
5. **Encyklopedya wychowawcza**. Tom II, zeszyt 4. Całego dzieła zeszyt 12. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolfa.
6. **Józefa Ungra.** Kalendarz illustrowany na rok zwyczajny 1882. Warszawa. Skład główny Nowolipki N. 3.
7. **Wiadomości o fabrykach i rękodziełach** w dawnej polsce, p. *Juljana Kołaczkowskiego.* Warszawa 1881.
8. **Edgar Quinet.** Nowy duch. Wydawnictwo spółki nakładowej. Warszawa 1881.
9. **Dobroczyńca jakich mało.** Ks. Stanisław Staszyc, skreślił *Jakób Goldszmit.* Warszawa 1882 (str. 32). Cena kop, 20.
10. **Opowiadania i roztrząsania historyczne** (pisane w latach 1875—1880) p. *Józefa Szujskiego.* Warszawa i Kraków. Nakład Gebethnera i Wolfa, 1882, str. 414.
11. **Wojna.** Obraz dramatyczny w 5 aktach, p. *Seweryna Płomieńczyka.* Kijów 1881, ttr. 127.
12. **Tylko doktór.** Szkic powieściowy p. *Henryka Glińskiego.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa, 1882, str. 113.
13. **Obrazy z życia i prawdy.** Przez *Zofiją Rudnicką.* Dwie serye. Tom XVII i XVIII „Biblioteki nowości.“ Nakład Łukaszewicza, 1882.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ 3.
Rocznie . . . . Rs. 12.
Półrocznie . . . . „ 6.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM

Włodzimierska, 14.

Zaproszenie do przedpłaty na r. 1882.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie w roku 1882 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1881. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Декабря 1881 года.